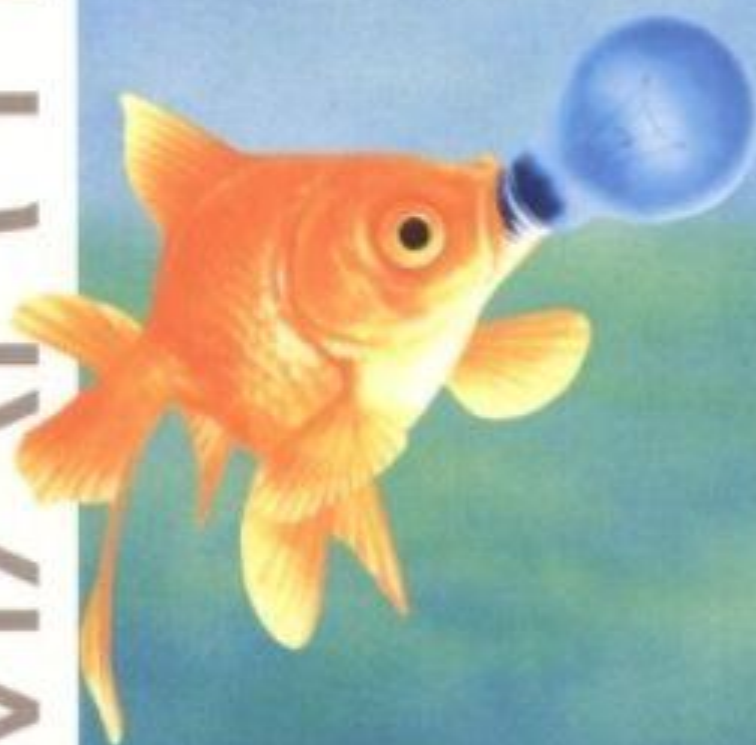


STEVE

MARTIN

Cała  
przyjemność  
po waszej  
stronie



*Martin Steve*

*Cała przyjemność po waszej  
stronie*

Daniel Cambridge (zależnie od samopoczucia wiek 31, 35, 38 lub 29) boi się krawężników i nie może zasnąć, jeśli łączna moc zapalonych w mieszkaniu żarówek nie wynosi dokładnie 1125 watów. Tym, co nadaje ton jego życiu, są zaburzenia obsesyjno-kompulsywne połączone z łagodną formą autyzmu. Odzyskuje spokój konstruując magiczne kwadraty i licząc płytki na suficie. Narzucony przez chorobę dysfunkcyjny porządek świata legnie w gruzach, gdy Daniel wygra konkurs na najbardziej przeciętnego Amerykanina...

Wszystko zaczęło się od literówki.

Gdyby nie literówka, nie myślałbym w ogóle w ten sposób, nie miałbym na to czasu. Byłbym zbyt zaabsorbowany nowymi przyjaciółmi, których zamierzałem poznać w Mensie, międzynarodowym stowarzyszeniu geniuszy. Przystąpiłem do testu na inteligencję, lecz mój wynik przyszedł bez jednej cyfry. Gdzie była ta jedynka, która powinna stać przed dziewięćdziesiątką? Do kategorii geniuszy zabrakło mi całych pięćdziesięciu punktów, z takim wynikiem mogłem im co najwyżej temperować ołówki. Tak oto straciłem szansę na członkostwo, a na drodze do poprawienia błędu stanęła cała biurokratyczna machina.

Literówka zmieniła na jakiś czas moje plany i dała mi kilka wolnych godzin, na które nie liczyłem. Wiele z nich poświęcałem mojemu oknu wychodzącemu na ulicę. Mam z niego miły widok: dostrzegam Pacyfik, choć muszę się przy tym wychylić tak daleko, że omal nie wywijam kozła. Po drugiej stronie ulicy stoją opatrzone egzotycznymi

nazwami bloki mieszkalne, które zapewniają mi niekończącą się paradę ludzkich typów. Mój budynek, „Chryzantemę”, zamieszkują w większości młodzi ludzie, którzy nie mają pracy, choć wcale na to nie wyglądają. Osoby koło czterdziestki preferują „Różaną Tiarę”. Pary z dorosłymi dziećmi skłaniają się raczej ku „Ogrodom Tudorów”, a staruszkowie ku „Morskiemu Cypłowi”. Innymi słowy, można tutaj przeżyć całe życie i nigdy nie wychylić nosa poza własną przecnicę.

Dwa dni temu widziałem Elizabeth. Prawdziwa rozkosz! Ale ona mnie nie widziała; Elizabeth w ogóle mnie nie zna. Był jednak czas, gdy Liz Taylor i Richard Burton w ogóle się nie znali, co przecież wcale nie oznacza, iż w jakiejś metafizycznej krainie nie byli już w sobie zakochani. Elizabeth wbijała w kwietnik przy „Różanej Tiarze” tabliczkę z napisem APARTAMENTY DO WYNAJĘCIA. Jej numer telefonu widniał tuż pod nazwiskiem, Elizabeth Warner. Zanotowałem go i poszedłem na stację benzynową, żeby do niej zadzwonić, lecz nagrany głos kazał mi naciskać tyle przycisków, że dałem sobie spokój. Nie dlatego, że bym nie potrafił dać sobie z tym rady — stanowiło to po prostu komplikację, bez której mogłem się obejść. Pomachałem raz Elizabeth z mojego okna, ale być może od szyby odbijało się światło albo coś w tym stylu, bo nie zareagowała. Nazajutrz wyszedłem o tej samej porze na dwór, zerknąłem na swoje mieszkanie i rzeczywiście nic nie było widać, mimo że ubrałem stojącą lampę w jedną z moich koszul i postawiłem ją tuż przy oknie.

Byłem w stanie przejść na drugą stronę ulicy, ponieważ zaledwie kilka metrów od mojego bloku znajdują się naprzeciwko siebie dwa podjazdy z obniżonym krawężnikiem. Mam pewne trudności — to znaczy właściwie w ogóle sobie nie radzę — z przechodzeniem przez jezdnię na skrzyżowaniu. Symetria dwóch przeciwnych podjazdów wydaje mi się bardzo rozsądna. Patrząc na innych ludzi pokonujących krawężnik i nie wiem, jak oni to robią. Czyż krawężnik nie jest czymś nieprzekraczalnym? Czyż nie jest nielogicznym wypiętrzeniem wciśniętym pomiędzy jezdnię i chodnik? Przejścia dla pieszych to bardzo rozsądna rzecz, lecz ponieważ znajdują się między dwoma złowrogimi krawężnikami, równie dobrze mogłyby leżeć na dnie Rowu Mariańskiego. Kto je zaprojektował? Kaczor Duffy?

Myślicie pewnie, że jestem geniuszem względnie osobą podejrzaną o morderstwo. Dlaczego nie jedno i drugie? Żartuję. Jestem podejrzany o morderstwo, ale w bardzo ogólnym sensie i z całą pewnością nie jestem winny. Zostałem oczyszczony z zarzutów bardzo szybko, lecz nadal jestem podejrzany.

Dostaliście kręcka? Pozwólcie, że wyjaśnię. Przed ośmioma miesiącami mój sąsiad z dołu, zajmujący się naprawą sprzętu gospodarstwa domowego, Bob, został śmiertelnie pchnięty nożem. Policja przyszła mnie przesłuchać — zrobili to w ramach jak najbardziej rutynowych czynności — i funkcjonariusz Ken zobaczył na moim wieszaku zakrwawioną kurtkę. Następnie laboranci znaleźli włókna z mojej kurtki na zwłokach. Potraficie zgadnąć, jakie mam alibi? Już mówię.

Oto ono: pewnej nocy z mieszkania Boba, który zajmował się naprawą sprzętu gospodarstwa domowego, wyskoczyła naga rozhiszta ryzowana kobieta. Złapałem moją kurtkę i zarzuciłem jej na ramiona. Bob wyszedł i zabrał kobietę, ale był taki grzeczny, że zacząłem coś podejrzewać. Wielka szkoda, że moje podejrzenia przybrały konkretny kształt dopiero tydzień później, kiedy naga kobieta wbiła mu kuchenny nóż w wątrobę. Naga kobieta, teraz już ubrana, zwróciła mi po pewnym czasie kurtkę, nie zdając sobie sprawy, że krew oraz inne obciążające dowody poplamiały podszewkę. Ja też nie zdawałem sobie z tego sprawy aż do momentu, kiedy cwany gliniarz zauważył plamy, zerkając na kurtkę, która wisiała na wieszaku przy kuchennych drzwiach. Gliniarze sprawdzili moją relację i okazało się, że trzyma się kupy. Rozhisteryzowana kobieta, Amanda, została aresztowana. Koniec historii.

Prawie koniec. Nadal jestem podejrzany, chociaż nie w tradycyjnym sensie. Krótkie chwile mojej niesławy zostaną obecnie przypomniane, ponieważ producentom ***Kroniki kryminalnej***, telewizyjnego programu dokumentalnego, w którym odtwarza się autentyczne morderstwa, spodobała się historia z zakrwawioną kurtką i dorzucili mnie w charakterze tak zwanego fałszywego tropu. Powiedzieli mi, że bym „był sobą”. Kiedy spytałem, jak mam to uczynić, odparli, że bym starał się po prostu dobrze bawić, lecz ja nadal nie wiem, co przez to rozumieli.

Mam nadzieję, że mój status podejrzanego o morderstwo nada większą wagę spotkaniu z Elizabeth. Mógłby

nieco ożywić atmosferę. Oczywiście zaraz potem powiem jej, że zostałem oczyszczony już dawno temu, najpierw jednak zawieszę na sekundę głos, żeby upewnić się, czy ją urzekłem.

Poważniejszą sprawą, taką, która wymagałaby zajrzenia do słownika filozoficznego, gdybym takowy posiadał, jest idea bycia sobą. Gdzie są moje ręce, kiedy jestem sobą? Czy tkwią w moich kieszeniach? Szczerze mówiąc, nie pamiętam. Niezłe się morduję, będąc po prostu sobą na przyjęciach i w ogóle.

Zaczynam do kogoś mówić i nagle uświadamiam sobie, że nie jestem już sobą, że na moim miejscu pojawił się zupełnie ktoś inny.

Im mniej aktywne ciało, tym aktywniejszy umysł. Przez kilka dni nie ruszałem się z domu i mój umysł zajmował się takim oto drugorzędnym problemem: powiedzmy, że na mojej liście zakupów są dwie pozycje — sos sojowy i talk. Sos sojowy i talk nie mogłyby się bardziej różnić. Soja: kwaśna i słona. Talk: gładki i jedwabisty. Mimo to zarówno sos sojowy, jak talk można dostać w tym samym sklepie, sklepie spożywczym. Z drugiej strony samoloty i samochody są podobne. Mimo to gdybym wszedł do salonu samochodowego i powiedział: „Auta są całkiem ładne, ale czy macie na składzie jakieś samoloty?”, popatrzyliby na mnie jak na wariata.

O co mi chodzi? Pytanie, wokół którego krążę — co to znaczy „być sobą” — jest związane z problemem sosu sojowego. Soja i talk wzajemnie się wykluczają. Soja nie jest talkiem i vice versa. Ja nie jestem kimś innym, ktoś

inny nie jest mną. Mimo to można nas dostać w tym samym sklepie. Sklepie Istnienia. W ten właśnie sposób rozumię, co daje pojęcie o tym, jak wielką stratę poniosła Mensa.

Zbyt intensywne myślenie prowadzi również do odkrywania pozornych związków między niezwiązanymi ze sobą wydarzeniami. Jak owego ranka, kiedy pieczywo wyskoczyło z tosterka w tym samym momencie, gdy ulicą przejeżdżał samochód z Arizony. Związek przyczynowo-skutkowy czy zbieg okoliczności? Czy kiedy ulicą przejeżdża samochód z Arizony, musi być w to zaangażowany toster? Problem polega oczywiście na tym, że mam skłonność do zachowywania się tak, jakby te związki były realne, i jeżeli ulicą przejeżdża, dajmy na to, samochód z Nebraski, natychmiast zerkam na lodówkę, żeby zobaczyć, czy nie otworzyły się jej drzwiczki.

Dużo siedzę w domu, ponieważ posiadam obecnie płynność finansową (600 dolarów w banku oraz opłacony czynsz za następny miesiąc) i w gruncie rzeczy nie muszę szukać pracy. Szukanie pracy jest zresztą nieco trudne, zważywszy na fatalny układ ulic z ich zaporowymi krawężnikami i podjazdami, które nie leżą dokładnie naprzeciwko siebie. Żeby dostać się do Rite Aid, imponująco dobrze zaopatrzonej drogerii, w której jest wszystko, zaczynając od cukierków, a kończąc na namiotach, muszę pokonywać labirynt ulic odkryty pewnego lata po kilku tygodniach prób i błędów. Więcej o Rite Aid później. (Zandy, mój Boże — cóż za słodycz! I jaka z niej aptekarka!).



Moja babcia (mój anioł i zbawca) wysłała co jakiś czas ze swej farmy koperty z gotówką lub jej ekwiwalentami, które pozwalają mi żyć. Ma nie być jakąś farmą. Wyobraźcie sobie Tare wyciśniętą, wydłużoną i wysuszoną niczym glina na słońcu. Bardzo chciałbym ją odwiedzić, jednak podróżując do Helmut w Teksasie, musiałbym skorzystać ze środków transportu publicznego, a to znajduje się na liście rzeczy, których mi nie wolno. Tłum składający się z czterech albo więcej osób jest dla mnie po prostu nie do zniesienia, jeśli nie zdołam stworzyć macierzy wiążącej jednego osobnika z drugim w oparciu o desenie ich koszul. A samoloty, pociągi, autobusy i samochody... dajcie spokój, proszę. Przybyłem do Kalifornii przed dwunastoma laty, kiedy moje podróżne opcje wciąż były otwarte. Rychło uległy one jednak ograniczeniu w wyniku szeregu osobistych odkryć dotyczących zamkniętych przestrzeni, gumowych kół oraz logiki pakowania. Nie ma teraz po prostu sposobu, żebym wrócił do domu.

Ktoś mógłby pomyśleć, że prawie nie wychodząc, czuję się samotny, ale tak nie jest. Panujący w bloku mieszkalnym naturalny chaos oznacza, że prędzej czy później każdy, podlegając regułom entropii, zapuka nieumyślnie do drzwi każdego. Tak właśnie stałem się facetem od soku ze źdźbeł pszenicy. Po zamordowaniu Boba korytarzami domu przebiegała stugębna plotka i wkrótce wszyscy rozmawiali ze wszystkimi. Philipa, bystra i dziarska aktorka, która mieszka piętro wyżej, zagadała do mnie, kiedy jedną stopę postawiłem już w mieszkaniu, a drugą stałem na korytarzu (ona też była przez ułamek sekundy podejrzana, ponieważ nieboszczyk obraził ją niegdyś

w trakcie trzysekundowego niepożądanego uścisku, pozwalając, by jego ręka zsunęła się niżej niż to stosowne, ona zaś nie kryła przed nikim, jak bardzo ją to zirytowało). Powiedziała mi, że denerwuje się przed zbliżającym się telewizyjnym przesłuchaniem. Zrobię ci sok ze źdźbeł pszenicy, zaproponowałem. Chciałem, żeby się uspokoiła i dała z siebie wszystko. Weszła do mojego mieszkania, a ja zmieszałem kilka ziół w wysokiej szklance. Po namyśle złamałem także na pół tabletkę inderalu, który trzymałem w kieszonkowym pudełeczku na leki, i dodałem ją do soku. Inderal jest lekiem nasercowym, łagodzącym nieszkodliwą arytmie, która czasami mi dokucza. Jego efektem ubocznym jest przewyciężenie tremy. Philipa oświadczyła mi później, że było to najlepsze przesłuchanie w jej życiu i dostała dwa telefony. Może nie wiązało się to z zaprawionym inderalem sokiem, a może tak. Rzecz w tym, że Philipa chciała uwierzyć w sok ze źdźbeł pszenicy i zaczęła regularnie wracać, żeby dostać go więcej. Wpadała do mnie, pociągała łyk, rozmawiała chwilę o swoich aktorskich sprawach, po czym wychodziła na następne przesłuchanie z niewielką dawką lekarstwa, które blokowało jej receptory beta. Jeśli księżyc będzie co rok schodził o jeden cal z orbity, wówczas w jakiejś trudnej do wyobrażenia przyszłości wymknie się w końcu spod kontroli i roztrzaska, powiedzmy, o Indie. Podobnie podawana Philipie raz lub dwa razy w tygodniu połówka inderalu w soku ze źdźbeł pszenicy nie stanowi w gruncie rzeczy dużego problemu, jeśli jednak będę pozostawał dłużej na jej orbicie, muszę się liczyć z koniecznością podwyższenia dawek, które

wypisują mi na receptę. To dość łatwe, ponieważ muszę tylko opisać w czarniejszych barwach mój stan w państwowej przychodni i będę miał tabletki jak w banku. Mój prawdziwy dylemat zaczął się pewnego popołudnia, gdy Philipa poskarżyła się na kłopoty ze snem. Zapytała, czy mam jakiś sok, który by jej pomógł. Nie mogłem jej odmówić, ponieważ coraz bardziej mi się podobała. Nie tak jak Elizabeth Agentka Nieruchomości, która stała się obiektem pożądania, lecz tak jak podoba się mieszkająca piętro wyżej miła dziewczyna, której przygody śledziłem niczym kolejne odcinki mydlanej opery.

Budząc się co dzień z nową nadzieją i wzuwając ochoczo buty, Philipa nie zdawała sobie sprawy, że znajduje się w zaczarowanym okresie swego życia. Mieszkała z solidnym, lecz w moim przekonaniu przygłupim facetem, który musiał wkrótce zniknąć, ustępując miejsca ostrzejszemu zawodnikowi.

Poszedłem do kuchni, nalałem jej soku pomarańczowego i dodałem do niego trochę proszku proteinowego, śliwkę oraz kilka kropel dziurawca z Rite Aid, następnie zaś z zadufaniem wynikającym z błędnej oceny sytuacji dorzuciłem ćwiartkę quaaludu.

Quaaludy zostały mi ze studenckiej balangi i od tamtego czasu leżały w kuchennej szufladzie, wciąż w oryginalnym opakowaniu. Nie wiedziałem nawet, czy nadal są skuteczne, najwyraźniej jednak na Philipę podziałały, ponieważ dziesięć minut po wypiciu mojego eliksiru na jej ustach pojawił się błogi uśmiech, po czym rozsiadła się w fotelu i opowiedziała całą historię znajomości ze swoim obecnym chłopakiem, który miał na imię Brian. Dużo uwagi po-

święciła przy tym jego wspaniałemu, ogromnemu penisowi, który najpierw został określony jako „...wielki fiut...” — tu Philipie zaplątał się język — później zaś, gdy język zaczął jej się plątać w bardziej poetycki sposób, jako „gładki wał o nieznacznie zakrzywionej osi”. Najwyraźniej fascynował on ją przez długie miesiące aż do dnia, gdy nagle przestał ją fascynować. Brian nadal uważał, że stanowi on podstawę ich znajomości, a Philipa czuła się zobligowana być z nim dalej, ponieważ to właśnie jej fiksacja na punkcie niezawodnego penisa była główną przyczyną, dla której wpadł w jej sidła. Teraz jednak trzeba było nadal obsługiwać ten masywny przedmiot, mimo że zainteresowanie Philipy wyraźnie zwiótchało.

Napój z quaiudem stał się powtarzaniem najpierw raz w miesiącu, potem raz na dwa tygodnie i wreszcie raz na dwa dni rytuałem. W końcu zacząłem się chować, gdy Philipa pukała koło jedenastej wieczorem do moich drzwi. Moje zapasy tajnego składnika szybko stopniały i cieszyło mnie to, miałem bowiem wątpliwości co do moralnego aspektu całej sprawy. Czekaając którejś *nocy, aż zacznie* działać śliwkowo-pomarańczowy eliksir, Philipa wyznała, iż rozbudził on w niej na nowo zainteresowanie tym przedmiotem Briana i że uwielbia tak leżeć, podczas gdy on wyczynia z nią różne rzeczy. Tak właśnie lubiła to teraz robić: z powiekami opuszczonymi do połowy masztu i ze sterczącym w górę masztem Briana. Gdy nękany w równym stopniu skrupułami, co obawą o stan zapasów, zacząłem zmniejszać dawkę leku, jej zainteresowanie Brianem zmalało i widziałem, że chłopak jest ponownie na wylocie. Przez jakiś czas, różnicując dawki, mogłem

niczym dyrygent nadawać ton ich związkowi, lecz w końcu, gdy wyrzuty sumienia stały się nie do zniesienia, odstawiłem jej lek, o uzależnieniu od którego w ogóle nie miała pojęcia, i najwyraźniej nie odbiło się to na niej negatywnie. Ich związek jakimś cudem ocalał.

\*

Santa Monica w Kalifornii, gdzie mieszkam, jest idealnym miastem dla inwalidów, homoseksualistów, osób z show-biznesu i innych byłych ludzi z marginesu. Przeciętność nie jest u nas normą. Jeśli przyjechałeś tutaj z Omaha, odstajesz niczym tyłek señorily na paradzie w dniu święta narodowego Puerto Rico. Dlatego właśnie, kiedy zobaczyłem w Rite Aid (osiem przecznic i czterdzieści siedem minut marszu od mojego domu) reklamę konkursu na dwustronicowy esej. w którym miałem wytłumaczyć, dlaczego jestem najbardziej typowym Amerykaninem, zdumiała mnie naiwność promotorów, liczących, iż uda im się znaleźć przeciętnego Amerykanina w tym plażowym domu wariatów. Tekturową reklamę wystawił sponsor konkursu, Mrożone Jabłeczniki Teppertona. Złapałem formularz i wracając prędko do domu (trzydzieści pięć minut, rekord), zacząłem układać w głowie esej.

Trudność polegała nie na tym, by zaprezentować się jako ktoś przeciętny, lecz by wzbudzić do siebie sympatię, nie uciekając się do kłamstwa. Uważam się za dość sympatycznego, lecz zdobycie sympatii w eseju to nie to samo co zdobycie sympatii w życiu. Na ogół podobam się

ludziom, jednak pięćset słów to po prostu za mało, żeby mnie ktoś polubił. Potrzebuję na to paru lat i kilku ryz papieru.

Wiedziałem, że aby przyspieszyć proces zdobywania sympatii, będę musiał schlebiać, przesadzać i szyć grubymi nićmi. Dlatego nie polubiłbym chyba mojego pochlipującego patriotycznego ja, które napisało owe pięćset słów. Polubiłbym raczej tlenioną blondynkę z ciemnymi odrostami, która zaśmiewa się tak głośno, że coca-cola pryska jej z nosa. I wy chyba też. Ale Miss Mokrego Nosa nie pisałaby tego eseju w swoim coca-colowym wcieleniu. Uspokoiłaby się, poprawiła włosy, ściągnęłaby majtki z tyłka i zaczęła stukać w klawiaturę.

*Jestem przeciętny, napisałem, ponieważ stojąc tu, na brzegu morza w Santa Monica i czując, jak Pacyfik obmywa palce moich stóp, zdaję sobie sprawę, że znajduję się na najbardziej wysuniętym na zachód skrawku naszego kraju i jestem potomkiem osadników, którzy przybyli do Kalifornii jako pionierzy, A czyż każdy Amerykanin nie jest pionierem? Czyż ten duch nie tkwi w każdym z nas, w każdym mieście, w pyle każdej wiejskiej drogi, w każdym podróżującym przyczepą wędrowcu, w każdym Amerykaninie mieszkającym w pałacu lub w slumsach? Jestem przeciętny, napisałem, ponieważ w moich żyłach płynie pewnym nurtem żywa tradycja indywidualizmu, nie narzucając się i nie afiszując, tak jak nie afiszuje się stygnący w otwartym oknie jablecznik.*

Mam nadzieję, że ludzie z Mensy nigdy nie zobaczą tego eseju — nie dlatego że robię w nim w konia biedną firmę, której jedynym grzechem jest to, że chciała opchnąć

trochę swoich jabłeczników, lecz ponieważ w ciągu dwudziestu czterech godzin, które zajęło mi jego komponowanie, gorąco wierzyłem w każde napisane słowo.

\*

Wtorki i piątki to dla mnie ważne dni. W każdym razie o drugiej po południu. O drugiej po południu przychodzi Clarissa.

Rozmawia ze mną dokładnie przez czterdzieści pięć minut, ale nie jest prawdziwym psychiatrą. Jest studentką psychiatrii.

Oficjalnie jest więc gościem i ma zielone oczy. Przynosi za każdym razem małą torebkę z prezentami — czasami są to paczki, a czasami karty telefoniczne, i moim zdaniem wszystkie pochodzą z darów. Pyta, jak się miewam, i zawsze pamięta z naszego poprzedniego spotkania coś, do czego może nawiązać.

Jeśli powiedziałem wcześniej, że mam zamiar skorzystać z nowej karty telefonicznej, aby zadzwonić do matki, pamięta, by zapytać, o czym rozmawialiśmy. Stanowi to dla mnie pewien problem, ponieważ mówiąc, że mam zamiar zadzwonić do matki, kłamię. Moja matka nie żyje... Od jej śmierci minęło już chyba sześć lat. Stanowi to problem i dla niej, ponieważ Clarissa wie, że moja matka nie żyje, ale uważa, że nie wolno jej się ze mną spierać. Ja wiem, że kłamię i nie uda mi się jej nabrać, a ona uważa, że jestem szurnięty i oszukuję sam siebie. Lubię pleść te kosałki-opałki, ponieważ łączą nas o wiele mocniej aniżeli zwykłe „cześć”.

Clarissa zajmuje się we wtorki i piątki również innymi przypadkami charytatywnej psychiatrii, za co, jestem

pewien, otrzymuje punkty na swojej uczelni. Wygląda na to, że moja pozycja w hierarchii chorych psychicznie jest dość niska i z tego względu mogę liczyć co najwyżej na terapię ze strony nowicjuszek. Dowiedziałem się tego, zbierając okruchy danych. Kiedy ktoś nie chce udzielić nam informacji o sobie, jedynym sposobem, by ją uzyskać, jest metoda odwróconego dochodzenia, czyli pytanie

O rzeczy, które nas nie interesują, i wyłuskiwanie prawdy z odpowiedzi. Niełatwo było mi rozpracować Clarissę, ponieważ ma co najmniej trzydzieści trzy lata. I wciąż jest studentką? Gdzie się podziały te brakujące lata?

Opowiada prawdopodobnie o mnie profesorowi, albo pisze na mój temat w dzienniku. Lubię myśleć, jak gryzmoli ołówkiem moje nazwisko pod koniec naszych sesji — to znaczy wizyt — ale tak naprawdę przerobiła mnie już pewnie na makro.

Wystukuje na klawiaturze D, wciska CTRL oraz spację i na ekranie wyskakuje Daniel Pecan Cambridge. Patrząc mi prosto w twarz we wtorki

i piątki, myśli o mnie prawdopodobnie nie jako o Danielu Pecanie Cambridge'u, lecz jako o D-CTRL-spacja. Ja jednak myślę o niej wyłącznie jako o Clarissie, ponieważ jej ruchy, gesty i mimika tłumaczą się tylko na to jedno słowo jej imienia.

Ostatni wtorek: Clarissa przyjechała swoim narowistym, różowym jak błyszczący do ust dodge'em neonem. Zaparkowała na ulicy. Na szczęście dla nas obojga przed moim domem jest strefa dwugodzinnego bezpłatnego parkowania. W związku z czym oczywiście nigdy nie dostaje mandatów. Z mojego okna widziałem, jak stoi przy swoim



dodge'u, rozmawiając przez komórkę. Obserwowałem, jak zatrzymuje się w połowie jezdni, żeby przepuścić inny samochód, i jak napalony kierowca wykręca szyję, żeby przyjrzeć się jej w tylnym lusterku. Miała długą do kolan spódnicę, która kołysała się niczym dzwon przy każdym jej kroku. Clarissa ma w sobie coś ze studentki i podejrzewam, że pozostanie to w niej na całe życie. Jest z pewnością najładniejszą dziewczyną na swoim roku i chętnie przygruchałby ją każdy romantycznie nastawiony facet, którego pociąga eksperyment z czystością. Ma kasztanowe włosy — czy nadal jeszcze używamy tego słowa? — które w kalifornijskim słońcu wyglądają na ciemny blond, lecz połyskują czerwienią i brązem, kiedy jest w mieszkaniu. I podobnie jak kolor włosów Clarissy zmienia się w zależności od światła i pory dnia, tak samo jej uroda przesuwana się na skali pomiędzy „normalną” i „eteryczną”.

Skupiła już na mnie uwagę i odłożyła swoje rzeczy, nie patrząc nawet, gdzie je kładzie.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedziała.

— Wcale się nie spóźniłaś — odparłem.

— No, prawie — stwierdziła.

Nic skomentowałem tego „prawie”. Nic bardzo trafiał mi do przekonania jej koncept. Jeśli ktoś „prawie” się spóźnił, w takim razie nie spóźnił się wcale, więc o czym my w ogóle mówimy?

Lubię w Clarissie to, że zaczyna natychmiast mówić, dzięki czemu mogę ją obserwować, w ogóle się nie odzywając.

— Nie uwierzysz, co mi się przydarzyło. Wracalam wczoraj samolotem z San Francisco. Tak naprawde chcialam leciec o osmej, ale tańsze bilety byly tylko na piąta. Przyjechalam na lotnisko i okazalo sie, ze lot o piątej zostal odwołany i wpakowali nas do tego o osmej, pobierajac pełna opłate! Mialam samochod zaparkowany na Burbank, a samolot startujacy o osmej ląduje na LAX, wiec musialam jeszcze dodatkowo zaplacic za taksówkę, zeby odebrać samochod. I stracilam trzy godziny w San Francisco!

Podobne do tej male przygody chyba zawsze przesladuja Clarisse, wskutek czego wydaje sie mlodsza, niz jest. Kiedyś zgubila paszport tuż przed wyjazdem do Meksyku. Innym razem baterie w jej komórce wyczerpaly sie w tym samym momencie co akumulator w samochodzie. Ale nawet jeśli Clarissa jest pechowa, to to slowo bynajmniej jej nie określa. Poniewaz dostrzegam cos, co określa ja dobitniej. To dzieje sie, gdy przestaje mówić, wbija oczy w jakis punkt mniej więcej na wysokości pasa i wyglada, jakby wpadla w trans. A potem jej umysl dogania nagle realny swiat i Clarissa kontynuuje to, co przerwala.

Obserwujac ja w takich chwilach, moglibyście dojść do wniosku, ze zbiera myśli, zeby podążać naprzód. Ale ja widzę to w inny sposób: w jej umyśle zachodzą jednocześ-

nie dwa procesy, które ją absorbują. Jeden to radzenie sobie i funkcjonowanie w realnym świecie. Drugi to ponowne doświadczanie i opłakiwanie czegoś, co zdarzyło się dawno temu. Tak jakby jej lekkość unosiła ją ku niebu, a jakaś dodatkowa siła ciężenia ściągała na ziemię.

A może za dużo sobie wyobrażam?

Kwestia zadośćuczynienia ze strony Mensy jest na dobrej drodze. Oto, co się do tej pory wydarzyło: zastanawiam się, czy nie napisać listu i nie poprosić ich, by jeszcze raz ocenili mój test. Moja ewentualna interwencja może się dla nich okazać kłopotliwa. Mogą zostać zmuszeni do dokładniejszego przyjrzenia się moim wynikom i przyjęcia mnie na pełnoprawnego członka Mensy *cum apologia*, jeśli istnieje taka kategoria. Obecnie jednak nie pozostaje mi nic innego jak czekać, aż napiszę list.

Nie wiem, czy chcę się zbliżyć do Elizabeth Agentki Nieruchomości, zanim nie załatwię tej sprawy z Mensą. Miło będzie poruszyć przy drinkach podczas trzeciej randki kwestię mojego członkostwa. Jeśli odniosę wrażenie, że może nie dojść do trzeciej randki, bez wahania poruszę ją na drugiej albo nawet na pierwszej, zaraz po powitaniu. Myślę o Elizabeth, ponieważ zauważyłem ją dzisiaj dwa razy; raz, kiedy wchodziła, i raz, kiedy wychodziła. Na szczęście dla mnie, apartamenty po drugiej stronie ulicy nie jest łatwo wynająć i trzeba je wielokrotnie pokazywać, aby znaleźć klienta, który chciałby zapłacić

wysoką cenę za przeciętny standard. Kiedy podjechała pod „Różaną Tiarę”, wszystkie moje zmysły stanęły na baczność. Otworzyłem okno i choć dzieliło nas co najmniej trzydzieści metrów, przysięgam, że doleciał do mnie zapach lilii albo lawendy. Był tak intensywny, że poczułem go na języku. Złapałem za parapet i wbiłem palce w aluminiowy rowek. Zobaczyłem, jak z wypraktykowaną perfekcją królowej piękności wysuwa się ze swojego mercedesa diesla. Usłyszałem jej obcasy stukające po asfalcie.

Weszła do budynku, ani na chwilę nie odejmując od ucha komórki, i dwadzieścia minut później zobaczyłem wyposażoną w porsche parę trzydziestolatków, którzy podjechali i zaparkowali w połowie na żółtej linii. Och, czytałem w nich jak w książce: za dużo pieniędzy wpakowali w porsche, nie wystarczy już na apartament. Facet, młody pistolet, dopiero od trzech lat miał pierwszą dobrą robotę, i jedyną rzeczą, której pragnął, było porsche. Coś w rodzaju chłopięcego marzenia. Potem pojawia się żona, ale on nadal kocha swoje porsche. W związku z czym wydaje im się, że mają masę szmalu na wynajem, do chwili gdy pytają o cenę i okazuje się, że liczba sypialni, na które ich stać, wynosi 1,5.

Wyobrażam sobie życie z Elizabeth. Śniadanie w rajstopach, wysokie obcasy przed lunchem. Zastanawiam się, czy nie będzie problemem różnica wieku. Musi mieć jakieś czterdzieści dwa lata. Ja mam, powiedzmy, trzydzieści pięć. (Znam oczywiście swój wiek i nie mam oporów, by go ujawnić. Chodzi po prostu o to, że jeśli mam być z Elizabeth, będę udawał starszego, a jeśli

z aptekarką Zandy, młodszego). Wątpię, żeby Elizabeth chciała zamieszkać tu, w moim mieszkaniu. Zakładam, że wynajmuje za atrakcyjną cenę jakąś fantastyczną nieruchomość — codziennie może przecież przebierać w nich jak w ulegąłkach. Więc oczywiście to ja się do niej przeprowadzę. Ale czy okaże się tolerancyjna, gdy zacznę wyliczać moje dziwactwa? Czy zrozumie, że zapalone żarówki w moim apartamencie muszą mieć łączną moc 1125 watów?

Siedziałem przy oknie, czekając, aż Elizabeth pojawi się ponownie, i wodząc wzrokiem między bramą bloku i jej samochodem. Nowe romanse mają w sobie coś szczególnego. Rzeczy, które dawały się wcześniej łatwo wyjaśnić, stają się niewytłumaczalne, gdy doprawi się je szalem miłości. Dlatego widząc otwierający się w tajemniczy sposób bagażnik jej samochodu, uznałem, że spowodował to magnetyzm naszych serc. Poniewczasie domyśliłem się, że otworzyła go z odległości dwunastu metrów dołączonym do samochodowego kluczyka pilotem i stało się to w chwili, gdy była poza polem mojego widzenia. Podeszła do samochodu, sięgnęła do bagażnika i wręczyła klientom dwie broszury, które, jak przypuszczam, leżały porządnie poukładane koło zapasowej opony.

Stali i gawędzili przy krawężniku i zorientowałem się, że nie jest to zdawkowe pożegnanie; wciąż usiłowała wcisnąć im ten apartament. Miałem możliwość spotkać się z moim *objet d'amour*. Albo przynajmniej dać Elizabeth szansę, żeby mnie zobaczyła, żeby się ze mną oswoiła. Zamierzałem przejść moją stroną ulicy, w ogóle nie patrząc w jej stronę. Czułem, że to bardzo sprytny i bardzo

męski manewr: spotkać się z nią i uwieść poprzez kompletny brak kontaktu. Będzie we mnie widziała tajemniczą postać, kogoś, kto niczego od niej nie chce. Kobieta nie może się czemuś takiemu oprzeć.

Na ulicy napotkałem problem. Zapomniałem włożyć słoneczne okulary. W związku z czym, wpatrując się w zachodzące słońce i sprawiając wrażenie kogoś powściągliwego, byłem mrużącym oko powściągliwcem. Jedna połowa mojej twarzy była zamknięta niczym solony ślimak, druga otwarta w staraniach zobaczenia czegokolwiek. Kiedy Elizabeth spojrzała w moją stronę (celowo zaszurałem nogą, co było spontanicznym odstępstwem od mego planu, zgodnie z którym miała mnie zauważyć sama), byłem w połowie zmarszczony i sprawiałem prawdopodobnie groźne wrażenie. Mój plan zakładał, że muszę dotrzeć przynajmniej do skrzyżowania, aby nie odkryła, że włóczę się bez celu.

Obchodząc przecznicę i mając słońce za plecami, mogłem stąpać śmiałym zamaszystym krokiem, nie miało to jednak sensu, ponieważ znajdowałem się poza jej polem widzenia. Dziesięć minut później pojawiłem się ponownie. Ku mojej konsternacji, Elizabeth i jej klienci wciąż tam stali, a ja znowu maszerowałem prosto w świecące o czwartej po południu słońce. Tym razem otworzyłem szeroko oczy, co sprawiło, że piekły i łzawiły. Z chodu mogłem przypominać dzielnego muszkietera, lecz moja mina wyrażała piekło permanentnego zatwardzenia.

Jednak bez względu na to, jak dziwacznie wyglądałem, kontakt został nawiązany. I wątpię, by krótkie i wypaczone

wrażenie, jakie na niej zrobiłem, było tak niezatarte, by w którymś momencie nie mogło zostać skasowane i zastąpione lepszym.

Co prowadzi mnie do tematu charyzmy. Czyż nie chcielibyśmy wszyscy wiedzieć, jak silnie działa nasz magnetyzm? Nie mogę powiedzieć, by mój wdzięk, kiedy mijalem Elizabeth, nastawiony był na cały regulator. Gdyby jednak stała po drugiej stronie ulicy, mógłbym maszerować na wschód, mając słońce za plecami, niepomarszczony i odprężony, z sylwetką, która odcinałaby się wyraźną ciemną plamą oraz charyzmą unoszącą się nad nią niczym dym z nargili. A Elizabeth, urzekająca Elizabeth, znalazłaby się w potrzasku. Moja charyzma musiała jednak dopiero zakwitnąć. Wygląda na to, że coś mnie przed tym powstrzymywało. Może strach, co stałoby się ze mną i ludźmi, którzy mnie otaczają, gdyby moja moc przekroczyła wszelkie bariery? Gdybym zrobił się nagle po prostu zbyt sensacyjny, by można było nade mną zapanować? Może moje obsesje istnieją, abym nie stał się zbyt pociągający, aby ograniczyć liczbę mych ewentualnych kochanek i miłostek? Nie mogę być w końcu zbyt uwodzicielski, jeśli podczas pierwszej nocy przez pół godziny obliczam i dostosowuję łączną, wyrażoną w watach moc żarówek w mieszkaniu kobiety, podczas gdy ona siedzi na skraju łóżka i zerka na zegarek.

\*

Mniej więcej w tym samym czasie zadzwonili z ***Kroniki kryminalnej***, chcąc nakręcić więcej materiału do programu. Potrzebowali dalekiego ujęcia, na którym za-

chowyałbym się podejrzenie, przesłuchiwany przez dwóch policjantów będących w rzeczywistości aktorami. Zapyłałem, co mam mówić; odpowiedzieli, że to nieważne: postawią kamerę tak daleko, że będziemy musieli tylko poruszać ustami, żeby wyglądało, jakbyśmy rozmawiali. Zgodziłem się, ponieważ nagranie, mimo że denerwujące, mogło okazać się najciekawszym wydarzeniem nadchodzącego tygodnia.

Prowadzony przeze mnie w tym momencie próżniaczy żywot, niezamierzone wakacje, które sam sobie urządziłem, sprawiły, że dłużyły mi się dni i noce, choć łatwo było mi wypełnić ciepłe kalifornijskie godziny, siedząc przy oknie, regulując siłę wiatru za pomocą żaluzji i obserwując ruch uliczny.

\*

Osiem dni po poprzednim spotkaniu ponownie zobaczyłem Elizabeth. Stała po drugiej stronie ulicy, tym razem z inną parą, ale wykonywała ten sam numer. Dała im broszury, a potem zwlekała przez chwilę, zachwalając po raz ostatni swój towar. Postanowiłem znowu udać się na spacer, tym razem w ciemnych okularach, żeby nie wyglądać jak suszona śliwka. Odmieniłem się także, jeśli chodzi o strój, zakładając najlepsze ubranie. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że Elizabeth mogła nie wiedzieć, że to moje najlepsze ubranie. Mogła pomyśleć, że to moje trzecie albo czwarte najlepsze ubranie, albo że mam szafę pełną najlepszych ubrań, z których to jest najgorsze. Więc chociaż naprawdę bardzo się starałem, Elizabeth musiałaby przetrząsnąć moją szafę, porównując



jeden strój z drugim, żeby to sobie uświadomić. Ubranie, żebyście wiedzieli, składało się ze spodni khaki oraz modnie postrzępionej białej frakowej koszuli. Do tego założyłem bardzo ładne brązowe mokasyny i odpowiednio dobrane skarpetki. Swoją drogą, to strój idealnie pasujący do tej okolicy. Wyglądałem jak typowy Kalifornijczyk, mieszkaniec Santa Monica, *bon vivant*.

Idąc chodnikiem, postanowiłem, że tym razem nie będę zachowywał się jak ktoś, kto podąża w określonym celu, lecz jak „mężczyzna wyprowadzający psa”. Mimo że nie miałem psa. Wyobraziłem sobie, że trzymam smycz. Wizja była tak żywa, że kilka razy przystanąłem, aby pozwolić niewidzialnemu psu obwąchać widzialne zarośla. Tak mocno wcieliłem się w postać „mężczyzny z psem”. Tym razem z Elizabeth nawiązany został pełny kontakt wzrokowy, lecz był to ten rodzaj kontaktu, przy którym patrząc na mnie, nadal rozmawiała z klientami, podobnie jak ktoś zerka na osobę w wielkim pomarańczowym kapeluszu w kształcie ryby: ma się ochotę spojrzeć, ale nie ma się ochoty angażować.

W mojej głowie zaczął się rodzić plan. Mijając Elizabeth, zauważyłem dwa położone naprzeciwko siebie podjazdy, co oznaczało, że gdybym chciał, mógłbym przejść przez ulicę i znaleźć się po jej stronie. Aby przejść obok Elizabeth, musiałbym po pokonaniu ulicy zmienić kierunek marszu. Wydawało mi się jednak absolutnie naturalne, że człowiek idący ulicą, postanawia przejść nagle na tlrugą stronę, a potem przed udaniem się dalej zawraca, aby przyjrzeć się tabliczce agencji nieruchomości.

Wyma-

gało to z mojej strony nieco talentu aktorskiego. Doszedłem do podjazdu z obniżonym krawężnikiem, a nawet nieco go minąłem, następnie zaś zatrzymałem się, obróciłem i spojrzałem na tabliczkę, która znajdowała się kilka metrów od miejsca, w którym stała Elizabeth. Zmrużyłem oczy, jakby napis był zbyt daleko, bym mógł go przeczytać, po czym przeszedłem przez jezdnię i ruszyłem w jej stronę.

Stała odwrócona do mnie plecami; tabliczka była za nią, wbita w rabatkę z kwiatami, która była właściwie rabatką z paprociami. Miała na sobie obcisłą beżowo-białą wzorzystą spódnicę i brązową bluzkę z krótkimi rękawami, pękającą w szwach z powodu jej wielkich niczym kule armatnie piersi. Włosy zaciesała do tyłu, i założyła na nie czarną welurową opaskę, obejmującą jej głowę niczym słuchawki. Na nogach, które odbijały się w chromowanym zderzaku jej mercedesa, miała odkryte skórzane pantofle na wysokim obcasie. Nie wyobrażałem sobie mężczyzny, którego nie pociągałoby takie opakowanie. Zbliżając się do niej, poczułem mrowienie tam, gdzie powinienem je poczuć. I jeśli słuszna jest moja teoria, że pociąg seksualny bywa na ogół wzajemny — wymóg ewolucji, ponieważ w przeciwnym wypadku nikt nie robiłby tego z nikim — w takim razie Elizabeth też musiała coś poczuć. To znaczy musiałyby poczuć, gdyby na mnie spojrzała. Podszedłem do tabliczki, pochyliłem się i udałem, że czytam opis apartamentu, który był do tego stopnia skrócony, że niemal nieczytelny. Co to jest na

przykład 1/12p? Musiałem dokonywać mentalnych fikołków, aby uprzytomnić sobie, że podczas gdy czytam nazwisko Elizabeth, ona sama stoi dwa kroki za mną.

Dałem krok do tyłu, jakbym chciał się lepiej przyjrzeć napisowi i, przysięgam, zupełnie przypadkowo, wpadłem prosto na Elizabeth, która odwróciła ku mnie głowę.

— Przepraszam — rzuciła nonszalancko, mimo że to przecież ja na nią wpadłem.

— Och, to ja przepraszam — odparłem, biorąc całą winę na siebie. — Jest pani agentką nieruchomości?

— Owszem — odparła i sięgnęła do torebki, ani na chwilę nie spuszczając ze mnie wzroku.

— Ile jest apartamentów do wynajęcia w tym zespole apartamentowców? — zapytałem, używając oczywiście zbyt wielu słów.

— Tylko trzy. Chce pan moją wizytówkę?

O tak, chciałem jej wizytówkę. Wziąłem ją, przykrywając dłonią niczym asa pik, wiedząc, że to pamiątka, której nie omieszkać przypiąć do mojej tablicy ogłoszeniowej. W gruncie rzeczy byłaby to pierwsza rzecz na tablicy, którą można by w ostateczności nazwać ogłoszeniową.

— To pani — powiedziałem, wskazując dłonią nazwisko na wizytówce oraz nazwisko na tabliczce.

— Szuka pan apartamentu? — zapytała i poczułem, że muszę udzielić jakiejś wyrafinowanej odpowiedzi.

— Zawsze szukani okazji, żeby rozwinąć skrzydła— mruknąłem lekko i powoli się oddaliłem. Mógłbym dodać, że w złym kierunku. Następne przeciwległe podjazdy były tak daleko, że dotarłem do domu dopiero po dwudziestu pięciu minutach.

Odchodząc, spoglądałem przez ramię na mój blok, który skurczył się do rozmiarów łąpka od szpilki.

Po powrocie do domu przeanalizowałem spotkanie i dwie rzeczy zwróciły moją uwagę. Jedną z nich była odpowiedź Elizabeth na pytanie o liczbę apartamentów do wynajęcia. „Tylko trzy”.

Podziwiałem to „tylko”. „Zostało zaledwie kilka. Tylko trzy i zostaną szybko wynajęte”, mogła dodać. Elizabeth była najwyraźniej sprytną sprzedawczynią. Domyślałem się, że trzy wolne apartamenty to dość dużo jak na jeden budynek, i że właściciele chcą je jak najprędzej wynająć. Z pewnością wiedzieli, iż w osobie Elizabeth zyskali najlepszą możliwą agentkę.

Drugi moment — kontakt między mną i Elizabeth — trudniej było odtworzyć, ponieważ doszło do niego poza moim polem widzenia, dokładniej, za moimi plecami. Musiałem więc wyobrazić sobie to, czego nie widziałem. Nasze — wybaczenie wyrażenie — pupy zderzyły się ze sobą niczym stykające się nagle dwa ślazowe cukierki. Plask. Gdybym umyślnie dążył do tego rodzaju fizycznego kontaktu, musiałbym być kimś zupełnie innym. Kimś, kim akurat nie jestem. Nigdy w życiu nie zrobiłbym tego

umyślnie, nie zachowałbym się niczym jakiś łobuz z metra. Mimo to odcisnąłem na niej w dosłowny sposób swój ślad i ponieważ doszło między nami do intymnego kontaktu, w trakcie następnego spotkania znajdziemy się znacznie dalej, niż mogłem sobie kiedykolwiek wyobrazić. Moje biodro dotknęło jej biodra, jej biodro dotknęło mojego. Nie mogło się tym chyba pochwalić wielu mężczyzn, którzy znali ją dłużej.

Mój trzeci kontakt z Elizabeth, do którego doszło tydzień później, okazał się totalną klęską i zaraz to wyjaśnię. Traf chciał, że kiedy podjechała i wysiadła z samochodu, stałem na ulicy. Nic nie mogło sprawiać wrażenia bardziej przypadkowego i niezaplanowanego *uniżch moja obecność* przed „Różaną Tiarą”. Elizabeth wyslizgnęła się z mercedesa i wesoło do mnie pomachała. Wydaje mi się nawet, że miała ochotę się do mnie odezwać. Problem polegał na tym, że na ulicy filmowano właśnie dokrętkę do *Kroniki kryminalnej*, w której przesłuchiwali mnie dwaj gliniarze.

W związku z czym, kiedy Elizabeth mi pomachała, zbliżyli się do mnie dwaj „policjanci”, którzy wyraźnie przeszarżowali, groźnie na mnie łypiąc i poszturchując, żebym wyglądał na winnego. Na szczęście ujęcie kręcone było z daleka i ich ordynarne zachowanie nie zostało zarejestrowane przez kamerę. Nie czeka ich za to nagroda Emmy. Ja, moim zdaniem, wypadłem całkiem nieźle. Nie dano nam żadnych kwestii, lecz poproszono, żebyśmy gadali byle co, podczas gdy narrator będzie wygłaszał swój komentarz. Nie nagrywali nas, chcieli tylko, żebyśmy

poruszali ustami. „Mówię, mówię, poruszam ustami, wygląda, jakbym mówił”, trąkotal jeden z „policjantów”. „Teraz ja mówię, poruszam ustami, jakbym mówił”, odpowiadał drugi. Wtedy włączyłem się ja. „Mówię, mówię, odpowiadam na to, co wy mówicie”, mówiłem. I tak to szło. Nie mogłem odpowiedzieć na machanie Elizabeth, zepsułoby to bowiem całą scenę. Musiałem wyglądać dziwnie, ponieważ przy trzydziestostopniowym upale miałem na sobie poplamioną krwią niebieską puchową kurtkę, żeby sprawiać jeszcze bardziej podejrzane wrażenie. Nie mogło się to zbyt spodobać Elizabeth, zwłaszcza jeśli brała mnie pod uwagę jako kandydata na następnego męża.

Zdumiewają mnie zawsze rzeczy, które kryją się w umyśle i pewnego dnia, bez żadnego szczególnego powodu wychodzą na jaw. Tej nocy, leżąc w łóżku, ujrzałem przed sobą twarz Elizabeth i zobaczyłem wyraźnie, że ma szaro-zielone oczy. Był to drobny fakt, o którym nic wiedziałem, że go znam.

\*

W niedzielę postanowiłem rozerwać się w Rite Aid, oglądając Zandy. Nie chodziło o zwyczajne gapienie się na dziewczynę. Zandy pracuje w aptece, za wysoką ladą, i widać ją tylko od szyi w górę, gdy żegluję między jednym i drugim końcem kontuaru. Wchodząc do wnęki, gdzie jest maszyna z coca-colą oraz automat telefoniczny, mogę zobaczyć jej biały aptekarski fartuch na tle jej bladej aptekarskiej skóry. Jest typową kalifornijską dziewczyną,

tyle że jej twarz nigdy nie zaznała makijażu lub słońca — wyłącznie promienie zamontowanych pod sufitem jarzeńówek. Ma prawie nieuczesane włosy, z tyłoma dyndającymi kosmykami i loczkami, że marzy mi się mała deska surfingowa, żeby między nimi poprzemykać. Nie mam żadnych planów w stosunku do Zandy, ponieważ jej odmowa byłaby dla mnie ciosem. Poza tym jest naturalną blondynką, a ja wolę farbowane włosy Elizabeth. Rite Aid jest cudownie aseptyczne. Założę się, że podłogi są tam co wieczór polewane alkoholem izopropylowym. Rite Aid jest osią, wokół której toczy się, poskrzypując, mój świat; pojawiają się tam dwa albo trzy razy w tygodniu, szukając rzadkich artykułów gospodarstwa domowego, takich jak płótno do odsączania sera. Podobnie jak w każdej drogerii na ziemi, pełno tam cudownych leków, które przypominają mi dziewiętnastowieczne reklamy maści na porost włosów i środków uspokajających. W dzisiejszych czasach istnieje również pokaźny procent produktów, które rzeczywiście działają, wystawia się je jednak obok wypełnionych cieczą wkładek do butów, które mają ponoć chronić przed żylakami. Przystanąłem, udając, że chcę kupić colę lub zadzwonić — chociaż moja karta telefoniczna była zużyta — i zobaczyłem Zandy, która sunęła za ladą, jakby miała na nogach łyżwy. Przeszedłem na bok, udając, że czytam instrukcję, jak kupić colę, i w tym momencie los się do mnie uśmiechnął: mądrzy ludzie w Rite Aid postanowili przenieść afisz konkursu Mrożonych Jabłeczników Teppertona na najbardziej przeciętnego Amerykanina tuż

obok automatu do coli. Dzięki temu mogłem wziąć formularz i w ciągu następnych kilku minut napisać kolejne pięćset słów, podczas gdy śliczna jak beza, krzątająca się Zandy była widoczna jak na dłoni. Tak naprawdę nie chciało mi się pisać kolejnych pięciuset ani nawet dwustu słów, lecz było to dość łatwe, zważywszy na to, co zyskiwałem w zamian. W pudełku było kilka ołówków, tak tępych, że kiedy pisałem, drewno skrobało o papier, lecz ja zawziętem się i wysmażyłem drugi patriotyczny esej w ciągu dwóch tygodni, po całym życiu, w którym nie napisałem ani jednego.

***Ameryka pozwala mi nie być pionierem. Podnosi mnie na duchu fakt, że wykonuję zwyczajną pracę. Pracę na rzecz społeczeństwa, najzwyczajszą pracę pod słońcem...***

I tak to szło. Podziwiałem sam siebie, ponieważ to, co pisałem teraz, było odwrotnością tego, co zawarłem w moim pierwszym esej — w jednym tygodniu ożywał mnie pionierski duch, w następnym już nie — i przedstawiałem obie opinie z taką łatwością, że doszedłem do wniosku, iż potrafię pisać na każdy temat i udowodnić rację każdej ze stron. Ta umiejętność mogła się okazać cenna podczas randki. Pomyślcie tylko: mogłem zmieniać stanowisko w pół zdania, gdybym uznał, że moja towarzyszka źle na nie reaguje.

Pisząc, nie patrzyłem prawie w ogóle na Zandy, ponieważ zdałem sobie sprawę, że to głupota. Podglądanie bez końca kobiety i wlepianie w nią gał nie daje żadnej przyjemności. Oglądanie Moneta przez dwadzieścia minut



nie sprawia mi wcale większej radości, aniżeli oglądanie go przez pięć. Jeden rzut oka na Zandy to było wszystko, czego potrzebowałem i co stanowiło dla mnie pretekst, żeby wyjść z domu. Podpisałem drugi esej, używając pseudonimu „Larry Burns”, i wrzuciłem go do urny. Kupiłem trochę piankowych zatyczek do uszu (nie żebym ich potrzebował, ale po dwa dolary za tuzin były po prostu zbyt tanie, żeby nie skorzystać z okazji) i wróciłem do domu.

\*

Mój sufit nie nadaje się do liczenia. Jego faktura powstała w wyniku odrywania kielni od mokrego tynku, co pozostawia pomarszczoną powierzchnię, jakby cukiernik rozprowadzał łyżką lukier waniliowy. Liczenie wymaga jakiegoś rodzaju symetrii, chociaż na moim poziomie zaawansowania udaje mi się przewyciężyć większość przeszkód. Najmniej interesującym sufitem jest dla mnie teraz taki, który został już praktycznie policzony: kwadratowe akustyczne płytki z regularnymi dziurkami, wymagającymi z mojej strony co najwyżej prostego przemnożenia. Sześćdziesiąt cztery pochłaniające dźwięk dziurki w każdej płytce razy liczba płytek w suficie. Fuj.

Mój nieregularny sufit — bez płytek, kwadratów i powtarzających się dziurek — wymaga z mojej strony odrobiny zastanowienia, abym mógł go podzielić, policzyć i skwantyfikować. Jego powierzchnia jest nieregularna niczym ocean, ale podobnie jak w przypadku oceanu,

łatwo sobie wyobrazić równą taflę tuż pod powierzchnią rozkołysanych fal. A kiedy zdołam sobie wyobrazić równą taflę, dzielenie na dwie i trzy części mojego z grubsza kwadratowego sufitu staje się o wiele łatwiejsze. Na sufit nakładane są trójkąty, prostokąty i przecinające się linie równoległe, które wcinają się w moim umyśle w tynkową polewę urodzinowego tortu.

Problem z liczeniem polega na tym, że wszystko, każda powierzchnia, każdy obiekt może być dzielony bez końca, podobnie jak odległość pokonywana przez żółwia Zenona w drodze do mety. Trzeba więc wiedzieć, kiedy przestać dzielić. Kiedy dzielę mój sufit na sześćdziesiąt cztery części (czasami nieregularne, żeby zrobić sobie trochę na złość), zastanawiam się, czy nie podzielić ich znowu na pół, a potem jeszcze i jeszcze raz. Ale to nie wszystko. Części muszą być dzielone w trójwymiarowej przestrzeni, więc liczby bardzo szybko stają się niewyobrażalnie duże. Ale tak to już jest z mózgiem: mnóstwo w nim miejsca na wielkie liczby.

Jasne, spotykałem się z niedowierzającymi spojrzeniami, próbując, na przykład, wyjaśnić ten zwyczaj współpasażerowi w autobusie. Widziałem, jak facet prostował się w fotelu albo wstawał i prznosił się kilka rzędów dalej, nawet jeśli oznaczało to, że siedział teraz obok osoby, która znajdowała się na skraju innej choroby psychicznej. Powinniście jednak wiedzieć, że mój nawyk liczenia zaczął się wcześniej — nie pamiętam, czy byłem wówczas nastolatkiem, czy też stało się to jeszcze przed osiągnięciem przeze mnie dwunastego roku życia. Matka

jechała Lone Star Avenue, a ja siedziałem na tylnym siedzeniu. Na światłach zatrzymała się obok nas cysterna z benzyną i zafascynowały mnie jej gigantyczne opony. Zauważyłem, że chociaż okrągłe, miały jednak cztery wyraźnie wyodrębnione punkty: północ, południe, wschód i zachód. A kiedy światła się zmieniły i cysterna zaczęła się toczyć, północny, południowy, wschodni i zachodni punkt pozostały stałe, mimo że opona w gruncie rzeczy się przez nie toczyła. Sprawilo mi to niepomierną satysfakcję. Kiedy pojawiła się następna ciężarówka, obserwowałem, jak jej opony kręcą się, podczas gdy bieguny pozostają w tych samych miejscach. Wkrótce ta skłonność stała się nawykiem, później przymusem. Jego zasięg powiększył się, i nie tylko opony, lecz wazony, talerze, trawniki i salony były przede mnie dzielone i pokrywane wyimaginowaną siatką współrzędnych.

Pamiętam tylko jeden związany z tym nawykiem incydent, który wydarzył się, nim stałem się nastolatkiem. W wieku ośmiu lat siedziałem z rodzicami w pogrążonym w półmroku salonie, oglądając telewizję. Ojciec mruknął coś do mnie, a ja niezbyt szybko na to zareagowałem. Być może uczyniłem to umyślnie. „He?” , odparłem obojętnie i tak cicho, że ledwo można było mnie usłyszeć. Pięść ojca trafiła w spód tacy z obiadem, który poszybował w górę, a on sam wstał i ruszył ku mnie, ściągając pasek. Mój umysł zamroził go w działaniu i zobaczyłem rozwidlającą się niczym pękający lód linię, która biegła od jego głowy ku stopom. Następnie przecięła go pozioma linia w pasie

i pojawiły się kolejne, dzielące go kolejno na osiem, szesnaście, trzydzieści dwie i coraz więcej części. Nie pamiętam, co działo się potem.

Nawyk liczenia towarzyszył mi na studiach i tam odkryłem jego prawdziwe znaczenie, cel oraz potęgę. Prace, które nam zadawano, sprawiały wrażenie banalnych; tym, co wydawało się kluczowe nie tylko dla mojej własnej pomyślności, lecz dla pomyślności całego świata, był nieodparty przymus liczenia. Dodawałem do siebie numery stron podręcznika, dzieliłem je przez łączną liczbę stron i używając swoich własnych formuł, aranżowałem na nowo w bardziej odpowiedni sposób. Bardziej naturalnym numerem strony 262 *Nauki i środowiska* mógł się okazać numer 118. Wycinałem żyłką kartki z oprawy i układałem tak, by pasowały do moich wyliczeń. Musiałem je również czytać w nowym porządku, co utrudniało mi naukę, a w końcu, gdy zastosowałem nowe zasady i ograniczenia do własnych studiów, całkowicie ją uniemożliwiły. Moje dziwactwa zostały ostatecznie dostrzeżone przez różnych profesorów i łebskich asystentów, którzy, mówiąc w skrócie, „posłali mnie do przychodni”. Po trwających kilka dni badaniach relegowano mnie z uczelni. Wtedy poszedłem do Hewlett-Packarda, gdzie zostałem szyfrantem komunikatów biznesowych. Pracując u Hewlett-Packarda, próbowałem kiedyś brać leki, lecz czułem się po nich nieszczególnie. Lekarstwo powstrzymywało mnie przez cały dzień przed tym, co

było naprawdę ważne, czyli przed liczeniem miejsc geometrycznych i dostosowywaniem zmiennych. Powoli odstawiłem tabletki i w końcu odszedłem z posady szyfranta. A może to ona ode mnie odeszła. Oczyszczywszy umysł z chemii, nie mogłem już dłużej tworzyć kodów, wiedząc przez cały czas, że ich przeznaczeniem jest odkodowanie. Ale na tym polegała moja praca i nie mogłem przekonać szefostwa, żeby spojrzeli na to z mojego punktu widzenia. Ostatecznie państwo zaczęło zapewniać mi darmowe usługi, z których jedną była Clarissa.

\*

Studiująca psychiatrię Clarissa zastukała trzy razy do moich drzwi puszką coca-coli. Pukanie kogoś, kto ma zajęte ręce. Drzwi otworzyły się same i przypomniałem sobie, że wracając wcześniej z paczuszką zatyczek do uszu, nie słyszałem, jak się zatrząskują. Trzymając w rękach komórkę, teczkę, sweter (niepotrzebny jej przy tej pogodzie), palmtopa, puszkę coli oraz zapakowany prezent dla dziecka, Clarissa zamknęła za sobą drzwi i po-skrzypując skórzaną torebką, przeszła przez pokój. Podobał mi się jej strój, w którym wyglądała jak ubierająca się u Armaniego pielęgniarzka: czerwona spódniczka i biała bluzeczka ze sztywno nakrochmalonym przodem w kształcie serca. (O tak, dotrzymuję kroku modzie. Zauważyłem, jak bardzo jej ubranie podobne jest do mojego własnego: lekkich bawełnianych spodni i doskonale wyprasowanej frakowej koszuli. To dla mnie żaden problem, bo uwielbiam prasować. Kiedyś wyprasowałem prawie idealnie płasko poduszkę).

— Cześć — powiedziała.

— Cześć — odparłem.

— Przepraszam za spóźnienie — dodała. Była to oczywiście nieprawda. Myślała, że się spóźniła, bo były straszne korki. — Miałeś dobry tydzień? — zapytała.

To prawda, miałem dobry tydzień, ale nie mogłem jej powiedzieć dlaczego. Gdybym to zrobił, doszłaby do wniosku, że mam obsesję na punkcie kobiet. Nie wspomniałem jej o moich trzech spotkaniach z Elizabeth i o tym, że podglądałem Zandy w aptece. Zamiast tego skłamałem i powiedziałem, że... właściwie nie pamiętam, co takiego powiedziałem. Pamiętam jednak, że kiedy zapytałem ją, jak się czuje, wahała się przez sekundę, nim odpowiedziała zdawkowym „świetnie”. Nie czuła się świetnie, widziałem to. Widziałem to, ponieważ mój umysł potrafi rozczłonkować chwile w taki sam sposób, w jaki rozczłonkuje sufity. Potrafię podzielić moment na cztery, osiem i jeszcze więcej części, i ocenić, czy dany fragment zachowania szczerze wynika z poprzedniego, co zdarza się rzadko, gdy dana osoba jest czymś poruszona albo oddziaływanie na nią jakiś podskórny psychiczny prąd.

Nie mogłem odgadnąć, co niepokoi Clarisę, ponieważ jest mistrzynią pogodnego nastroju. Powiem wam, na czym polega jeden z plusów bycia „pacjentem” Clarissy. Podczas gdy ona analizuje mnie, ja analizuję ją. Co jest całkiem zabawne, ponieważ obojgu nam brakuje do tego kwalifikacji. Nasza rozmowa tego dnia toczyła się mniej więcej tak:

— Zaparkowałaś bez trudu?

— O tak.

Odparłem, że trudno jest znaleźć miejsce do parkowania z powodu plażowej pogody.

— Wychodziłeś w tym tygodniu? — zapytała.

— Kilka razy na spacer i kilka razy do Rite Aid.

— Nie miałeś żadnych problemów? — zapytała.

— Skądże. Bardzo łatwo jest przestrzegać zasad. Nie sądzisz?

— Nie bardzo wiem, jakie są twoje zasady.

— Założę się, że zasady podobne do moich ma więcej ludzi, niż to się wydaje. Jakie są twoje zasady? — zapytałem.

(Zastanawiałem się, czy da się podpuścić).

— Skupmy się na tobie — odparła. Nie dała się!

Rozmowa toczyła się dalej. Oboje zadawaliśmy sztychy i je parowaliśmy. Pamiętałem, że nie mogę nigdy wyzdrowieć, ponieważ skończyłyby się wtedy wizyty Clarissy... prawda? Chociaż i tak musiała któregoś dnia przestać do mnie przychodzić: kiedy zrobi dyplom, albo kiedy

skończy się jej kurs — to znaczy ja. Któreś z nas dawało się rolować: albo ona była profesjonalistką i powinienem jej płacić, albo ona była stażystką, a ja pełniłem rolę królika doświadczalnego.

A potem wydarzyło się coś ekscytującego. Zadzwoiła jej komórka. Było to ekscytujące, ponieważ na jej twarzy pojawiło się wszystko, co można znaleźć na mapie ludzkich emocji. A ja oczywiście podzieliłem ten moment na milion części:

Zadzwoił telefon.

Postanowiła, że go zignoruje.

Postanowiła, że go odbierze.

Postanowiła, że go zignoruje.

Postanowiła, że zobaczy, kto dzwoni.

Zerknęła na wyświetlacz telefonu.

Wyłączyła telefon i podjęła rozmowę ze mną.

Ale moment tuż przed wyłączeniem telefonu dzielił się na dwa dalsze podmomenty:

Zaniepokoiła się, że to może być pewna określona osoba.

Zobaczyła, że to jest ta osoba.



Wyłączyła z gniewnym trzaskiem telefon.

Ten podmoment dzielił się jednak na dalsze podmomenty:

Zasmuciła się.

Ból przeszył ją niczym błyskawica.

A więc Clarissa miała byłego partnera, z którym nadal była

związana. „Clarisso, jesteś pociągającą dziewczyną”,

oświadczyłem. „Siedź spokojnie, a zostaniesz wskrzeszona”.

Choć tak naprawdę wcale tego nie powiedziałem. Tylko tak pomyślałem.

\*

Przez następne trzy dni nie wychodziłem z domu. Kilka razy

wpadła Philipa w nadziei na kolejny napój szczęścia. Zacząłem

się czuć jak dealer i żałowałem, że dałem jej te środki nasenne.

Poczucie winy łagodził jednak fakt, że leki były legalne, a w

przypadku quaaludu kiedyś takie były. Dałem jej zwyczajny

koktajl jabłkowo-bananowy, zastanawiając się, czy nie wyznać

prawdy i pozwolić, by sama załatwiła sobie medykamenty. Nie

zrobiłem tego jednak, ponieważ jej wizyty nadal sprawiały mi

przyjemność i ponieważ ją lubiłem — a może dlatego że lubiłem

jej psa? „Do mnie, Tiger”. Gdy Philipa wchodziła albo schodziła

po schodach, towarzyszył jej pies i słyszałem stukanie i

chrobotanie jego pazurków. Zwracała się do niego, jakby był

człowiekiem, kimś, z kim można poroz-

mawiać. Kiedy wołała: „Do mnie, Tiger”, często mruczałem pod nosem „Nie, do mnie, Tiger”, mając nadzieję, że psia telepatia skieruje go ku moim drzwiom. Lubiłem przyglądać się jego komiksowej mordzie. Tiger był doskonale zbudowanym kundlem, znającym kilkadziesiąt słów. Czujny i bystry, miał złote serce, a jego rozmaite manieryzmy były w stanie urzec całe towarzystwo. Śpiąc na plecach, kręcił na przykład tylną łapą, jakby siedział na niewidzialnym rowerze. Najwspanialsza była w nim jednak wyjątkowo tępa mordka, coś w rodzaju trójkąta z oczami. Ta mordka sprawiała, że każdy przejaw jego inteligencji witany był oklaskami i pochwałami, nikt nie spodziewał się bowiem, że taki dureń potrafi aportować, a potem posortować kość, piłeczkę tenisową oraz gumowego dinozaura wyłącznie w oparciu o słowne komendy. Zeszłego lata Philipa zademonstrowała któregoś dnia jego talenty, każąc Tigerowi pójść do mieszkania numer 9, przynieść swoje rzeczy i położyć je na trawniku, wewnątrz gumowej obręczy. Chłopak Philip, Brian, stał przy bocznej linii, popijając red bulla i pokrzykując „Piesku, piesku!”. Jestem przekonany, że w tajemnicy używał również Tigera do sprawdzania pisowni.

W ten weekend widok z mojego okna był dość statyczny. Krzyżówka w niedzielnym „Timesie” okazała się niestety śmiesznie łatwa (prawdopodobnie w ramach zadośćuczynienia za łamigłówkę z poprzedniej niedzieli, która mogłaby wprawić w osłupienie Sfinksa) i skończyłem ją rozwiązywać w czterdzieści pięć minut, łącznie z kalamburami, bez żadnych błędów i ścierania gumką. To zwichrowało mój rozkład dnia. Kilka samochodów zwolniło przed ogłoszeniem o wynajmie, co oznaczało, że

w tygodniu może pojawić się Elizabeth. Ale dni były iłłodne, prawie nikt nie biegał i nie było rowerzystów ani rodzin wyłazających ze swoich terenówek i targających nad ocean wszystko, co można znaleźć w plażowym katalogu I lammachera Schlemmera. W związku z tym nie miałem ilustracji, do których mógłbym sporządzić podpisy. Każda godzina wlokła się powoli niczym dwie i mój problem wolnego czasu stał się jeszcze bardziej palący. Odkurzyłem mieszkanie, wyszorowałem łazienkę i zrobiłem porządki w kuchni. A także prasowałem, prasowałem, prasowałem. ('n takiego prasowałem? Moją koszulę, koszulę, koszulę. Nudziłem się do tego stopnia, że w pewnym momencie podłączyłem telewizor do kabla i oglądałem przez osiem minut posiedzenie rady miejskiej Santa Monica na temat chodnika w centrum handlowym.

A potem nadszedł wieczór. Przez jakiś czas nic się nie /mieniło, z wyjątkiem tego, że było ciemno. Nagle usłyszałem schodzącego po schodach Briana, który sprawiał wrażenie obrażonego. Jego głośnie tupanie wysyłało gniewne komunikaty niczym afrykańskie tam-tamy. „Nie potrzebuję jej” głosił wszem wobec każdy krok. Nie ulegało wątpliwości, że jakiś czas później przesiadujący w sportowym barze podobni do niego faceci zgodzą się, że Brian nie jest pantoflarzem, ponieważ siedział z nimi w barze, oglądając mecz, zamiast koczować przed mieszkaniem Philipy i puszczać jej przez okno papierowe samolociki z napisem KOCHAM CIĘ.

Dumny niczym gladiator Brian pomaszerował do swojego podrasowanego lincolna model 92 i odjechał, wcis-

kając gaz do dechy. Następnie usłyszałem, jak po schodach schodzi ktoś, kto bez wątpienia był Philipą. Jej krok nie był jednak krokiem kobiety ścigającej swojego uciekającego chłopaka. Zmierzała powoli w moim kierunku i słyszałem wyraźnie, jak szura z namysłem stopami. Zatrzymała się tuż przed drzwiami i niezwykle długo zwlekała. A potem nacisnęła mój dzwonek, lecz nie puściła go, wskutek czego usłyszałem samo ding, bez dong.

Otwierając drzwi, udałem, że właśnie mnie obudziła. Philipa weszła do środka i puściła przycisk dzwonka.

— Nie śpisz? — zapytała.

— Już od dawna — odparłem, rezygnując z udawania śpiącego, było to bowiem kłamstwo, które niczemu nie służyło.

Podszedłem do mojego fotela (prezentu od babci) i klapnąłem na nim. Długie, popielatobrazowe włosy Philipę z przedziałkiem pośrodku opadały jej na ramiona, okalając bladą twarz ze zmytym makijażem. Po raz pierwszy spostrzegłem, że choć ładna, wylądowała w niewłaściwej branży. Była dość ładna dla jednego mężczyzny, ale nie dla całego świata, a tego właśnie wymaga show-biznes. Miała na sobie eleganckie ciuchy, musieli wrócić z jakiejś imprezy, pokłócić się i coś nie dawało jej teraz spokoju. Usiadła na sofie, zacisnęła ręce na poręczach i zaskoczyła mnie, nie poruszając w ogóle tematu Briana.

— Nie mogę znaleźć pracy — oznajmiła zamiast tego i w jej oczach zalśniły łzy.

Była zdecydowanie po kilku głębszych. Zastanawiałem się, czy nie chce ode mnie przypadkiem jakichś substancji chemicznych, których nie zamierzałem jej dawać i których *nie* miałem.

— Myślałem, że miałaś angaż. W tym serialu *Adwokaci* — powiedziałem.

— Tak — odparła. — Grałam kanapkową dziewczynę, która przynosi lunch do kancelarii. Cieszyłam się, że dostałam tę rolę. Włożyłam w nią całe serce. Chciałam być seksowną kanapkową dziewczyną, pozostającą w pamięci kanapkową dziewczyną, ale oni poprosili, żebym to i rolę stonowała. Więc byłam zwykłą kanapkową dziewczyną. Moja kwestia brzmiała: „To samo co wczoraj, panie Anderson?”. Ja też wypowiedziałam perfekcyjnie, na jednym oddechu, i to było w zasadzie wszystko. Patrzyłam na tę gwiazdę, Cathy Merlot... wyobrażasz sobie, jakie to głupie nazwisko? Merlot? Dlaczego nie Suzie Cabernet... i wiedziałam, że jestem tak samo dobra jak ona, ale to ona jest w centrum uwagi, to z nią się certolą, jej pudrują nos...

Philipa mówiła dalej, lecz ja jej nie słuchałem. Jej ciało ułożyło się na sofie niczym papierowy bocian origami: łokcie, przedramiona, łydki i uda sterczały każde w inną stronę. Nie skończyła nawet ostatniego zdania; po prostu samo się urwało. Przypuszczam, że temat w jej głowie zmienił się, a usta opowiadały jeszcze przez chwilę starą historię, nie zdając sobie sprawy, że nie mają skąd czerpać dalszego ciągu. Zapytała, ile mam lat.

— Trzydzieści trzy — odpowiedziałem.

— Myślałam, że nie skończyłeś jeszcze trzydziestki — stwierdziła.

— Nigdy nie wychodzę na słońce — wyjaśniłem.

— Trudno się przed nim schować — zauważyła.

O Boże, wymyśl jakąś odpowiedź, pomyślałem. Ale Philipa umilkła. To dziwne, ale wyglądało na to, że rozpraszała ją moja obecność, obecność osoby, z którą rozmawiała. Jej oczy, poprzednio rozbiegane i niespokojne, zatrzymały się na mnie. Poprawiła się na sofie i obróciła ku mnie kolana, skracając widok, jaki miałem na jej uda, które zniknęły w cieniu spódniczki. Wprawiło mnie to w zakłopotanie, a jednocześnie poczułem zapowiedź erekcji.

— Kiedy są twoje urodziny? — zapytała.

— Dwudziestego trzeciego stycznia.

— Jesteś Wodnikiem — stwierdziła.

— Chyba tak. A ty? — zapytałem.

— Skorpionem.

— Miałem na myśli twoją datę urodzenia,

— Piętnastego listopada.

— Którego roku?  
— Siedemdziesiątego czwartego.  
— Urodziłaś się w piątek — stwierdziłem.  
— Tak — odparła, nie zwracając uwagi na mój talent. —  
Chodzisz z kimś? — zapytała.  
— Oczywiście — odparłem. — Z agentką nieruchomości.  
— Jesteś jej wierny?  
— Nie. Ale ona chce, żebym był.  
— Zaczekaj chwilę — powiedziała nagle, zadzierając głowę jak  
Tiger. — Skąd wiedziałeś, że to piątek?  
Jak mogę jej wyjaśnić coś, czego nie potrafię wyjaśnić samemu  
sobie?  
— To coś, co potrafię robić.  
— To znaczy?  
— To znaczy, że nie wiem. Po prostu potrafię to robić.  
— Jaki to dzień: ósmy kwietnia tysiąc dziewięćset  
siedemdziesiątego ósmego roku?

— Sobota — odparłem.

— Jezu, to niesamowite. Masz rację. To urodziny mojego brata. Urodził się w sobotę. A szóstego stycznia tysiąc dwieście osiemdziesiątego roku?

— Wtorek.

— Nabierasz mnie? — zapytała.

— Nie.

— Jak zarabiasz na życie i czy masz jakieś wino?

— Nie mam wina — powiedziałem, odpowiadając na jedno pytanie i pomijając milczeniem drugie.

— Ale chcesz się napić? Mam butelkę na górze — oświadczyła. Założę się, że otwartą, pomyślałem.

— Dobrze — odparłem, wiedząc, że nie wypiję ani łyka. Philipa przeprosiła mnie i mrużąc „zaraz wracam”, pobiegła do swojego mieszkania. Nie ruszając się z fotela, zacząłem wodzić paznokciem po wzorze tkaniny, którą był obity. Po chwili wróciła z czerwonym winem.

— Cholera — zaklęła. — Został mi tylko merlot. — Nalała sobie pełen kieliszek i odwróciła się w moją stronę. — Więc powiedziałeś, że co robisz? — zapytała.



Chciałem, aby odniosła wrażenie, że jestem aktualnie zatrudniony, w związku z czym pozmieniałem nieco formy osobowe czasowników. W większości z „byłem” na „jestem”. — Szyfruję wiadomości biznesowe. Ważne wiadomości łatwo przejąć, jeśli są przesyłane przez Internet. Szukają więc zacofanych technologicznie ludzi, aby dostarczyli im pisanych ręcznie systemów. Wynalazłem system oparty na słowie floksynaucynihilipilifikacja.

Philipa już mnie nie słuchała. Co świadczy o tym, jak nudna jest prawda. Wypiła do dna cały kieliszek, a ja wiem, jak wino działa na człowieka. W tym momencie wydawało jej się pewnie, że wyglądam jak Pierce Brosnan. Wstała, podeszła do mnie, oparła obie dłonie na moim fotelu i pochyliła się. Mówiłem dalej o szyfrach. Philipa dotknęła wargami mojego policzka.

Wiem, czym dla niej byłem. Przelotną znajomością. Mimo niedawnych burzowych chmur była związana z Brianem. A ja byłem związany z Elizabeth, choć nie znała nawet mojego imienia. Wiedziałem, że jeśli ja i Philipa wykorzystamy tę chwilę, klatka schodowa nigdy już nie będzie taka sama. Każdy krok będzie znaczyć co innego. Czy Philipa będzie mnie unikała? Czyja powinienem jej unikać? Co się stanie, jeśli spotka Elizabeth? Czy Elizabeth się domyśli? Kobiety potrafią być straszne, gdy chodzi o czytanie w myślach. Z drugiej strony wiedziałem, że ciupciając się z Philipą tej nocy, wkroczę do panteonu historycznych i słynnych romansów. Tajne związki mają chlubną tradycję. Im dłużej się nad tym zastanawiałem,

tym mniej wydawało mi się to szybkim numerkiem po pijaku, a bardziej tworzywem powieści, A chyba tylko w takiej sytuacji mogłem się w to zaangażować.

Powieki Philipę łaskotały w tym momencie moje policzki i czułem jej oddech na ustach. Zacisnąłem obie dłonie na poręczach fotela, jakbym jechał diabelską kolejką. Wydałem dolną wargę i to był jedyny uwodzicielski gest, jakiego potrzebowała. Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do mojej własnej sypialni. Jestem pewien, że Philipę oczarowało to, co było we mnie najbardziej pociągające, czyli fryzura w stylu Sure-cut. Mam rzadkie, proste włosy niczym baseballista, lecz ludzie z salonu Sure-cut wiedzą, jak za symboliczną opłatą sprawić, by grzywka opadała mi na czoło. Nie przechwalając się, daję wam tym samym do zrozumienia, że mogę być fizycznie atrakcyjny. Poza tym jestem czysty. Czysty tak, jakby wymyto mnie w myjni samochodowej, wyszorowano druciakiem i na koniec owinięto w nasączone imbirem palmowe liście. Moja osobista higiena w połączeniu z opadającą na czoło grzywką skłoniła kiedyś moją byłą listonoszkę do wysłania mi prowokacyjnego liściku. Philipa, która nigdy nie zauważyła, żeby przychodziły do mnie i wychodziły ode mnie kobiety, wiedziała, że nie jestem rozpustnikiem, i zacząłem podejrzewać, że widzi we mnie rezerwowego partnera, na wypadek gdyby musiała kiedyś wyrównać rachunki z grającym na wysuniętej pozycji Brianem.

Nigdy nie wcinałem się w cudzy związek z szacunku zarówno dla faceta, jak i dla samego siebie, lecz Brian jest kmiotkiem, Philipa nimfomanką, a ja mężczyzną,

nawet jeśli moją męskość ogranicza nieco niemożność pokonania krawężnika przy przejściu przez ulicę.

W sypialni było trochę za jasno dla Philipę. Chciała, żebym przygasił światło, wyłączyłem zatem trzy sześćdzie-sięciowatowe żarówki, w następstwie czego, aby zachować równowagę, musiałem udać się do kuchni i zapalić tam jedną stuwatówkę, jedną pięćdziesięciowatówkę oraz dwie piętnastowatówki. Trzydziestowatówki są bardzo trudno dostępne i kiedy je znajdę, wykupuję cały transport.

Nadal nie odpowiadał jej nastrój. Przeszkadzały jej lampy nad głową. Zgasilem je, zapalając w zamian lampy w salonie.

Wpadające stamtąd światło było jednak zbyt jaskrawe; Philipę chciała, żeby było przyćmione i seksowne. Podeszła do drzwi i je zamknęła. Och, nie, drzwi nie mogły być zamknięte, nie bez skomplikowanych przygotowań. Ponieważ kiedy drzwi są zamknięte, światło w sypialni jest odcięte od światła w salonie i zamiast jednej dużej sumy 1125 watów trzeba dokonywać dwóch odrębnych kalkulacji, które łamią ciągłość. Wyjaśniłem to Philipę, mimo że musiałem to robić kilka razy. Na jej korzyść trzeba przyznać, że nie uciekła. Po prostu ją to zmęczyło i była zbyt pijana, żeby ruszyć się z miejsca. Moment erotycznego uniesienia minął i odprowadziłem ją do drzwi. Nie udało mi się z Philipą, lecz mogłem przynajmniej spojrzeć prosto w twarz Elizabeth.

Po wyjściu Philipę położyłem się na środku łóżka i przykryłem równo kocem. Wyobrażałem sobie, jak byśmy go skotłowali, Philipę i ja! Wsunęty gładko między

prześcieradło i koc, pomyślałem, że wyglądam zupełnie jak kieszonkowy ołówek. Moje ciało było takie obecne. Czułem swoje palce u nóg, swoje ramiona, swój ciężar na łóżku. W pustce byłem tylko ja, zanurzony w niskim szumie egzystencji. Po nocy z Philipą spłynął na mnie cichy estetyczny spokój. Może was zdziwić określenie tego momentu skrajnego bezruchu mianem życia, ale było to życie bez interakcji i czułem, jak ogarnia mnie cicha fala radości.

Dopóki leżałem w łóżku, moje stosunki z Elizabeth były bez skazy. Byłem w stanie się o nią troszczyć, wywoływać jej uśmiech oraz zaopatrywać w obcisłe spodnie od Versacego. Wiedziałem jednak, że za dnia, w życiu, nie będę mógł nawet przejść do niej przez ulicę, jeśli nie zezwoli na to skomplikowany splot sprzyjających okoliczności. Prawda była taka — i w moim stanie deprivacji sensorycznej nie mogłem jej zaprzeczyć — że nie miałem Elizabeth zbyt wiele do zaoferowania. A także, jeśli o to chodzi, Philipie (gdyby miało między nami do czegoś dojść) albo Zandy (gdyby na mnie w ogóle spojrzała).

Domyślałem się, że ograniczenia, które sam sobie narzuciłem, pewnego dnia się skończą. Wyglądało jednak na to, że zanim się z tym uporam, zakres moich możliwych działań skurczy się do zera. Wówczas, kiedy ostatecznie znieruchomieję, będę mógł zważyć i zmierzyć wszystkie otaczające mnie siły i powoli, stopniowo ponownie dopuścić do siebie zewnętrzny świat. I na tym będzie polegało moje życie.

\*

Nazajutrz rano postanowiłem dotknąć ze wszystkich stron wszystkie kopiarki w punkcie kserograficznym Kinko's. Przed blokiem wpadłem na Briana, który szedł do Filipy, odziany, podejrzewam, w te same rzeczy, które nosił poprzedniego dnia. Miał niechlujny wygląd kogoś, kto balował przez całą noc. Poza tym trzymał w ręku komórkę, co uprzytomniło mi, że przez cały czas wiedział, gdzie jest Filipa. Uderzyło mnie, że jest taki wielki. Po ostatnim wieczorze, kiedy omal nie uwiodłem chytrze jego dziewczyny, czułem się jak Królik Bugs i Merkury, spotykający Elmera Fudda i Thora.

Postanowiłem wybadać Briana, żeby sprawdzić, co wie o mojej nocy z Philipą. Zastosowałem moją technikę zawołanego dochodzenia: zadawałem Brianowi banalne pytania i obserwowałem jego reakcję.

— Jestem Daniel. Widuję cię czasami w budynku. Czy jesteś aktorem tak jak Filipa?

Gdyby Brian zadarł głowę i przyjrzał mi się groźnie zmrużonymi oczami, domyśliłbym się, że wie o moim *tete ii tete* z jego dziewczyną. On jednak tego nie zrobił.

— Jestem malarzem — odparł. — Malarzem pokojowym — dodał jak ktoś o niezwykłym nazwisku, które musi natychmiast przeli terować. Powiedziawszy to, spojrzął na mnie, jakby chciał zapytać: „I co ty na to?”.

Był taki poczciwy, że nie żywił podejrzeń nie tylko wobec mnie. Ten facet nie podejrzewałby o nic rogatego

pół człowieka, pół kozła, opuszczaj ącego o pomocy mieszkanie Philipy z rozpiętym rozporkiem. Nie wiedział po prostu, co to jest zazdrość. Nagle zaczął głądzić o sportowym barze i futbolu.

Wpatrując się w niego z głupawą miną, żeby sądził, iż strasznie mnie to interesuje, zdałem sobie sprawę, że Brian nie dołączy do długiego szeregu znanych z literatury rogaczy. W gruncie rzeczy był bardziej podobny do grzyba.

Podchodząc do Briana po szybkim numerku z jego dziewczyną, czułem się bardzo męski, lecz teraz ogarnął mnie wstyd. Ten nieszkodliwy grzyb był niewinny i pozbawiony wdzięku, przede wszystkim jednak podatny na zranienie, i zastanawiałem się, czy nie zachowuję się zbyt podstępnie, olśniewając go moim polotem.

— No cóż, wszystkiego najlepszego — powiedziałem, pozdrawiając go uniesieniem dłoni i nie mając pojęcia, czy mój komentarz wiąże się w jakiś sposób z tym, o czym akurat mówił.

— Cześć, cwaniaczku — odparł.

Cwaniaczku?, pomyślałem. Może jednak coś do mnie miał? Nadal czekało mnie zadanie, które miałem do wykonania w Kinko's, skręciłem więc na zachód i ruszyłem w stronę Siódmej Ulicy, wykorzystując w tym celu cały mój nawigacyjny kunszt. Pokonując bez trudu kolejne podjazdy z obniżonymi krawężnikami, dotarłem w ciągu kilku minut do Szóstej Ulicy i tam natknąłem się na

przeszkodę o niewyobrażalnych rozmiarach. Przy ostatnich przeciwnych podjazdach, które miały mi posłużyć jako portal do Kinko's, ktoś, jakiś osobnik, jakiś facet, uważający, że może stawiać samochód, gdzie mu się żywnie podoba, zaparkował nieodpowiedzialnie swoją gigantyczną landarę, swojego land cruisera model 99 tak, że zajął kawałek podjazdu. Równie dobrze mogli tam postawić trzymetrowy betonowy mur. Jaki był pożytek z przepięknych płaszczyzn łączących podjazd z podjazdem, skoro ich symetrię naruszał chromowany, ważący dwieście funtów zderzak? No tak, kierowca tego czołgu był przejściowcem i miał to w nosie. Stojąc tam, wiedziałem, że kopiarki w Kinko's muszą zostać dotknięte, i to szybko, w przeciwnym razie wybuchnie panika. W związku z tym postanowiłem iść dalej mimo tarasującego drogę samochodu.

Stanąłem na chodniku twarzą do ulicy, dokładnie naprzeciwko Kinko's. Land cruiser stał na prawo ode mnie, trzymałem się więc lewej strony podjazdu. Nie można było w żaden sposób usprawiedliwić obecności tego zderzaka. Nie, gdybym przeszedł przez podjazd zajęty przez obcy obiekt, naruszyłbym reguły logiki. Popychany jednocześnie do przodu i do tyłu, wykluczyłem land cruisera z pola widzenia i dotarłem do krawężnika. Niestety, moja stopa zawisła nad ulicą, nie mogłem jej jednak postawić. Czy to, co poczułem w lewej ręce, to był ból? Moje dłonie zrobiły się mokre i zimne, serce zacisnęło się w pięść. Nie mogłem po prostu unieważnić obecności tego zderzaka. Dotknąłem palcami stopy asfaltu, żeby się podeprzeć, co było niefortunnym posunięciem, ponieważ teraz moja lewa stopa stała płasko na podjeź-

dzie, a prawa znajdowała się nad jezdnią. Serce zaczęło mi bić szybciej, w ustach zabrakło śliny i nie mogłem oderwać języka od podniebienia. Byłem świadom, że grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo. Ale nie krzyknąłem. Dlaczego? Bo byłoby to niestosowne. W moim wnętrzu płonęły i huczały piekielne ognie, ale na zewnątrz zastygłem bez ruchu niczym rzeźba Rodina. Cofnąłem nogę w bezpieczne miejsce. Wcześniej jednak za bardzo cały się wysunąłem; palce mojej stopy były przy skraju podjazdu, a ciało wychyliło się poza swój środek ciężkości. Innymi słowy, padałem na jezdnię. Zakręciłem wiatraka rękami, w nadziei, że da mi to jakiś wsteczny ciąg, i przez trwającą całą eony chwilę moje ważące osiemdziesiąt kilogramów ciało balansowało na łebku szpilki, podczas gdy ramiona wirowały z szybkością tornada. A potem musiał mnie owionąć oddech anioła, ponieważ odczułem nieskończenie delikatne muśnięcie, dzięki któremu mogłem cofnąć się na chodnik. Patrzyłem przez ulicę na Kinko's, które lśniło w słońcu niczym Shangri-la, dzieliła mnie jednak od niego zdradziecka otchłań. Kinko's musiało zaczekać, nie opuszczało mnie jednak uczucie grozy. Postanowiłem wrócić do domu i ułożyć magiczny kwadrat. Układanie magicznego kwadratu alfabetyzowało mój umysł. „Alfabetyzowanie” oznacza w moim slangu podniesienie poziomu receptorów alfa i obniżenie poziomu receptorów beta. Wpatrywanie się w kwadrat podzielony na 256 mniejszych kwadratów (wszystkich pustych i wszystkich wymagających unikalnych liczb, których suma musi być identyczna, bez względu na to, czy będą dodawane



w poziomie czy w pionie), całkowicie absorbuje umysł. W kryzysowych momentach układałem magiczne kwadraty złożone z szesnastu, czterdziestu dziewięciu, a nawet sześćdziesięciu czterech pól i nigdy jeszcze nie zdarzyło się, by mnie to nie uspokoiło. Oto kwadrat z zeszłego roku, po tym, jak w niedzielę przepaliły mi się dwie siedemdziesięciopięciowatowe żarówki i nie miałem zapasowych:

52	61	4	20	29	13	36	45	=260
14	3	62	46	35	51	30	19	=260
53	60	5	12	28	12	37	44	=260
11	6	59	43	38	54	27	22	=260
55	58	7	23	26	10	39	42	=260
9	8	57	41	40	56	25	24	=260
50	63	2	18	31	15	34	47	=260
16	1	64	48	33	49	32	17	=260
#260	#260	#260	#260	#260	#260	#260	#260	

Suma każdej kolumny i każdego rzędu wynosi 260. A jest to marny kwadrat o bokach 8x8. Ułożenie kwadratu o bokach 16 x 16 uspokaja nawet najbardziej drażliwego neurotyka. Benjamin Franklin — którego z tego co wiem, nie można określić mianem drażliwego neurotyka — był entuzjastą magicznych kwadratów. Domyślam się, że układał je, kiedy nie był zajęty posuwaniem jakiejś paryskiej piękności, co mnie akurat nie rozprasza. Jego najśłynniejszy kwadrat to ogromna łamigłówka, która nic sumuje się poprawnie wzdłuż przekątnych, chyba że zegniesz je niczym bumerangi. To było coś, a poza tym

nie zginał od uderzenia pioruna, który trafił w jego latawiec. Kwadratami bawił się również Albrecht Diirer i to mi wystarcza. Dowlokłem się na ołowianych nogach do sklepu z zaopatrzeniem dla plastyków i nabyłem tam białą tablicę o wymiarach metr na metr. Jeśli miałem ułożyć kwadrat o 256 polach, musiał być dość duży, aby wpisywane liczby nie były mikroskopijnej wielkości. Po incydencie przy Kinko's stąpałem wąskim korytarzem narzuconych sobie samemu behawioralnych możliwości — innymi słowy, istniało bardzo niewiele ruchów, które mogłem wykonać, i bardzo niewiele myśli, które mogłem pomyśleć i które nie byłyby zabronione. Zakupy nie szły mi więc najlepiej. Mój stan wymagał, bym trzymał obie ręce w kieszeniach. Żeby zapłacić, musiałem wsunąć głęboko w spodnie wszystkie dziesięć palców i wyłuskać gotówkę na ladę nadpobudliwymi kciukami. Doczekałem się kilku niecierpliwych spojrzeń, następnie zaś pomocy ze strony pewnego sympatycznie wyglądającego biznesmena, który wysupłał parę jednodolarówek z wystających z mych kieszeni banknotów i podał je ekspedientowi. Jeśli odnosicie wrażenie, że jestem bezradny, powinniście wiedzieć, że nie wpadam w taki stan dość często i jest to przypadłość, której mogę się pozbyć, tyle że nie mam ochoty.

Po dotarciu do domu położyłem tablicę na kuchennym stole i za pomocą flamastra oraz linijki podzieliłem kwadrat na 256 pustych pól. Następnie usiadłem przed nim jak przed ołtarzem i zadumałem się nad jego świętością. Kiedy wpatrywałem się w pierwsze pole pierwszej kolumny, w moim umyśle pojawiła się liczba 47 800.

Wpisałem ją w kwadrat i skupiłem uwagę na innym polu. Po jakimś czasie wpisałem w nie liczbę 30 831. Kiedy to uczyniłem, mój niepokój się zmniejszył. Co jest logiczne: odgadnięcie drugiej liczby określa wartość wszystkich innych liczb w kwadracie, liczb, które nie były mi jeszcze znane, ale istniały gdzieś w moim umyśle. Czułem się jak kochanek, który wie, że ktoś jest mu przeznaczony, chociaż nie spotkał jeszcze tej osoby. Wpisałem kilka innych liczb, czekając, aż w mojej czarnej mentalnej przestrzeni pojawi się obraz kwadratu, .lego siatka była niczym szkielet, przez który widziałem resztę obojętnego matematycznego wszechświata. Co jakiś czas w wyimaginowanym kwadracie pojawiała się liczba, którą zapisywałem w odpowiednim miejscu tekturowej wersji. Układanie kwadratu dawało mi poczucie, że należę do świata, że racjonalna rzeczywistość obdarzyła mnie czymś, co jest moje i tylko moje, ponieważ rozwiązań magicznego kwadratu jest więcej, aniżeli upłynęło nanosekund od Wielkiego Wybuchu. Kwadrat nie tyle się tworzy, co przepisuje. Kiedy po kilku godzinach wpisałem ostatnią liczbę w ostatnim polu i suma każdej kolumny i każdego rzędu wyniosła 491 384, zauważyłem, że moja krawężnikowa zapaść została uleczona. Mój psychiczny akcelerator wyraźnie zwolnił i miałem teraz ochotę z kimś porozmawiać. Może z Philipą, może nawet z Brianem (Brian to anagram słowa *brain* — ha, ha!)\*, którego uważałem teraz za najbliższe ogniwo

\* *brain* (ang.) — umysł



\*

Clarissa wpadła do mojego mieszkania, przyciskając do piersi plik książek i broszur, zupełnie jakby dobiegała z piłką do końcowej linii boiska. Wcale tam jednak nie dobiegała, stawiała się po prostu na nasze wtorkowe spotkanie. Przyniosła mi trochę rzeczy, prawdopodobnie dary od organizacji charytatywnych, które lubią pomagać półgłówkom. Pudełko długopisów, które mogły mi się nawet przydać, kilka puszek zupy oraz piłkę futbolową. Te prezenty zwiększyły tylko moje wątpliwości co do tego, jakie właściwie stosunki łączą mnie z Clarissą. Prawdziwy psychiatra nie dawałby prezentów, prawdziwy pracownik socjalny nie analizowałby mojej psychiki. Clarissa robi i jedno, i drugie. Niewykluczone, że w ogóle mnie nie leczy, tylko wypytuje o to i owo, powodowana zwykłą troską, co byłoby wysoce nieprofesjonalne.

— Jak... eee... — Clarissa przerwała w połowie zdania, żeby przegrupować siły. Odłożyła na bok to, co trzymała w ręku. — Co słyhać? — zadała mi w końcu swoje standardowe pierwsze pytanie.

Nie mogłem jej opowiedzieć o jedynych dwóch rzeczach, które wydarzyły się od ubiegłego piątku. Gdybym poinformował ją o moim związku z Elizabeth oraz o niefortunnym spotkaniu z Philipą, pomyślałaby, że próbuję złapać dwie sroki za ogon. Nie chciałem jej wspominać o Kinko's, bo to było krepujące. Próbując wymyślić coś, co mógłbym jej opowiedzieć, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że Clarissa jest rozkojarzona. Ta kobieta, która

normalnie potrafiła mówić bez przerwy, teraz zacinała się i jąkała. Mogłem tylko patrzeć i się dziwić.

— O mój Boże, sam to zrobiłeś? — zapytała nagle, biorąc do ręki jakiś niewydarzony, w zamierzeniu zabawny ceramiczny drobiazg z mojego tak zwanego stolika do kawy.

Odpowiedziałem twierdząco, choć miał na spodzie fabryczny stempel, a ona wiedziała, że kłamię. Lubiłem po prostu patrzeć, jak stara mi się dogodzić. Nagle dotknęła dłonią czoła, mruknęła kilka razy „aha”, po czym zaczęła mówić o swoim wuju, który kolekcjonował ceramikę. Zorientowałem się, że zapomniała, iż powinna mi zadawać pytania, i że to ja mam mówić. A oto, co jeszcze zauważyłem. Podczas gdy snuła opowieść o swoim wuju, na ulicy działo się coś, co zwróciło jej uwagę. Odwróciła głowę w tamtą stronę, po czym zaczęła mówić wolniej i przeciągać słowa. Jej oczy śledziły coś, co poruszało się z szybkością pieszego. Cały epizod trwał tylko kilka sekund i zakończył się, kiedy znów na mnie spojrzała. — Nie myślałeś nigdy, żeby zająć się ceramiką? — zapytała.

Rany boskie. Więc takie miała zdanie na mój temat? Że jestem aż tak szurnięty, że trzeba mnie posadzić w kaftanie bezpieczeństwa przed kołem garncarskim i kazać modelować nosem wazon? Musiałem popracować nad swoim wizerunkiem, ponieważ jeśli coś takiego przyszło do głowy jednej osobie, inne mogły myśleć to samo.

W tym momencie widok za oknem stał się bardziej interesujący, ponieważ to, co tak fascynowało Clarisę, znalazło się również w polu mojego widzenia. Zobaczyłem

mniej więcej czterdziestoletnią kobietę o kruczoczarnych włosach. Szła pochylona, trzymając za rękę rocznego chłopczyka, który toczył się przy niej niczym rozgwiadza. Wyglądam przez to okno od lat, znam tu każdego przechodnia, potrafię odróżnić turystów od tubylców, gości od członków rodziny, nigdy jednak nie widziałem tej kobiety o kruczoczarnych włosach ani jej rocznego synka. Ale Clarissa ich spostrzegła i albo była ciekawska, albo wiedziała o nich coś, czego ja nie wiedziałem.

— Co to jest? — zapytała nagle, łamiąc zaklęcie.

— A, to... — odparłem. — To magiczny kwadrat.

Clarissa wygięła ciało w łuk, studiując moje wspaniałe **256** pól.

— Suma każdej kolumny i każdego rzędu wynosi czterysta dziewięćdziesiąt jeden tysięcy trzysta osiemdziesiąt cztery — wyjaśniłem.

— Ty to zrobiłeś?

— Wczoraj wieczorem. Słyszałaś o Albrechcie Diire-rze? — zapytałem. Clarissa kiwnęła głową. Przykucnąwszy przy półce z książkami, przekrzywiłem głowę, aby móc przeczytać tytuły na grzbietach, i wyjąłem jeden z moich nielicznych albumów o sztuce. (Większość moich książek jest o drucie kolczastym. Zachwycąłem się nimi kiedyś w domu babci i przysłała mi je po śmierci dziadka). Książkę o Durerze kupiłem po naprawdę okazyjnej cenie.

Ilustracje w niej tak bardzo odbiegają kolorami od oryginałów, że wyglądają, jakby Durer malował je szlamem. Była tam jednak reprodukcja jego drzeworytu *Melancholia*, na którym przedstawił magiczny kwadrat. Umieścił w nim nawet liczby 15 i 14, oznaczające rok, w którym wykonał odbitkę, 1514.

Pokazałem drzeworyt Clarissie, która wydawała się nim oczarowana; dotknęła strony i przesuwiała po niej palcami, jakby czytała brajlem. A potem, nie odrywając ręki od ilustracji, podniosła oczy na ścianę, do której przypiąłem kwadrat. Wzięła swój kalendarz, wyciągnęła z niego palmtopa, wstukała moje liczby i sprawdziła wyniki. Wiedziałem, że magicznych kwadratów nie da się ogarnąć za pomocą kalkulatora. Tym, co przyprawia o dreszcz emocji, jest ich tajemniczość i symetria. Nic jednak nie powiedziałem, chcąc, aby pozostała w świecie matematyki.

Przekonawszy się, że wszystko się zgadza, wsunęła instrument z powrotem do skórzanego etui i odwróciła się do mnie.

— To coś, co potrafisz zrobić? — zapytała.

— Tak.

— Stosujesz jakąś formułę przy ich układaniu? — Fakt, że potrafię ułożyć magiczny kwadrat, najwyraźniej bardzo zainteresował Clarissę. Być może miało się to stać tematem pracy semestralnej, którą o mnie napisze. Być może zorientowała się, że dzięki temu zdoła mnie w końcu zaklasyfikować jako świra.



— Są pewne formuły — odparłem — ale ich stosowanie pozbawia mnie przyjemności.

Widziałem, że Clarissa oddałaby wszystko, żeby zapisać moje słowa, ponieważ spojrzała tęsknie na swój notes, oboje jednak wiedzieliśmy, że robienie zapisków w mojej obecności byłoby zbyt kliniczne. Udałem więc, że nie widzę, iż wpatruje się w notes, a ona udała, że patrzy na coś, co znajduje się tuż za nim. Problem polegał na tym, że nie było tam niczego poza ścianą.

— Nie myślałeś nigdy, żeby wykorzystać tę swoją... zdolność, na przykład w pracy? — zapytała.

— Myślałem, ale na razie nie wpadłem na żaden pomysł, Clarisso. — Bardzo rzadko, jeśli w ogóle, zwracałem się do Clarissy po imieniu, i robiąc to teraz, uświadomiłem sobie dlaczego: brzmiało to zbyt intymnie i poczułem, że ogarnia mnie zakłopotanie.

— Nie sądzisz, że chodzenie do pracy byłoby mniej stresujące, gdybyś wykorzystywał w niej swoje zdolności?

— Jasne — odparłem, sam w to nie wierząc. Powiem w;im dlaczego. Wiem, że mam osiemnastowieczne talenty w świecie dwudziestego pierwszego wieku. Umysł jest laki technologicznie zacofany. Byle chłopak z procesorem Pentium potrafi zrobić to samo co ja. Mógłbym jednak zrobić furorę w Rite Aid, wydając resztę bez korzystania z kasy.

— Masz jakichś przyjaciół, Danielu? — zapytała Clarissa.

— Jasne — odparłem. — Briana piętro wyżej.

— Dobrze jest mieć jakiegoś przyjaciela. Co razem robicie?

— Biegamy. No wiesz, ćwiczymy.

Było to oczywiście kłamstwo, ale takie kłamstwo, które może stać się w każdej chwili prawdą, ponieważ gdybym zechciał, mógłbym ewentualnie zacząć ćwiczyć albo biegać. Nie jestem pewien, czy Clarissa dostrzegła wcześniej tę męską stronę mojej osobowości. Musiało ją to przyprawić o dreszcz. A potem jej uwagę odwrócił ode mnie wewnętrzny alarm, którego nie mogła zignorować. Zerknęła szybko na zegarek i zakończyła nasze spotkanie kilkoma oderwanymi od rzeczywistości i nieistotnymi radami, które wziąłem sobie do serca i natychmiast o nich zapomniałem. Zabrała swoje rzeczy i wyszła z mieszkania z zatroskanym wyrazem twarzy, który z tego co widziałem, nie miał nic wspólnego z naszą sesją.

Nazajutrz obudziła mnie muzyka z wieży Philipów. Nigdy nie potrafię rozpoznać piosenek, słyszę tylko dudniącą linię basów przekazywaną przez poduszki, które przejęły najwyraźniej funkcję głośników. Wstałem z łóżka i zamiatłem właśnie w piżamie kuchnię, kiedy rozległo się

pukanie do drzwi. To był Brian. Oho... Czyżby coś odkrył? Może Philpa załamała się wczoraj wieczorem, przyznała do uchybienia i Brian stłucze mnie teraz na kwaśne jabłko? Staralem się wybrać jedną z kilkunastu złotych inyśli, którą mógłbym wygłosić, zanim mnie skatuje. Miałem nadzieję, że ktoś w pobliżu usłyszy ją i powtórzy zachwycony memu pośmiertnemu biografowi. AJe Brian mnie zaskoczył.

— Chcesz pobiegać? — zapytał.

— Jasne — odparłem.

— Dookoła osiedla?

— Nie mogę wybiegać poza osiedle — zaznaczyłem.

— Spoko. Przebierz się, czekam na dole.

Byłem zszokowany, że po kłamstwie, którym uraczyłem (Marrisę, mówiąc o mojej miłości do biegania, tak nagle i tak szybko nadarzyła się sposobność, by za nie odpokutować. Moralny imperatyw obrócenia tego kłamstwa w prawdę był tak silny, że odpowiedziałem twierdząco, mimo że nigdy nie biegałem, nie znałem się na bieganiu i nie chciałem biegać, zwłaszcza z Brianem. Mógłbym pobiegać\* z jakąś dziewczyną. Dostrzegłem w tym jednak okazję, aby zmazać grzech, jaki popełniłem wobec mojej lerapeutki-pracownicy społecznej. Poszedłem do sypialni i włożyłem jedyne posiadane przeze mnie ciuchy, które można było od biedy uznać za strój biegacza.

Brązowe

skórzane mokasyny, spodnie khaki, starą białą frakową koszulę oraz czapkę baseballową. Kiedy Brian zobaczył mnie w tym przyodziewku, jego twarz zmieniła się na chwilę w znak zapytania, lecz po chwili odprężył się, dochodząc widać do wniosku, że nie będzie tego komentował.

— Na plażę i z powrotem — rzucił.

— O nie, tylko dookoła osiedla — odparłem, starając się go poskromić. Jak miałem wytłumaczyć mu moją przypadłość? Takiemu ciołkowi?

— Dobra, dookoła osiedla — zgodził się i wystartował.

Brian, w szortach, przewiewnym T-shircie i opasce na włosach, wyglądał jak rasowy sportowiec. Ja wyglądałem, jakbym po raz pierwszy szedł do szkoły. Brian zniknął w oddali i próbowałem za nim sumiennie podążać, zamiast tego jednak zgubiłem lewy but. Podskakując w miejscu, wsunąłem go i zacząłem mój debiutancki, pierwszy od czasu, gdy ukończyłem studia, bieg wokół jakiegokolwiek osiedla. Brian traktował mnie na szczęście ulgowo i zdołałem zmniejszyć dzielącą nas odległość.

Żałowałem, że Elizabeth nie finalizuje na chodniku jakiejś transakcji, kiedy biegnąc, rzeźyliśmy z takim heroizmem.

Okrążyliśmy osiedle, zatrzymując się tylko raz, kiedy jakaś rodzina wyciągała dziecinniego wózek ze swojego kombiaka. Brian przebierał nogami w miejscu, moje płuca pracowały jak kowalskie miechy. Kiedy znowu ruszyliśmy, Brian przebiegł wzdłuż krótszego boku przecznicy, a ja podążyłem

w ślad za nim. Potem jednak dotarł do rogu i zamiast skręcić, przeciął ulicę. Nie mogłem mu towarzyszyć, zostałem po mojej stronie i truchtałem równolegle do niego. Brian wcale nie przejmował się tym, że wzgardził moim towarzystwem, które, jak widać, nie było dla niego obligatoryjne. Najwyraźniej sądził, że właśnie coś takiego robią faceci: biegną równolegle do siebie po obu stronach ulicy. A potem przebiegł nagle przez jezdnię i dołączył do mnie, jakby nic się nie stało. Dwaj biegacze znowu podążali razem. Wyczuwałem, że Brian naruszył nasz pakt z taką samą bezmyślną bez troską, z jaką delfin wyskakuje z wody. Zrobił to dla jaj.

Choć Brian zwalniał dla mnie kroku, zalała mnie euforyczna fala mojego ulubionego poczucia symetrii. Mimo że wyprzedzał mnie o kilka metrów, biegliśmy krok w krok, sus w sus. Czerpałem od niego energię drogą indukcji. Zagarniały mnie wytwarzane przez niego powietrzne prądy. Byłem orłem albo przynajmniej gołębiem. Lecz po jakimś czasie dostrzegłem, dokąd zmierza. Biegł prosto przed siebie, prosto przez ulicę. Wiedziałem już, że Brian nie traktuje mojej prośby, by nie opuszczać osiedla, jako rozporządzenia. Był to dla niego kaprys, zachcianka, którą można było zlekceważyć w ferworze sportowej rywalizacji. Przedemną wyrósł krawężnik, który zbliżał się do Briana, a zatem i do mnie. Tym razem icdnak, co dziwne, poczułem, że chociaż zwalniam kroku, moja euforia wcale nic słabnie. Zobaczyłem, jak Brian wzbija się w górę i zatacza idealny łuk nad krawężnikiem. O tak, to było dla mnie logiczne. Łuk był mostem przerzuconym nad tą miniprzeszkodą. Jeśli zdołam zatoczyć

łuk, będę mógł nad nią przefrunąć. Krawężnik zostanie unieważniony jednym długim susem. Miałem do niego dziesięć kroków i zacząłem je liczyć. Sześć, pięć, cztery, trzy, dwa... Moja prawa stopa oderwała się od ziemi i przepłynąłem nad tym, co niemożliwe, co nielogiczne. Krawężnik po drugiej stronie znajdował się w idealnej odległości i nie dostosowując w ogóle kroku, przefrunąłem i nad nim. Niesiony siłą inercji, wbiegłem na trawnik i padłem wyczerpany, łapiąc kurczowo powietrze, jakbym znalazł się pod szklanym kloszem. Brian odwrócił się, nadal biegnąc w miejscu.

— Masz już dosyć? Na dzisiaj wystarczy. To była ostra przebieżka. Ostra przebieżka.

Nie mogłem opanować drżenia nóg i cieszyłem się, że mam długie do kostek spodnie khaki, w których moje kończyny mogły dygotać bez świadków. Chociaż w drodze powrotnej musiałem cofnąć się do trzech przeciwległych podjazdów, wiedziałem teraz, że potrafię przebiec ponad krawężnikami. Mogłem je przesadzić, mogłem nad nimi przefrunąć. Brian mnie wyzwolił, zwracając uwagę na potencjał, który zawsze we mnie tkwił, lecz musiał zostać uruchomiony poprzez ludzki kontakt.

\*

Nazajutrz rano wyskoczyłem z łóżka i natychmiast runąłem na podłogę. W nocy moje mięśnie zacisnęły się wokół kości niczym samouszczelniające pierścienie. Wrzasnąłbym z bólu, lecz wydawało mi się to niestosowne.

Położyłem się z powrotem na łóżku i przeszukałem w myślach apteczkę. Krople do nosa. Aspiryna... no tak. Poszedłem do łazienki, co dało mi sposobność przeanalizowania, co mnie dokładnie boli: wszystko od pasa w dół, każda tkanka łączna, wszystkie mięśnie poprzecznie. Bolały mnie nie tylko, gdy ich używałem, lecz także, gdy ich dotykałem. Przy aspirynie stał niebieski słoik z napisem „Lód mineralny”. Był tak stary, że nadawał się do muzeum. Ale widniało na nim słowo „analgetyk” i przypomniałem sobie, że stosowałem go chyba na studiach. Połknąłem więc aspirynę, zabrałem ze sobą do łóżka „Lód mineralny” i zacząłem smarować mentolowym żelem nogi, uda i pośladki. Po kilku chwilach poczułem mrowienie, które potwierdziło, moim zdaniem, jego przeciwbólowe właściwości. Tłuste żele nie zostają jednak tam, gdzie się nimi smarujemy. One się sączą. Pną się niczym pędy dzikiego wina, docierając do miejsc, do których nie powinny dotrzeć. Na przykład do jąder. Moje weszły w jakiś sposób w kontakt z piekącą substancją, która sunęła teraz po cienkiej niczym powieka skórze genitaliów, niczym płomień trawiący pole błękitnookiej trawy. I nie można było tego świństwa zmyć. W gruncie rzeczy, im więcej używałem mydła i wody, tym było gorzej. Mydło działało niczym rozpuszczalnik, umożliwiając maści głębsze wniknięcie w każdy por. Mogłem tam tylko leżeć, czekając, aż ból sięgnie szczytu. I rzeczywiście sięgnął. Szczytów Alp. Matterhornu. Przekląłbym Najświętszą Dziewicę, ale wiedziałem, że to nie jej wina, przeklinałem więc Briana, który był winny w bardziej bezpośredni sposób. Po czter-

dziestu pięciu minutach pulsowanie ustąpiło, ale jeszcze po lunchu miałem wrażenie, że moje jądra owiewa lodowaty wiatr. Co przypomina mi, że mentol zepsuł jakimś cudem smak mojej kanapki z tuńczykiem, mimo iż pamiętałem, aby dotykać jej przez pergamin.

Po południu, kiedy Brian zastukał do moich drzwi, ukląknęłam w kuchni i ukryłam się. Chciałem zabezpieczyć się podwójnie przed drugim zaproszeniem do obiegnięcia osiedla z szybkością błyskawicy.

Nazajutrz nie byłem już taki cięty na Briana. Nie sądziłem, że zrobił to, aby wyrównać ze mną rachunki. Zawdzięczałem mu w końcu chwilę oszałamiającego zwycięstwa, na wspomnienie którego drętwiały mi ścięgna.

Dopiero trzeciego dnia moje kalectwo zaczęło ustępować. Mięśnie wracały do normy i zakładałem, że są nawet w lepszym stanie niż wcześniej. Owszem, byłem teraz w szczytowej formie. Mój umysł również pracował na zwiększonych obrotach, ponieważ zaczął się w nim formować plan, za pomocą którego chciałem zaimponować Elizabeth moją nowo odkrytą męskością. Miałem zamiar zaczekać, aż będzie pokazywała apartamenty w „Różanej Tiarze”, po czym przebiec obok niej w miłym swobodnym tempie. To powinno chyba zatrzeć i zastąpić odniesione przez nią wcześniej wrażenie, jakobym był osobą, której należy unikać. Okazja nadarzyła się podczas następnego weekendu. W „Różanej Tiarze” sobota była pracowitym dniem dla agentów nieruchomości. Elizabeth pojawiała się co godzina i spędzała dużo czasu na ulicy, przy



samochodach potencjalnych najemców, dopinając szczegóły. Byłem gotów do wyjścia w moim kostiumie biegacza: w tych samych brązowych mokasynach (oraz tym razem w grubych skarpetkach, żeby zapobiec ich spadaniu), tych samych spodniach khaki i tej samej koszuli. Wszystko zostało wyprane i wyprasowane (oprócz mokasynów, chociaż myślałem i o tym). Uwagę Elizabeth powinien, moim zdaniem, zwrócić nie sam bieg, lecz skok nad krawężnikiem, skok, w którym było coś magicznego. Mam dość oleju w głowie, by wiedzieć, że bez wątpienia widziała już wielu mężczyzn skaczących nad krawężnikami i w żadnym się nie zakochała, ale wierzę w jedno: gdy ktoś dokonuje w swoim życiu czegoś wyjątkowego, inni intuicyjnie to wyczuwają i tym bardziej cenią — podobnie jak chwali się dziecko za toporną rzeźbę w glinie. I chociaż takie wydarzenie wydaje się banalne, może w nim tkwić niezwykła moc. Uważałem więc, że mój skok, mój sus, mój lot stanie się w jej oczach czynem heroicznym i zneutralizuje wcześniejsze błędy.

Dopiero o godzinie drugiej po południu Elizabeth nawiązała na ulicy rozmowę, która zapowiadała się na wystarczająco długą, bym zdążył jej zademonstrować moją świeżo nabytą umiejętność. Nie miałem czasu, by się wahać, zwlekać i analizować wszystkiego od początku. Musiałem to zrobić teraz. Zbiegłem po schodach, skręciłem w alejkę, przeciąłem trawnik i ruszyłem do końca przecznicy, sadząc lekkimi, aczkolwiek silnymi susami. Moje nagłe pojawienie się sprawiło, że Elizabeth i jej klienci odwrócili się w moją stronę. Podobał mi się mój krok. Swobodny, pewny siebie. Wkrótce zbliżyłem się do

krawężnika. Zerknąłem kątem oka na ulicę. Żadnych samochodów. Zacząłem dostosowywać krok. Przed oczami stanęło mi tyle szczegółów triumfu, jaki odniosłem w zeszłym tygodniu. Wyobraziłem sobie, jak frunę w powietrzu, a Elizabeth ogarnia wszystko jednym spojrzeniem. Jednak gdy zostało mi niecałe sześć metrów, poczułem ucisk w klatce piersiowej — znajomą obręcz paniki. Krawężnik stał się nagle nielogiczny, podobnie jak mój nieuchronnie zbliżający się skok.

Błyskawicznie zapadałem się w siebie, a krawężnik odzyskiwał swoje dawne paraliżujące właściwości. Mimo to nadal mknąłem przed siebie niczym kula armatnia i dopiero tuż przed punktem, z którego nie ma powrotu, wcisnąłem pedał i wykonałem hamowanie w komiksowym stylu. Przez sekundę byłem Road Runne-rem, a krawężnik Wielkim Kanionem. Znalazłem się w tym samym punkcie, w którym byłem przed czterema dniami, tyle że tym razem patrzyła na mnie miłość mojego życia oraz jej klienci. I kiedy tak stałem, z trudem utrzymując równowagę, walcząc z własnym środkiem ciężkości, spocony, upokorzony i nachylony nad przepaścią, mój umysł wypluł z siebie jedną klarowną myśl. Tym, co mnie wyzwoliło, nie była idea mostu przerzuconego nad przeszkodą ani radość biegu. To była obecność Briana, który tak pewnie mnie prowadził i dzięki któremu udał się mój skok. Brian pozwolił mi postawić jedną stopę w konwencjonalnym świecie, a ja miałem zamiar postawić tam drugą. Okazało się jednak, że moich konwencji nie da się przełamać z dnia na dzień, bo były wykute w moim umyśle niczym stal i coś, tak prostego jak tęsknota nie mogła ich obalić. Czer-

wieniąc się ze wstydu, miałem nadzieję, że Elizabeth nie zauważyła mojej klęski.

Opowiem wam teraz o mojej skrzynce na listy. To jeden z dwunastu skorodowanych mosiężnych otworów przy frontowym wejściu do mojego budynku. To również moja wyspa Ellis, ponieważ z racji nieposiadania przeze mnie telefonu i komputera oraz po odłączeniu anteny telewizyjnej wszystko, co obce, przechodzi najpierw przez nią. W poniedziałek, po moim nieudanym popisie przed Elizabeth, zszedłem do skrzynki, wyjąłem z niej sześć listów, położyłem je na stole i zacząłem rozdzielać na trzy kupki. Na kupce „Bardzo ważne” znalazły się dwa osobiste listy, jeden ręcznie zaadresowany. Na kupce „Ważne” położyłem korespondencję, która mimo że zaadresowana do mnie, nie była osobista: reklamy, ogłoszenia i tak dalej. Robię tak, ponieważ wszystko, co jest opatrzone moim nazwiskiem, uważam za ważne. Na trzeciej kupce są listy zaadresowane do lokatora albo mieszkańca. Należą do kategorii „Nieważnych”. Zastanawiałem się, czy nie stworzyć czwartej kategorii („lokator” jest bowiem dla mnie zupełnie czym innym niż „mieszkaniec”) i po dłuższych deliberacjach udało mi się opracować praktyczne kryteria. Owszem, jestem lokatorem i mieszkańcem apartamentowca „Chryzantema”, jednak gdybym wyszedł na dwór, usiadł na trawie i postawił nad sobą duże kartonowe pudło, można by rzec, że jestem mieszkańcem kartonowego pudła, lecz nie jego lokatorem. Zatem listy do „lokatora”, mogą zostać wysłane tylko do

mojego mieszkania, a listy do „mieszkańca” do kartonowych pudeł, złomowanych samochodów i wielkich beczek po farbie, w których mógłbym zamieszkać. Listy do „mieszkańca” mogą zostać zasłużenie zakwalifikowane do kategorii „Zdecydowanie nieważnych”.

Dwa listy, które nadeszły tego dnia, nie były nieistotne. W pierwszym, z *Kroniki kryminalnej*, informowano mnie, że zakończone zostało nagrywanie mojego odcinka, i dziękowano za udział. Do listu dołączona była kopia podpisanego przeze mnie wcześniej oświadczenia, które uwalniało producentów od wszelkiej odpowiedzialności sądowej za mój występ. Podpisując je, nie postąpiłem chyba zbyt mądrze, ale chciałem być w telewizji. Poza tym sądziłem, że to będzie miło z mojej strony. W liście informowano mnie również, że program zostanie wyemitowany za parę tygodni i powinienem sprawdzać lokalne zapowiedzi, aby poznać dokładną datę i godzinę.

W drugiej kopercie był ożywczy niczym bryza odręczny list od babci. Zawsze odkładałam na później lekturę jej listów z tej samej przyczyny, z jakiej zachowuje się na koniec środek czekoladowego tortu. Babcia mieszka na swojej farmie pekanowych orzechów w południowym Teksasie (stąd moje środkowe imię, Daniel Pecan Cambridge). Jest jedyną osobą w rodzinie, która rozumie, że moja choroba psychiczna jest łagodna, a problemy z zatrudnieniem nie wynikają z lenistwa. List obfitował we frazy, które, przysięgam, były balsamem na moje rany: „Życie jest ciernistym krzewem, na którym kwitną róże; wszystkie teksaskie serca przesyłają ci najlepsze życzenia;

obsypuję cię pocałunkami, które są w tym liście". Z koperty wypadł także czek na dwa i pół tysiąca dolarów. Ironia losu polega na tym, że jedyna osoba, która daje mi pieniądze, jest również jedyną osobą, której chciałbym oddać czek, mówiąc: „Nie, możemy ofiarować sobie wyłącznie radość". Trudno jest mi odpisywać na jej listy. Zrobiłem to jednak, puchnąc od czułych słów, które nie przychodzą mi łatwo. Miałem nadzieję, że babcia potrafi czytać między wierszami, miałem nadzieję, że fakt, iż trzymałem ten list w dłoni, jego faktura, obtarcia i skazy, jakich doznał w podróży przez pięć stanów, otworzyły przed nią moje serce. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego łatwiej jest mi wyznać wam, a nie jej, że toruje mi drogę, że jej listy są jedynymi prawdziwymi rzeczami w moim życiu i że dotykając ich, kontaktuję się ze światem. Gdyby Tepperton od jabłeczników ogłosił konkurs na esej o Najukochańszej Babci, przystąpiłbym do niego z zapalem, który zapewniłby mi łatwe zwycięstwo. Mógłbym jej później przesłać tekst opublikowany w wewnętrznym biuletynie Teppertona, a ona, czytając go, wiedziałaby, że to oda na jej cześć.

Ten tydzień składał się z sukcesów i niepowodzeń. Triumfem okazał się mój bieg z Brianem, klęską popisy przed Elizabeth. Wspaniale było dostać list od babci, ale przykro uświadomić sobie — kiedy czek wypadł na kuchenny stół — że jestem osobą będącą w potrzebie. Generalnie jednak poprawił mi się humor i uznałem, że to być może odpowiedni tydzień, aby poszukać nieosiągalnego Przejścia Północno-Zachodniego do centrum handlowego przy Trzeciej Ulicy.

Centrum handlowe przy Trzeciej Ulicy Jeży w samym sercu Santa Monica przy ulicy zamkniętej dla ruchu kołowego, i są tam setki użytecznych sklepów z towarami zarówno w atrakcyjnych, jak i zawyżonych cenach. Poza tym jest tam supermarket sieci Pavillions. Znosiłem jakoś ograniczenia asortymentu produktów spożywczych w Rite Aid, ponieważ jest to jedyne miejsce, do którego opracowałem wygodną trasę. Gdyby udało mi się dotrzeć do Pavillions, byłaby to przeprowadzka z Iraku na Hawaje. Z krainy puszek i suszonych owoców do ogrodów Edenu. No i kawa. Jezu, Coffee Bean i Starbucks. Być może nie wyglądam na kogoś, kto przesiaduje w kawiarnianym ogródku, popijając latté, ale właśnie kimś takim jestem. Dlaczego? Nie trzeba się w ogóle ruszać. Wystarczy, że siedzę. Siedzę i sącę. Nie potrafię sobie wyobrazić nerwicy, która nie pozwalałaby podnosić do ust filiżanki, chociaż gdyby dano mi trochę czasu, na pewno bym jakąś wymyślił. Podoba mi się również perspektywa wypowiedzenia słowa *java*. To znaczy wypowiedzenia go z konkretnym zamiarem otrzymania tejże, a nie tylko usłyszenia smakowitego dźwięku w czterech ścianach mojego mieszkania.

Już wcześniej usiłowałem bez skutku dotrzeć do Pavillions i wiem, co było przyczyną klęski: tchórzostwo oraz brak silnej woli. Tym razem byłem zdeterminowany wykazać się pełną determinacją, lecz czekały mnie trudne chwile. W trakcie pierwszych ekspedycji nie pozwalałem sobie na żadne ustępstwa i kompromisy. Trasa musiała odznaczać się idealną logiką, nie było mowy o regresie ani o ósemkach, podjazdy musiały być położone dokładnie

naprzeciwko siebie. Ale gdybym podszedł do tego jak prawdziwy odkrywca — owszem, dopuszczalne są katarakty, niewykluczony regres — wtedy być może udałoby mi się odnaleźć właściwą ścieżkę.

Mapy przydają się oczywiście wyłącznie w najbardziej ogólnym sensie. Mapy pokazują ulice, nie przeszkody. Szkoda, że plany miast nie są opracowywane przez ludzi takich jak my. Nie byłoby na nich wcale ulic, pokazywałyby wysokości krawężników oraz miejsca, gdzie znajdują się podjazdy, przejścia dla pieszych oraz salony Kinko's. Czy ktoś myśli o kierowcach, którzy nie potrafią skręcać w lewo? Dlaczego nie drukuje się dla nich map?

Musiałem odnaleźć drogę metodą prób i błędów. Tym razem miałem jednak w głowie katalog przeciwległych podjazdów (sporządzony w ciągu wieloletnich prób zlokalizowania innych celów), i byłem w stanie nakreślić możliwą trasę, jeszcze zanim przystąpiłem do dzieła. Po kilku spontanicznych poprawkach udało mi się przy trzecim podejściu odnaleźć drogę do centrum handlowego i przez następne trzy dni zasypiałem, skąpany w blasku chwały.

Odkrycie drogi do centrum handlowego przy Trzeciej Ulicy oznaczało, że więcej się teraz udzielałem publicznie i musiałem stworzyć nowe zasady, aby moje wypadki z mieszkania były bardziej znośne. Relaksując się na przykład w Coffee Bean i popijając *javę*, kreśliłem między klientami niewidzialne linie łączące szkockie kraty ze szkockimi kratami, gładkie kolory z gładkimi kolorami i podkoszulki z podkoszulkami. Dzięki temu spłaszczał się wykres mojego podniecenia. Szalenie ekscytowały

mnie rozmowy z miejscowymi „kolesiami”. Delektując się któregoś razu kawą, usłyszałem w pobliżu pewną melodię. Była tak pogodna, że każda osoba w lokalu upodobniła się w ten czy inny sposób i w mniej lub bardziej intensywnym stopniu do perkusisty. Jedni bębnilo palcami, inni przytupywali. Ja wpadłem na pomysł, by dmuchać na moją kawę w rytmie na trzy czwarte. Najdziwniejsze było jednak to, że znałem tę piosenkę. Był to aktualny przebój, ale skąd ja go znałem? Jak dotarła do mnie ta melodia? Pocztą? W jakiś sposób musiała się zreprodukować, rozprzestrzenić i wylądować w mojej mentalnej sekcji rytmicznej. Dopóki było ją słyhać, ja i wszyscy inni w Coffee Bean staliśmy się jednością. Byłem „tam i teraz”, słuhałem popularnego przeboju i siedziałem pośród „kumpli”. I przez długie trzy minuty niczym się nie różniliśmy, ja i oni. Krzesła i stoliki w Coffee Bean zagarniały chodnik niczym aluwialne osady. Zająłem stolik stojący praktycznie na ulicy, ponieważ miałem stamtąd widok przynajmniej na całą przecnicę w każdą stronę. Jak się okazało, niepotrzebnie. To, co działo się w obrębie samej kawiarni, zapewniało dość popołudniowej rozrywki. Ludzie, pomyślałem. Tacy właśnie są. Ich ogólne zgląszech towanie urozmaicają jedynie indywidualne różnice. Moje oczy lustrowały teren niczym kamery ochrony. A potem wyrwał mnie z zadumy widok rocznego chłopczyka, który przechodził pod moim oknem w zeszłym tygodniu. Za rączkę trzymała go mocno ta sama czarnowłosa kobieta. Mały szmyrgnął nagle ku drzwiom księgarni niczym trzymany na smyczy pies. Reagując na głos ze środka, czarnowłosa



kobieta odwróciła się w stronę drzwi i puściła go. Chłopczyk poturlał się kilka kroków do przodu i zobaczyłem, jak podnoszą go ręce, które wysunęły się zza oszklonej witryny. Tego, co się za nią działo, nie było widać, ponieważ w szybie odbijała się ulica. Domyśliłem się, że kobieta o kruczoczarnych włosach nie jest matką. Była najwyraźniej opiekunką albo przyjaciółką. Dziecko przytuliło się do kobiety za szybą i ujrzałem, że to Clarissa, która wyszła z księgarni, trzymając na rękach swojego synka. Jej zeszlotygodniowe zachowanie stało się nagle o wiele bardziej zrozumiałe.

W drodze do domu nakreśliłem w myślach kolejny magiczny kwadrat, który rządził się jednak innymi regularni; ten kwadrat podpadał pod kategorię „Życie”:

<b>Babcia</b>	<b>Philipa</b>	<b>Brian</b>
<b>Kinko's</b>	<b>?</b>	<b>Rite Aid</b>
<b>Elizabeth</b>	<b>Zandy</b>	<b>Clarissa</b>

Próbowałem umieścić kilka rzeczy w pustym środkowym polu, ale żadna nie pasowała, wszystko, co tam wpisywałem, nie miało sensu. Studiując obrazek, ten diagram mojego życia, zdałem sobie sprawę, że nic z niego nie wynika.

Kiedy wracałem do domu, dzień nadal był słoneczny i jasny. Coś mnie jednak zaniepokoiło: widok listonosza, który wychodził z naszego bloku o wpół do trzeciej po południu. Listonosz nigdy nie zjawiał się w naszej okolicy później niż o dziesiątej i zorientowałem się, że to może oznaczać rewolucję w moim rozkładzie zajęć. Kiedy zbiegałem wcześniej ze starannie zaplanowaną, spontaniczną dezynwolturą, aby sprawdzić pocztę — Jezu, pamiętam, że chyba nawet pogwizdywałem — skrzynka była pusta i uznawszy, że nie będę sortował korespondencji, zmieniłem nieroztropnie plan dnia. No dobrze, wszystko i tak stało na głowie, gdy zobaczyłem Clarissę na ulicy... a teraz musiałem sortować pocztę po południu. Czasami trzeba po prostu pogodzić się z klęską.

Najbardziej ulubiona poczta: pachnące koperty od babci z Teksasu (bez czeku). Najmniej ulubiona: oficjalna koperta z przezroczystym okienkiem oraz pięciocyfrowym numerem skrzynki pocztowej adresu zwrotnego. Jednak dzisiaj, o tej zapomnianej przez Boga wpół do trzeciej po południu, przybyła koperta, która sytuowała się idealnie pośrodku między najbardziej i najmniej ulubioną. Była całkiem biała i zaadresowana do Lenny'ego Burnsa. Z przodu nie było adresu zwrotnego, a ja nic mogłem jej obrócić, dopóki nie przeanalizowałem wszystkich ewen-

tualnych reakcji na adres, który mógł znajdować się z tyłu. Czego na razie nie chciałem robić.

Nazwisko Lenny Burns brzęczało w mojej głowie niczym marmurowa kulka w puszcze. W moim bloku nie było nikogo o nazwisku Lenny Burns, a w adresie wyszczególniony był numer mojego mieszkania. Przede mną nie zajmował go żaden Lenny Burns, lecz panna Rogers, astrolożka z wielkimi cycami, co do której wyrażane były pewne wątpliwości, czy zarabia na życie wyłącznie astrologią. Nazwisko Lenny Burns było tak znajome, że uderzając listem niczym kartą o kuchenny stół, starałem się dopasować do niego jakąś twarz. W końcu odwróciłem kopertę, zobaczyłem adres nadawcy i... ciekawe, czy to, co zobaczyłem, przyprawiłoby was o podobny dreszcz przerażenia co mnie.

Jabłeczniki Teppertona. ***Mama ci takich nie robi.***

Ups... Przypomniałem sobie nagle, że Lenny Burns to pseudonim, którym podpisałem drugi esej w konkursie na Najbardziej Przeciętnego Amerykanina, esej napisany niemal machinalnie, gdy gapiałem się na Zandy. Nie wyobrażając sobie, by koperta zawierała jakieś szczególnie dobre wieści, nie sądziłem również, by zawierała złe. List informował nie tylko o tym, że pośród pięciu finalistów konkursu na Najbardziej Przeciętnego Amerykanina znalazł się Lenny Burns, ale że jest wśród nich Daniel Pecan Cambridge. Byłem i jednym, i drugim. A więc prawdziwy ja i fałszywy ja współzawodniczyliśmy ze sobą, aby wygrać co? Pięć tysięcy dolarów, ot co.

W zawodach miało wziąć udział pięciu finalistów odczytujących na głos swoje eseje podczas akademii w Col-lege'u Wolności w Anaheim w Kalifornii. Oznaczało to, że dwa moje oddzielne i wyraziste wcielenia miały pojawić się w tym samym czasie i miejscu. Przypominało to zaproszenie Supermana oraz Clarka Kenta na to samo urodzinowe przyjęcie u Peny White. List informował, że poza tym w zawodach mieli wziąć udział: Kevin Chen, który jako amerykański Azjata nie mógł być kimś przeciętnym; Danny Pepelow, sądząc po nazwisku, rudzielec; oraz Sue Dowd, której nie potrafiłem sobie wyobrazić.

Zastanawiałem się, jakie mogą być prawne konsekwencje mojej mistyfikacji. Czy nie będę musiał wyznać w wypełnionej po brzegi sali sądowej, iż zadurzyłem się nieprzytomnie w Zandy aptekarce i z tego względu można uznać, że popełniłem zbrodnię w afekcie. Uspokoilem się trochę, uświadamiając sobie, że każda wytoczona przeciwko mnie sprawa byłaby cywilna, nie karna, i gdyby mnie pozwali, bardzo łatwo byłoby zakrzusić się jabłecznikiem Teppertona, znaleźć w nim mysz i przystąpić do negocjacji.

Nazajutrz nie dawała mi spokoju myśl o nieuniknionym nadejściu drugiego jabłecznikowego listu, tego, który musiał być zaadresowany do mojego prawdziwego ja. Doprowadziło mnie to do alternatywnej fiksacji. Powinienem tu użyć dużych liter, ponieważ Alternatywna Fiksacja jest techniką, z której korzystam, aby przezwyciężyć niepokój. Polega ona na zmianie tematu. Skupiam się po prostu na czymś, co jeszcze bardziej wyprowadza mnie z równowagi. Tym razem postanowiłem

zaplanować spotkanie twarzą w twarz z Elizabeth Agentką. Napisałem jej kiedyś „zapoznawczy” liścik, którego nigdy nie wysłałem, ponieważ bez względu na to, jak go opracowywałem i przerabiałem, zawsze wychodziłem w nim na gapia.

„Obserwowałem panią z mojego okna...”. „Pani tablica rejestracyjna, AGNT, ubawiła mnie...”. Wszystko to sprawiało zbyt wścibskie wrażenie i mogło przyprawić o dreszcze.

Zacząłem się zastanawiać, czy naprawdę nie jestem zbyt wścibski i nie przyprawiam o dreszcze, odpowiedź jednak brzmiała nie, ponieważ znam własne serce.

Musiałem przyznać, że podejmowane przeze mnie wcześniej próby zaimponowania jej spaliły na panewce. Nadeszła pora, by zachować się jak mężczyzna: spotkać się z nią bez żadnych podstępów i forteli. Postanowiłem, że przedstawię się jako ktoś, kto jest zainteresowany wynajmem większego, trzypokojowego mieszkania, i pragnie w jednym z pokoiów urządzić gabinet, w którym mógłby wraz ze słynną pisarką, Sue Dowd, pracować nad biografią Mao. Wydawało mi się to uczciwym postawieniem sprawy.

Zadzwoiłem pod numer umieszczony na tablicy, spodziewając się otrzymać i zrecznie wykonać instrukcje, które po pokonaniu telefonicznego labiryntu połączą mnie w rezultacie z jej pocztą głosową. Wydarzył się jednak cud. Elizabeth odebrała telefon.

Pik, pik, jechała właśnie samochodem i odebrała komórkę.

Powiedziałem jej, że nazywam się Daniel Cambridge (fajnie brzmiące nazwisko, jeżeli wyrzuci się środkowe imię Pecan), że

mieszkam niedaleko „Różanej Tiary” i że szukam czegoś większego. Darowałem sobie biografię Mao, bo, rany boskie, nie jest przecież idiotką.

Poinformowała mnie, że ma akurat wolne dwadzieścia minut między spotkaniami i może się ze mną zobaczyć za dziesięć. To oznaczało, że ledwie zdążę się wykapać. No cóż, dobrze, odparłem. Mogę odłożyć na później umówioną telekonferencję. Rozłączyłem się i uruchomiłem z olśniewającą precyzją prysznic. Idealna temperatura za jednym muśnięciem nadgarstka.

Wszedłem do kabiny, wiedząc, że nie mam czasu, lecz mimo to doświadczając znajomego uczucia, nierozzerwalnie związanego z porannym prysznicem. Płynąca nieprzerwaną strugą gorąca woda cofnęła mnie w czasie do wczesnych godzin poranka w rodzinnym domu w Teksasie. Żeby zaoszczędzić pieniądze, matka wyłączała na noc ogrzewanie, co zamieniało nasz dom w lodowy hotel i zimowymi rankami biegałem oszroniony z sypialni do łazienki. Wejście pod parujący natrysk było ekwiwalentem zawinięcia w ciepły ręcznik przez kochającą cioteczkę i biorąc dzisiaj nawet szybki prysznic, zastygam czasem bez ruchu ogarnięty dziwną nostalgią. To doznanie sprawiło, że znieruchomiałem niczym atom w temperaturze absolutnego zera, mimo że Elizabeth przejeżdżała prawdopodobnie w tym momencie przez żółte światło, żeby nie kazać mi czekać.

Wycierałem się przy oknie, kiedy Elizabeth Agentka podjechała pod „Różaną Tiarę”. Przez kilka minut siedziała w samochodzie, mówiąc do siebie, i dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że używa samochodowego

zestawu głośno mówiącego. Taką przynajmniej miałem nadzieję, ponieważ jeden świr w rodzinie wystarczy. Narzuciłem na siebie jakieś ubranie, zbiegłem po schodach i przeszedłem przez ulicę w miejscu, gdzie znajdowały się podjazdy. Miałem przemożne wrażenie, że jestem uczniem angielskiej szkoły — zupełnie jakbym miał na sobie szkolną czapeczkę i szorty. Kiedy Elizabeth wysiadła z samochodu, zaszedłem ją od tyłu i powitałem wesołym „Jak się macie, jestem Daniel Cambridge”, Lekki wiejski akcent, który zabrzmiał w moim pozdrowieniu, był całkowicie niezamierzony. I nie wiem dlaczego, skoro uparłem się, że jestem angielskim uczniem, wysławiałem się niczym kucharz towarzyszący karawanie osadników. Przypuszczam, że w tym momencie nie wiedziałem po prostu dobrze, kim jestem. Po chwili zacząłem cedzić słowa, by zaraz potem gwałtownie je odcedzić. Na przestrzeni kolejnych kilku zdań zmieniłem akcent z twardego irlandzkiego na rodzaj piskliwej, nosowej angielszczyzny, po czym przeniósłem się do Bronksu, przez cały czas poszukując własnego głosu. W końcu mi się to udało, ale dopiero gdy Elizabeth zapytała, skąd pochodzę, na co, ratując się, odparłem, że jestem synem pułku.

Ruszyłem na pierwsze piętro w ślad za Elizabeth, która wyjęła z torebki deprymująco wielkie kółko z kluczami, pobrzękującymi niczym tamburyn. Przez chwilę przekładała i sortowała klucze; drzwi apartamentu udało jej się otworzyć za szóstym podejściem. W środku wyczułem trzy zapachy. Jeden był zapachem pleśni, drugi mandarynek, i oba pochodziły z tego samego źródła, ze stojącej na kuchennym stole patery z owocami. Trzeci

aromat pochodził od Elizabeth — znajomy zapach lilii, który teraz, gdy znaleźliśmy się w czterech ścianach zamkniętego mieszkania, był całkiem wyraźny i stawał się coraz gęstszy i intensywniejszy, zupełnie jakby tłoczono go do kuchni za pomocą kompresora.

Elizabeth włożyła wonne mandarynki do papierowej torby i wyrzuciła je do śmieci pod zlewozmywakiem, przez cały czas wynosząc pod niebiosa zalety apartamentu numer 214. Miała na sobie obcisłą lnianą spódniczkę, która kończyła się trzy cale nad kolanami, a także pasującą do niej marynarkę i kremową jedwabną bluzkę z kremową jedwabną apaszką. Nastawiła klimatyzację na cały regulator, co wzmocniło zapach pleśni i sprawiło, że oboje zaczęliśmy kichać. Następnie włączyła telewizor w kuchni, żeby apartament sprawiał wrażenie przytulnego, i otworzyła na oścież lodówkę, żeby pokazać mi jej imponującą kubaturę. Czysz wynosi tysiąc siedemset dolarów miesięcznie, oznajmiła, plus kaucja.

— To wspaniały blok — powiedziała. — Zwykle potrzebują referencji, ale mogę panu tego oszczędzić.

— Proszę się nie martwić, mam referencje — zapewniłem ją, zastanawiając się, kto mógłby mi je wydać.

Po raz pierwszy miałem sposobność przyjrzeć się dobrze Elizabeth. Zawsze była albo zbyt blisko, albo zbyt daleko. Teraz mogłem oprawić ją w ramki niczym portret i obejrzeć wszystkie detale. Była opalona. Domyślałem się, że nie na słońcu. Miała kilka złotych pierścionków z kamie-



niami szlachetnymi, żaden nie tkwił na serdecznym palcu. Na złotym łańcuszku na szyi wisały inkrustowane sztucznymi diamentami okulary. Oczy miała niebieskie. Nie źrenice, lecz powieki, lekko maźniete cieniem do oczu. Jej skóra miała odcień pomarańczowy, włosy metalicznie złoty, z ciemniejszymi odrostami. Prezentowała całą gamę ludzkich kolorów, które zostały lekko uwypuklone i podrasowane. Wysięk, jaki włożyła w autoprezentację, zwiększył podziw, jaki we mnie budziła. Elizabeth była doskonała w każdym calu. Znała wszystkie sztuczki, które wspomagają urodę; składała się z tego, co kosmetyka ma do zaoferowania najlepszego. Każdy mężczyzna, z którym zdecydowałaby się związać, budziłby zazdrość i osiągnął przy niej pełnię. Człowiek, który zbudował imperium, z pewnością chciałby mieć Elizabeth przy swoim boku. Ktoś taki potrzebowałby jej i zasługiwał na nią. Wiedziałem, że choćbym opowiedział jej tysiąc kłamstw, prawda o tym, kim i czym jestem, i tak wyjdzie na jaw, lecz mimo to stałem tam, kontynuując głupią maskaradę, podczas gdy ona emanowała perfekcją. Zapytała, czy nie chciałbym obejrzeć znajdującego się na tym samym piętrze apartamentu z trzema sypialniami, który właśnie się zwolnił. Musiałem chyba odpowiedzieć twierdząco, ponieważ, zanim się zorientowałem, znaleźliśmy się w sąsiednim mieszkaniu i oglądałem w nim każdą szafę i łazienkę. We wnętrzach nie było mebli, a wysokie obcasy Elizabeth stukały z werwą po gołej podłodze i miałem wrażenie, jakby oprowadzała mnie po nich tancerka flamenco. Przyglądałem się tęsknie poko-

jom, ponieważ były przestronne, pełne światła i świeżo odmalowane. Nie było tutaj zapachu zgniłych mandarynek i powiedziałem Elizabeth, która zwracała się teraz do mnie „Danielu”, że muszę zapytać moją współpracownicę, Sue Dowd, czy tak duże mieszkanie jej nie onieśmieli i nie wpłynie negatywnie na proces twórczy.

Po rytualnym zamknięciu obu apartamentów Elizabeth zeszła pierwsza po schodach na ulicę, otworzyła z odległości ośmiu metrów bagażnik, sięgnęła do niego i wręczyła mi broszurę. Stała na chodniku, tak jak to robiła wcześniej wiele razy, gdy obserwowałem ją z okna. Tyle że teraz to mnie informowała, że „to bardzo dobra lokalizacja” i że „każde mieszkanie ma dwa miejsca garażowe na podziemnym parkingu”. Brałem w tym udział. Brałem udział w konwersacji, którą wcześniej tylko sobie wyobrażałem. Nawet po kilku minutach rozmowy, kiedy to usiłowałem złapać ją na jakimś błędzie, Elizabeth wydawała mi się tak samo niedostępna i idealna jak wcześniej. A ja nadal byłem facetem z drugiej strony ulicy, marzącym o tym, co nieosiągalne.

— Jak wygląda pana obecne mieszkanie? — zapytała.

— Ma jedną sypialnię. Ale zaczyna mi być ciasno — przyznałem.

— Mieszka pan gdzieś w pobliżu?

— Tak — odparłem.

— Może powinnam obejrzeć pana mieszkanie? Zajmuję się zamianami, wynajmem, wszystkim — powiedziała.

Pokiwałem z radością głową, dając do zrozumienia, że doceniam jej gorliwość i gotowość do wszechstronnego obsłużenia klienta. Myśl o Elizabeth w moim mieszkaniu przypadła mi do gustu. Byłby to skromny przedsmak naszego wspólnego zamieszkania. Ale nie mogłem jej zabrać w pokrętną podróż do celu, który znajdował się zaledwie kilka kroków w linii prostej. Mogłaby spojrzeć na mnie z ukosa.

— Mogę przyjechać jutro albo w przyszłym tygodniu — powiedziała.

— Pasuje mi przyszły *tydzień*.

— Jaki jest pana numer telefonu?

— Zmieniam go za dwa dni i nie mam jeszcze nowego. Możemy od razu się umówić.

— Może mi pan powiedzieć, jak tam dojechać?

— Jasne — odparłem. — Proszę jechać Siódmą Ulicą w stronę oceanu. — Elizabeth zaczęła pisać w kołonotatniku. — Skręcić w prawo w Lincoln, potem w lewo w Czwartą, w prawo w Evans i w lewo w Acacia. Mieszkam pod numerem cztery tysiące trzysta osiemdziesiąt cztery.

Elizabeth spojrzała na mnie z ukosa. Jej umysłowi agentki nieruchomości nie zajęło wiele czasu ustalenie, że moje mieszkanie mieści się dokładnie po drugiej stronie ulicy. Absurdem wydawało się niezabranie jej tam od razu, nie mówiąc już o tłumaczeniu, jak dojechać do miejsca znajdującego się dwa kroki stąd. Nie zażądała jednak wyjaśnień, ponieważ widziała już, jak sędzę, dziwniejsze rzeczy. Umówiliśmy się na następny piątek, zaraz po wizycie Clarissy.

Kiedy odjeżdżała, udałem, że mam zamiar zejść z krawężnika. Mój fortel polegał na tym, że pochyliłem się i zachowywałem, jakbym dostrzegł jakąś wymagającą natychmiastowej interwencji skazę na czubku buta. Widząc, jak znika za rogiem, wróciłem do domu moją normalną ósemkowatą trasą, zaglądając po drodze do skrzynki na listy i znajdując tam coś, czego się oczywiście spodziewałem: drugi list od Jabłeczników Teppertona, informujący mnie, iż Daniel Pecan Cambridge współzawodniczy z Lennym Burnsem, Sue Dowd (która, gdyby okazała się przyrodnią siostrą Elizabeth, byłby to dla mnie prawdziwy pech), Dannym Pepelowem oraz Kevinem Chenem, który był prawdopodobnie szpiegiem.

Trudno było sobie wyobrazić, żeby Clarissa nie stawiała się na nasze piątkowe spotkanie. Przyznaję, że ogarnęło mnie rozczarowanie, nie tylko dlatego że te sesje były kamieniem węgielnym mojego tygodnia, lecz ponieważ

nie mogłem się doczekać, by spojrzeć na nią z perspektywy tego, czego się ostatnio dowiedziałem. Poza rozczarowaniem poczułem coś jeszcze: była to troska. Niepojawienie się Clarissy oznaczało, że stało się coś naprawdę złego: ta dziewczyna nie wiedziała, co to znaczy się spóźnić. Jej uczciwość polegała na wypełnianiu swoich zobowiązań, i domyślałem się, że gdybym miał telefon, na pewno by zadzwoniła. Spędziłem tę godzinę konstruktywnie. Wyobraziłem sobie życie Clarissy w formie układanki. Wśród otaczających ją fragmentów było małe dziecko płci męskiej, kobieta o kruczoczarnych włosach, różowy dodge, pozbawione pierścionków palce, sterta książek i notatek oraz jej bardziej skryta aniżeli jawna seksualność. Porównałem ją z Elizabeth, która stanowiła jej przeciwieństwo. W Elizabeth widziałem kobietę, w Clarissie dziewczynę. Ale nie do końca się to sprawdzało. To Clarissa miała dziecko, a Elizabeth starała się złowić męża. Dziewczęca Clarissa zachowywała się jak kobieta, a kobieca Elizabeth zachowywała się jak dziewczyna. To Clarissę obejmował za łydki roczny berbec i planując dzień, musiała pamiętać o opiekunkach do dziecka oraz zabawach w piaskownicy, gdy tymczasem życiem malującej się codziennie Elizabeth rządziła komórka i bezprzewodowy telefon. W moim umyśle Elizabeth cała była w brązach i złocistościach, Clarissa zaś w pastelach i bieli. I chociaż Elizabeth była dorosła, mądra i otrzaskana, a Clarissa ledwie wiązała koniec z końcem i nie skończyła jeszcze studiów, to na niej spoczywała odpowiedzialność osoby dorosłej, a Elizabeth pozostała wieczną studentką.

Zachowałem te wnioski na później i skupiłem uwagę na rebusie z Clarissą, który ułożyłem w powietrzu nad kuchennym stołem. Brakowało tam jednego fragmentu. Gdzie był facet Clarissy? Jej zapładniacz? Zakładałem, że odszedł albo jest w trakcie odchodzenia i że to on jest źródłem lub tematem niepokojących telefonów. Zastąpiła go Kobieta o Kruczoczarnych Włosach, która, jak zakładałem, była przyjaciółką występującą w charakterze opiekunki do dziecka. Kobieta o Kruczoczarnych Włosach stała się teraz zwyczajną Betty albo Susie. Clarissa balansowała na linie i znajdowała się prawdopodobnie w tarapatach. Co dziwne, wiedziałem teraz więcej o mojej psychoterapeutce, niż ona wiedziała o mnie, ponieważ nigdy nie pozwalałem jej wykroczyć poza moje nawyki, co było oczywiście racją ich istnienia.

Czekałem z utęsknieniem na następną sesję z Clarissą, ciekawiło mnie bowiem, jaką formę przybiorą jej przeprosiny. I czy będą krótkie, czy obszerne. Jeśli będzie się długo tłumaczyła („Mój mąż odszedł, jestem zdana tylko na siebie i nie mogłam znaleźć nikogo, kto zaopiekowałby się moim rocznym dzieckiem”), odkryje zbyt wiele, ryzykując naruszenie czegoś, co stanowi być może kodeks psychiatry. Z drugiej strony, jeśli jej wyjaśnienia będą niepełne, może wydać się bezduszna. Tak czy owak znajdzie się w kropce, a ja z radością będę obserwował, jak się skreca, ponieważ sposób, w jaki załatwi tę sprawę, wskaże, co naprawdę do mnie czuje.

Czterdzieści minut później Elizabeth, niegdysiejsza światowa kobieta, przeobrażona w wieczną studentkę,

odwiedziła mnie w trakcie swej podróży po oferowanych do wynajmu apartamentach w Santa Monica. Omyłkowo zapukała do mieszkania Philipa, w którym zaczął szczekać Tiger. Zawołałem do niej z podestu. Jej dźwięczny niczym melodeon głos powitał mnie głośnym „O!”, po czym obróciła swój karteluszek o sto osiemdziesiąt stopni, dzięki czemu dziewiątka stała się szóstką. Schodząc piętro niżej, pochyliła się i wykręciła, żeby zobaczyć schody znad swojego biustu. Próbowałem sprawiać wrażenie bogatszego, niż jestem, co nie było łatwe, zważywszy na to jak skąpymi dysponowałem środkami. Przede wszystkim schowałem rzeczy, które mogły sugerować ubóstwo, jak choćby pootwierane paczki Cheetos z zawartością wysypującą się na blaty z formiki. Wszędzie rozłożyłem plastikowe worki na śmieci, ponieważ uważałem je za dobra luksusowe. Elizabeth weszła i stanęła nieruchomo pośrodku salonu. Lustrując moje mieszkanie w płowego koloru kostiumie, z wysuniętymi lekko do przodu kolanami (co wymuszały buty na wysokim obcasie), wyglądała jak stający dęba żreback. Niestety nic nie zrobiło na niej wielkiego wrażenia, interesowało ją wyłącznie to, co trzeba było umieścić w standardowym opisie: liczba sypialni, aneks kuchenny, podłączony do kablówki (w rzeczywistości nie była to wcale kablówka, lecz stara antena zbiorcza zamontowana na dachu) telewizor, który włączyła, klimatyzator, który sprawdziła, liczba łazienek (odkręciła kran, żeby, jak przypuszczam, zobaczyć, czy nie popłynie z niego rdzawa woda). Byłem wzruszony, gdy zajrzała do mojego pokoju i oznajmiła: „To chyba główna sypialnia”. Nazwanie tej

obskurnej klitki główną sypialnią można porównać do awansowania Gomera Pyle'a\* do stopnia generała majora. Elizabeth usiadła w salonie, wpisała sprawnie dane do kwestionariusza i zapytała, jak mi się podobał apartament po drugiej stronie ulicy. Czy podjąłem już decyzję? Zacząłem się rozwodzić na temat komplikacji związanych z jej podjęciem i konieczności skontaktowania się z moją nieistniejącą współpracownicą. Po kilku minutach zauważyłem dziwny grymas, który pojawił się na twarzy Elizabeth. Wpatrywała się w coś, co znajdowało się za mną, mniej więcej na wysokości pasa. Opadła jej szczeka, a dłoń, w której trzymała pióro, znieruchomiała. Odwróciłem się, spojrzałem na telewizor i mnie również opadła szczeka. Gdybym coś pisał, moja ręka także zastygłaby w bezruchu. W telewizji pokazywali, jak włoką mnie dokądś po fikcyjnym aresztowaniu w *Kronice kryminalnej*. — Mój Boże, ten facet jest do mnie łudzaco podobny — wykrztusiłem po dłuższej chwili. Dłuższa chwila była mi potrzebna, by wrócić do siebie po szoku, który spowodowało nic pechowe wyznaczenie daty i godziny emisji, lecz to, jak źle wypadłem w telewizji. W niebieskiej kurtce wyglądałem jak grubas, którym nie jestem. Wyglądałem jak kryminalista, którym nie jestem.

**\* szeregowiec Gomer Pyle, tytułowy bohater amerykańskiego serialu komediowego z lat sześćdziesiątych**



Po chwili pokazano dalekie ujęcie, na którym rozmawiałem z dwoma policjantami. W tle widać było mój blok i nie miało sensu zaprzeczać dłużej oczywistości.

— No dobrze, to ja. Zarobiłem na tym masę szmału — oznajmiłem, kiwając głową, co miało uwiarygodnić moje kłamstwo. — Jedyne słowa, które tam wypowiadam — wyjaśniłem, odwracając się do Elizabeth — to „mówię, mówię, próbuję wyglądać, jakbym mówił”.

Elizabeth spojrzała najpierw na mnie, potem na telewizor, i zorientowałem się, że uznała mnie za kogoś niebezpiecznego. To był przełomowy moment. Cały mój mały wszechświat zatrzęsł się w posadach i przeorganizował. Wyjaśnię dlaczego: Elizabeth, którą przedtem oglądałem wyłącznie na jej terytorium, przez okno albo we własnej wyobraźni, po przekroczeniu progu mojego mieszkania stała się istotą z krwi i kości, kimś, kto potrzebował miejsca w szafie. W mojej szafie nie było nawet dość miejsca na ciuchy, które miała na sobie w tej chwili. Wiedziałem, że nie mogę dzielić łazienki z osiemnastoma galonami pianki do włosów, i zacząłem sobie uświadamiać, jak bardzo Elizabeth nie pasuje do mojego życia. W tym czasie oglądała mnie w telewizji i na jej twarzy pojawiła się łagodna odraza. W ciągu tych kilku długich sekund nasze bieguny magnetyczne przesunęły się: ona stała się zwyczajna, ja podejrzany.

Elizabeth uznała chyba, że mój blok jest czymś w rodzaju otwartego zakładu karnego, ponieważ zapytała, czy mieszkają w nim skazani. Odpowiedziałem, że nie, i sta-

rałem się bardzo dokładnie wytłumaczyć całą historię z programem telewizyjnym. Mimo to, kiedy zacząłem opowiadać o morderstwie na dole, dostała czkawki i poprosiła o wodę. Spełniłem jej prośbę z pewną dozą dumy, ponieważ woda z kuchennego kranu nie była nawet odrobinę brunatna. W tym momencie zadzwonił jej telefon. Elizabeth powiedziała trzy razy „tak” i rozłączyła się. Mówiła takim tonem, jakby osoba po drugiej stronie linii usłyszała napięcie w jej głosie i starała się odgadnąć, co jej grozi, zadając pytania typu: „Dobrze się czujesz?”, „Jesteś w niebezpieczeństwie?” oraz „Czy chcesz, żeby po ciebie przyjechać?”. Po chwili już jej nie było i patrząc przez okno, jak wychodzi z bloku, poczułem ukłucie dawnej tęsknoty spowodowane faktem, że znaleźliśmy się przez chwilę na swoich dawnych pozycjach.

Kiedy przyjrzałem się tym dwóm kobietom, Elizabeth we własnej osobie oraz Clarissie w mojej wyobraźni, przyszło mi do głowy elektryzujące pytanie: czy można zgarnąć moją miłość do Elizabeth i przerzucić ją na Clarissę? Bardzo mnie to zaniepokoiło, oznaczało bowiem, iż tkwiący we mnie węzeł miłości nie ma nic wspólnego z osobowościami obu kobiet. Sugerowało, że gdybym tylko chciał, mógłbym adorować każdą rzecz albo osobę, którą miałbym ochotę adorować. Kolejna myśl postawiła mnie jednak na nogi. Wiedziałem, że miłość, kiedy już do kogoś przylgnie, nie odkleja się bez wielkiego wstrząsu, bez przemykających mimowolnie przez umysł straszliwych obrazów zdrady, bez wizji nieszczęsnej i niepocieszonej psyche, będącej więźniem zalegającej w sercu rozpacz.

Clarissa ułatwiła mi jednak podjęcie decyzji. Odbijała światło, podczas gdy Elizabeth je wchłaniała. Clarissa była promykiem słońca, Elizabeth księżycową kremówką. W związku z czym moja fascynacja Elizabeth zmieniła się w postfascynację i obróciłem swe cyklopowe oko ku Clarissie. Owszem, zawsze będę w jakiś sposób kochał Elizabeth i któregoś dnia znowu będziemy mogli się spotkać. Na razie było jednak na to za wcześnie. Lepiej, aby zaleczyła rany ze swoimi przyjaciółmi, na swój własny sposób. Ale sama była sobie winna. Zniszczyła to, co było między nami, popełniając monstrualną gafę: spotkała się ze mną.

Długo po tym, jak zaszło słońce, moje myśli gromadziły się, rozlewały i dzieliły. Jakie miałem szanse u Clarissy? Zerowe, absolutnie zerowe. W ciągu dziewięciu miesięcy składanych mi dwa razy w tygodniu wizyt ani razu nie położyła na moim języku sakramentu romantycznej fascynacji. Mało tego, przemawiała do mnie tonem, którego używa się w stosunku do psychicznie chorych: „Jak się dzisiaj czujemy?”, co oznaczało, „Jak czujesz się ty i te wszystkie mieszkające w twojej głowie szajbusy?”. Clarissa wiedziała przynajmniej, że jestem łagodny. Nie jest to jednak epitet, którym chciałoby się określać własnego małżonka. „To mój mąż. Jest łagodny”.

Mimo przeblysków dobrego samopoczucia wywołanych pomysłem pokochania Clarissy zamiast Elizabeth zacząłem późną nocną porą przyglądać się sobie, zastanawiać nad swoją sytuacją i oceniać życie, które wiodłem do tej pory. Nie wiedziałem, co sprawiło, że byłem taki, jaki

byłem. Nie wyobrażałem sobie, bym mógł być inny. Nie wiedziałem, co we mnie tkwi, i jak mógłbym to odczarować. Musiał istnieć jakiś klucz, osoba lub rzecz, jakaś piosenka, wiersz bądź wiara, w ostateczności jakaś stara maksyma, dzięki której można by to uczynić, lecz wszystkie one wydawały się zbyt odległe, i zapędzając się coraz dalej i dalej w autoanalizę, zakończyłem wieczór taką oto niewesołą refleksją: Spokojne serce ma niewielu wielbicieli.

W środku nocy obudziłem się wystraszony i spocony. Złapałem za skraj koca i podciągnąłem go pod samą brodę, chroniąc się przed morderczą bestią, która bez wątpienia czaiła się w pokoju. Leżałem nieruchomo na wypadek, gdyby nie uświadomiła sobie, że tam jestem. Wstrzymałem oddech, żeby nie robić hałasu, a potem powoli wypuściłem powietrze, w ogóle nie poruszając pierśią. Ta technika okazała się w końcu zawodna i musiałem co jakiś czas zaczerpnąć tchu. Nikt jednak nie zabił mnie tej nocy, żaden nóż nie przebił koca, niczyja dłoń nie złapała mnie za gardło. Spoglądając wstecz, jestem w stanie zidentyfikować źródło mojej paniki. Chodziło o to, że prowadząc z samym sobą sokratejski dialog o naturze miłości, nie miałem przy sobie strzegącego logiki Sokratesa. Byłem tylko ja, rozhuśtany pomiędzy biegunami. Nie było nikogo, kto by mnie skorygował i w konsekwencji żadna myśl nie wynikała w konieczny sposób z poprzedniej. W gruncie rzeczy każda była często sprzeczna z tą, która ją poprzedzała. Próbowałem narzucić mojej rozchwianej logice klarowność i to zakłóciło właściwy mi zmysł porządku.

Dwa dni później zobaczyłem na chodniku przed sąsiednim blokiem chudego jak tyczka mężczyznę w garniturze i krawacie. Przez chwilę myślałem, że to jeździec bez głowy, ale facet miał głowę i nie miał konia. Powykrzywiany na wszystkie strony, sprawdzał numery budynków wzdłuż całej przecznicy, kołysząc się z boku na bok, wyciągając szyję, podnosząc wzrok i jednocześnie zginając się wpół, by sprawdzić adres, który trzymał w dłoni. Ta jednoosobowa menażeria pełzła chodnikiem, poruszając niczym sowa głową, żeby spojrzeć raz z bliska, raz z daleka.

Widząc adres nad schodami mojego bloku, znalazł chyba to, czego szukał. Zebrał się w sobie, wszedł po schodach i zapukał do moich drzwi.

— Daniel Cambridge?! — zawołał. Policzyłem do trzech, po czym otworzyłem drzwi.

— Słucham? — powiedziałem.

— Gunther Frisk z Jabłeczników Teppertona — przedstawił się. Usiedliśmy, ja w fotelu, on na sofie. Telewizor był tym razem wyłączony, nie chciałem bowiem, by do salonu zakradła się zabłąkana *Kromka kryminalna*. Gunther Frisk zapytał, czy jeśli wygram, będę dysponował wolnym cza-

sem czwartego marca, aby przeczytać mój esej w CoI"ege'u Wolności.

— Sprawdzę w terminarzu — odparłem. — Ale mogę zawsze przesunąć to i owo.

— Muszę panu zadać kilka pytań. Pański wiek?

— Dwadzieścia dziewięć lat.

— Żonaty?

— Zaręczony.

— Gdzie pan pracuje?

— Zajmuję się bokserami.

— Zawodnikami czy psami? — zapytał, parskając śmiechem.

— Psami — odparłem, dokonując wyboru.

— Miał pan kiedyś kłopoty z prawem?

— Nie.

Zastanawiałem się, czy zada mi w końcu pytanie, na które odpowiadając, nie skłamię.

— Czy jest pan jedynym autorem swojego eseju?

— Tak, — Podziwiałem się za to, że potrafię udzielić prawdziwej odpowiedzi z taką samą bezczelną szczerością, z jaką go wcześniej pięć razy ołgałem.

Gunther Frisk wyjaśnił mi zasady sędziowania, kazał podpisać dokument, w którym wyrzekałem się wszelkich roszczeń prawnych, dał mi kupon na mrożony jabłecznik i wyszedł.

Patrzyłem przez okno, jak wraca do swojego samochodu, otwiera drzwiczki i wsiada. Podniósł leżący na fotelu pasażera notes, przyjrzał mu się ze skonsternowaną miną, po czym ponownie zapuścił żurawia, spoglądając w stronę mojego bloku i znów zerkając do notesu. Opóźnioną reakcją oglądałem dotychczas wyłącznie w wykonaniu komików, lecz ta była całkowicie autentyczna. Frisk wysiadł z samochodu i ponownie porównał to, co miał w notesie, z numerami domów. Wszedł po schodach, zaszurał stopami przed moim mieszkaniem i zapukał kilka razy. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem na jego twarzy wyraz zaskoczenia, zupełnie jakby wzuł rankiem buty i zorientował się, że mają rozmiar siedemnasty.

— Przepraszam — powiedział, zaglądając do notesu. — Czy... czy tu... czy mieszka tutaj Lenny Burns?

Zastygliśmy w bezruchu, gapiąc się na siebie. Odpowiedź, jakiej mu w końcu udzieliłem, usprawiedliwiła, dzięki Bogu, wieczność, która upłynęła, zanim się odezwałem.

— Umarł — powiedziałem. — Umarł! — dodałem głośniej. — W wieku dwudziestu ośmiu lat! — Wydałem

z siebie zdławiony szloch, czerpiąc siły z tej samej intensywnej wiary, jaka przyświecała mi, kiedy podpisywałem esej nazwiskiem Lenny'ego Burnsa. Dla lepszego dramatycznego efektu, osunąłem się na sofę. Czy doświadczenia, jakie zdobyłem w *Kronice kryminalnej*, uczyniły ze mnie drugiego Ala Pacino? Gunther stanął w drzwiach.

— Och, tak mi przykro — powiedział. — Pan Burns mieszkał tutaj?

— Był moim kuzynem, trzecim kuzynem od strony macochy, ale byliśmy jak bracia. Nie wyobraża pan sobie, jak nagle... wszyscy w naszym bloku tak go kochali.

Szczerą wiarą w to, co mówię, odebrała mi głos.

— Doszedł do finału... podobnie jak pan — oświadczył Gunther.

— O mój Boże, cóż za ironia losu! — wykrzyknąłem. — Razem przystąpiliśmy do konkursu. Lenny'emu spodobał się pomysł, że może być typowy, i kiedy wbił to sobie do głowy, chciał być najbardziej typowy. Tak bardzo by się cieszył, że został finalistą. Dlaczego nie przyjechał pan wczoraj, zanim Lenny odszedł?

Przechodząca korytarzem Philipa usłyszała moje łkanie i zobaczyła otwarte na oścież drzwi oraz skulonego z żalu Gunthera Friska.



— Co się stało?! — zawołała do mnie.

— Chodzi o Lenny'ego — odparł Gunther, starając się być pomocny. — Lenny umarł.

Na obliczu Philipów odmalowała się taka pustka, tak zupełny brak reakcji, że można by sądzić, iż doznała nagłego, katastrofального, makabrycznego szoku. Wstałem, przyciągnąłem ją do siebie i przytuliłem jej twarz do ramienia w geście pociechy. A także by nie mogła się odezwać.

— Wybacz pan — powiedziałem do Gunthera, który wymamrotał słowa przeprosin, uświadamiając sobie, że wypaplał informację, którą powinien był chyba przekazać ksiądz.

— Skontaktuję się z panem — rzucił i wycofał się z mojego mieszkania.

Był jasny południowo kalifornijski dzień, światło wlewało się do Rite Aid przez szklane tafle wielkości furgonetek. Towary w środku odbijały je niczym milion pryzmatów. Przypominające klawisze organów batoniki lśniły w swoich sreberkach. Rzędy kartonów z detergentami tworzyły koncentryczne kręgi rozwibrowanych kolorów. W niewielkim asortymencie garnków i patelni odbijały się wydłużone kontury innych atrakcji. Zielone gumowe rękawice zwisały z metalowych wieszaków ni-

czym obrazy Duchampa, a ponad tym wszystkim migotały żółte włosy Zandy, przesuujące się niczym słońce, wschodzące i zachodzące za horyzontem maści i balsamów.

Miałem do kupienia parę rzeczy w aptece i szczęśliwy traf chciał, że obsłużyła mnie właśnie Zandy. Kupowałem szesnaście pomadek ochronnych. Nie było to spowodowane wewnętrznym przymusem, lecz względami praktycznymi. Dziesięć chowam do szuflady, a pozostałe sześć umieszczam w różnych miejscach w mieszkaniu, żeby były pod ręką. Dałem jej pieniądze, a ona mogłaby właściwie zwrócić się do mnie po imieniu, ponieważ realizowała recepty na wszystkie leki, jakie kiedykolwiek brałem.

— Nadal zażywa pan inderal? — zapytała.

Brałem przez jakiś czas inderal, żeby uchronić się przed palpitacjami. Teraz go odstawiłem.

— Raczej nie — odparłem.

— Pomaga panu valium?

— Jestem po nim trochę zamroczony.

— Przestał pan brać prozac.

— Już go nie potrzebuję.

— Ma pan słabość do tych pomadek, prawda?

Mogła zbierać o mnie dane do kwestionariusza, ale mogła też ze mną flirtować. Nie miałem pojęcia, co o tym myśleć. Wiedząc, jakie leki płyną przez mój krwiobieg, zawarła ze mną bardzo intymną znajomość. Gdyby takie pytania zadawała mi kelnerka, uznałbym bez wahania, że do mnie startuje.

Z bliska Zandy nie była nieskazitelna, jeśli chodzi o urodę, i to sprawiło, że polubiłem ją jeszcze bardziej. Czubek nosa był lekko skrzywiony, jakby ktoś nastawił go na godzinę trzecią. Za to jej skóra była tak jędrna i świeża, że nie mogłem się zmusić, żeby odejść. Kiedy wziąłem torbę z pomadkami, powiedziała, żebym nie zapomniał reszty, a potem dodała coś cudownego. Powiedziała: „Do zobaczenia”. Musiałem tam zostać jeszcze sekundę i nacieszyć się nią, zanim zdołałem odkleić stopy od podłogi.

Zbliżała się druga i ciekawiło mnie, czy Clarissa tym razem się pojawi. Nie było powodu, by sądzić inaczej, ponieważ wcześniej w tygodniu wsunęła mi pod drzwi odręczny liścik ze szczerymi, aczkolwiek nieco formalnymi przeprosinami i zapewnieniem, że w następnym tygodniu spotkamy się o zwykłej porze.

Zakładałem, że są to typowe przeprosiny, których uczą w rozdziale piętnastym podręcznika psychoterapeuty: nie udzielaj zbyt wielu osobistych informacji. Jednakże pomyśl, aby beznamiętny psychiatra skradał się po schodach i wsuwał liścik pod próg pacjenta, nie zostałby prawdopodobnie dobrze przyjęty

przez jakikolwiek organ kontrolny, który zajmuje się takimi sprawami. Z drugiej strony Clarissa była tylko studentką i można jej było wiele wybaczyć.

W piątek o drugiej po południu — dokładnie kiedy wskazówka sekundowa znalazła się pośrodku dwunastki — Clarissa zapukała i pchnęła drzwi, które zostawiłem umyślnie lekko uchylone.

— Tak mi przykro — powiedziała. Clarissa była mistrzynią przeprosin.

— Wszystko w porządku? — zapytałem, żeby uzyskać informację, którą już znałem, ale chciałem usłyszeć od niej.

— O tak — odparła. — Nie mogłam załatwić... — Chciała powiedzieć „opiekunki do dziecka”, zorientowała się jednak, że za bardzo się odsłoni, i zmieniła zdanie na: — Coś mi wypadło i nie mogłam się z tobą skontaktować.

— Chcesz się czegoś napić? — zapytałem.

— Masz red bulla?

Red buli jest silnie działającym, zawierającym kofeinę napojem, który zmienia dorosłych mężczyzn w rezonujące wibrafony.

Wypicie red bulla wywiera na mnie silniejszy wpływ aniżeli wypicie butelki szkockiej. Kilka lat temu, po moim pierwszym red bullu — który był również moim

osiątnim — zająłem pozycję strzelecką na podłodze salonu, otworzyłem talię kart, zacząłem je rozdawać i za każdym razem miałem w ręku pokera. Wyliczyłem, że dobra karta trafia się na ogół kilku graczom jednocześnie, a jeden ful oznacza, że w rozdaniu może być więcej fuli. Z kolei słaba karta *u* jednego z graczy może oznaczać, że inni też mają ją nienadzwyczajną. A ponieważ ten drobny epizod trwał dziewięć godzin, w moim domu nie wolno pić red bulla. Prośba Clarissy o doładowanie kofeiną świadczyła o tym, że musi się czymś pokrzepić, jeśli chce przetrwać sesję ze mną.

— Nie mam ani jednego red bulla, ale znam kogoś, kto może go mieć — powiedziałem.

Choć Clarissa zarzekała się, że „nie trzeba”, przeprosiłem ją i udałem się do Briana i Philipa. Zaglądając do ich mieszkania, zobaczyłem Briana drzemiącego na sofie. Dolna szczęka opadła mu niczym zwodzony most i nie miałem serca go budzić.

Wróciwszy do siebie, stwierdziłem, że Clarissa usadowiła się w fotelu i wpatruje się w podłogę. Miała na sobie wymuskaną różową bluzeczkę, w której wyglądała jak namalowana przez Normana Rockwella dziewczyna miesiąca. Rumieniec na policzkach wprowadzał w błąd co do jej prawdziwego wieku. Na jej miękko zaokrąglonej twarzy jedna różowość przechodziła w drugą i nie dawało to najmniejszego pojęcia o przeciwnościach losu, z jakimi się borykała. Wyglądało na to, że postanowiła pozostać niewinna i nie angażować się, mimo iż życie popychało ją boleśnie do przodu. I nagle wszystkie moje domysły wzięły w łeb, ponieważ na mnie spojrzała.

— Jak się czujesz? — zapytała. Udało jej się wykrztusić tych kilka słów, nie była jednak w stanie mówić dalej. Znów opuściła wzrok, co pokrzyżowało mi szyki. Usiadłem. Och, nie trzeba było nic więcej, bym ją pokochał, ponieważ byłem przy niej, cały czas ją rozumiałem i pragnąłem wesprzeć. Nie musiałem nawet dokładnie wiedzieć, co ją trapi. Więźnący w gardle głos Clarissy symbolizował całe zło, które wisi w powietrzu nawet w najszcześniejsze dni.

Clarissa nie przeprosiła za to, że załamał jej się głos, co oznaczało, że w tym momencie pozostajemy w osobistych stosunkach. Przeprosiny były dla niej sposobem na zachowanie dystansu i oficjalności. Obróciła się w stronę okna i **uniosła** kilka centymetrów, żeby spojrzeć na chodnik. Wiedziałem, że wkrótce wykonam ten sam manewr, żeby zobaczyć, czemu się tak przygląda. Wszystko było chyba w porządku, bo obróciła się ku mnie z głuchym westchnieniem.

— Czasami — powiedziała — czuję się, jakbym była w niebie i ściągnięto mnie z powrotem na ziemię. Zobaczyłam, jak powinien wyglądać świat, a teraz widzę, jaki jest — dodała, ponownie zerkając w bok.

Wstałem, skrzyżowałem ręce na piersi i oparłem się o ścianę. Zobaczyłem na ulicy kobietę o kruczoczarnych włosach, trzymającą za rączkę chłopczyka — tego samego chłopczyka, którego widziałem z nią w centrum handlowym. Intrygowało mnie, dlaczego Clarissa, skoro ma opiekunkę do dziecka, ciągnie ich do miejsc, w których

pracuje. Słuchając jej i obserwując pozbawioną akcji scenę na ulicy, zobaczyłem nagle wyjeżdżającego zza rogu mercedesa. Zauważyłem go, ponieważ pojawił się po raz drugi w ciągu niecałej minuty i pędził z dużą szybkością. Za tym drugim razem kobieta o kruczoczarnych włosach również go zobaczyła i zrobiła kilka kroków w tył. Samochód zatrzymał się i cofnął. Widząc, że wyglądam przez okno, Clarissa wstała i odwróciła się do mnie przestraszona. Mercedes stał teraz bokiem na środku ulicy. Kierowca wysiadł, zostawiając otwarte drzwiczki, i podszedł do kobiety z dzieckiem. Był wymuskany niczym świeżo skoszony trawnik. Jego twarz okalała elegancka bródka, a łysinę krótko przystrzyżone siwe włosy. Śnieżnobiała koszula podkreślała ciemny odcień świetnie skrojonego garnituru. Słyszałem, jak klnie i wrzeszczy. Był nakręcony jak sprężyna i szybko się na naszych oczach rozkręcał.

Nastąpiła straszliwa reakcja łańcuchowa. Mężczyzna, który wyglądał jak ubierający się u Armaniego Mussolini, wydierał się coraz głośniej, a potem zwinął dłoń w coś na kształt dzioba i zaczął nią trącać kobietę niczym rozwścieczony łabędź. Kobieta chwiała się po każdym uderzeniu, lecz nie dawała za wygraną, wydając gniewne, równie głośne okrzyki. Mężczyzna stracił w końcu panowanie nad sobą i pchnął ją zbyt silnie. Kobieta zatoczyła się i potknęła. Cały czas trzymała jednak za rękę chłopca i padając, pociągnęła go za sobą. Po tym uderzeniu reakcja łańcuchowa przekroczyła punkt krytyczny i objęła moje mieszkanie. Poczulem pchnięcie, pod wpływem którego chłopiec upadł na ziemię, i ogarnęło mnie prze-

rażenie, jakie wzbudziły w nim hałas i przemoc. Zbiegałem po schodach w ich stronę, słysząc krzyki biegnącej za mną Clarissy i dobiegające z okna Philipów szczekanie Tigera. Kiedy ogarnięty paniką przeskakiwałem po trzy stopnie naraz, wszystko, jak zwykle w takich wypadkach, zaczęło dziać się w zwolnionym tempie i każda sekunda zmieniała się w minutę. W tych sekundach, kiedy czas zwolnił bieg, zastanawiałem się, dlaczego nie mogę zejść z krawężnika, skoro stopnie nie nastreczają mi żadnych problemów. Dlaczego nie mogę nazwać krawężnika stopniem i go pokonać? Dlaczego postrzegam światło lampy w kategoriach ilości, a nie stopnia? Ponieważ tak jest napisane na żarówce, oto dlaczego. Zorientowałem się nagle, co jest moim strażnikiem: język. To język był moim wrogiem. Język pozwalał mi pakować podobne zjawiska do oddzielnych pudełek, izolować je od siebie i wyznaczać sobie różne tabu. Byłem na dole schodów, gdy czas dogonił sam siebie. Krzyk dziecka przerwał moje rozmyślenia, chaotyczne i gniewne głosy działały mi na nerwy. Skręcając w stronę trawnika, usłyszałem, jak gwizdże mi w płucach.

Głos napastnika stał się ochrypły, słyszałem, jak wrzeszczy: „Ty cipo, ty cipo!”. Kiedy pędziłem po trawniku, odwrócił się i złapał dziecko za ramię, próbując je podnieść. Rzuciłem się między nich i przykryłem chłopca niczym plandeka. Mężczyzna usiłował mnie z niego ściągnąć, lecz ja zacisnąłem dłoń na wkręconym w ziemię zraszacz i nic można mnie było ruszyć. Facet zaczął kopać mnie w żebra.



— Kurwa twoja mać — powtarzał.

Starając się ściągnąć mnie z chłopca, podał mi koszulę. Krzyki małego przybrały tymczasem na sile, dotarły do mieszkania Philipa i obudziły gniewnego supermana. Zanim się zorientowałem, brodacz został ze mnie ściągnięty i ciśnięty na swój samochód. Zobaczyłem Briana, który trzymał go tam, stojąc między nim a mną, oraz Tigera, szczerzącego kły kilka metrów dalej. Facet pieniał się, pluł na wszystkie strony, przeklinał Clarissę i usiłował wyrwać się z uścisku Briana, który był od niego dwa razy większy i sto razy bardziej męski, i który wepchnął go do samochodu i przed jego odjazdem zdążył kopnąć w drzwiczki mercedesa, co pozostawiło w nich prawdopodobnie, jak zdałem sobie później sprawę, wgniecenie za trzy tysiące dolarów.

Clarissa wzięła w ramiona swojego chłopca, zawodzącego teraz jak syrena. Przytuliła jego głowę do swojej i powoli zaczął się uspokajać. Emocje opadły i zastygliśmy w milczącym *tableaux*, lecz każdy, kto podszedłby bliżej, domyśliłby się, że przed chwilą stało się coś strasznego. Clarissa podeszła do miejsca, gdzie leżałem zwinięty na ziemi, i zapytała, czy dobrze się czuję. Odpowiedziałem, że tak. To moja siostra Lorraine, powiedziała, wskazując kobietę o kruczoczarnych włosach. To Brian, oznajmiłem. A Brian stał tam niczym Balzac Rodina.

— Nic się nikomu nie stało? — zapytał, rozglądając się.

— Nie, nic — odparliśmy wszyscy.

— To jest Teddy — powiedziała Clarissa, wysuwając do przodu małego.

Teddy podniósł rękę, rozpostarł palce i pokazał mi umazaną trawą dłoń. Miałem rozdartą koszulę i Clarissa dotknęła moich odsłoniętych żeber.

— Uch... — westchnąłem i cieszyłem się, że wybrałem idealne słowo na tę okazję.

Po upewnieniu się, że Mussolini odjechał i nie widzi, dokąd się udajemy, nasz pięcioosobowy oddział pomaszerował do mojego mieszkania. Brian objął dowództwo. Zapytałem, czy ma red bulla, i okazało się, że owszem, ma. Przyszło mi do głowy, że popełniłem błąd: teraz, kiedy Clarissa miała ochotę załadować broń i skosić faceta, który zaatakował jej dziecko, wypicie red bulla mogło się okazać dla niej niebezpieczne. Musiałem pilnować, żeby nie popełniła jakiegoś przestępstwa. Jeśli już, był to chyba odpowiedniejszy moment na mój zaprawiony quaaludem napój ze źdźbeł pszenicy, lecz dawno już uznałem, iż zaprawianie drinków to zły pomysł, ocierający się o amoralność. Poza tym obawiałem się chemicznej kolizji pobudzacza z uspokajaczem i zastanawiałem się, czy ta kombinacja nie doprowadzi do małej eksplozji w puszcze.

Teddy raczkował po moim mieszkaniu, co jakiś czas podnosząc się i łapiąc za parapet. Brian stał niczym wartownik na posterunku, zadając pytania w rodzaju

„Kim był ten facet?“, niestety, ani razu nie doczekał się wyczerpującej odpowiedzi. Ja jednak wiedziałem, kim był: gniewnym nieposkromionym tyranem, mszczącym się za domniemane zniewagi sprawcą wszystkiego, ojcem Teddy'ego, eksmężem Clarissy. To małżeństwo musiało trwać krótko, ponieważ ona była młoda, dziecko maleńkie, a mąż zbyt agresywny, by być z nią dłużej. Domyślałem się, że Clarissa odeszła, gdy po raz pierwszy ujawnił swoje mordercze skłonności — nie mając powodu dłużej się maskować, skoro wszedł w jej posiadanie.

Siostra Clarissy, która najwyraźniej skądś przyleciała, aby na czas kryzysu otoczyć opieką Teddy'ego, była najbardziej wściekła na Mussoliniego, a także najbardziej elokwentna, wyliczając Clarissie wszystkie jego najgorsze cechy i przedstawiając wszystkie prawne i praktyczne sposoby, aby go poskromić.

— Wiem, że nie możesz go nienawidzić, bo jest ojcem twojego dziecka — powiedziała — więc ja będę go nienawidziła za ciebie.

Clarissa niedostrzegalnie drżała; obserwowałem, jak stara się opanować. Wewnętrznie skupiona, robiła to, co powinna robić, będąc matką: zastanawiała się, jak może chronić Teddy'ego. Zastanawiając się, rozglądała się po pokoju, rozważała przez chwilę każdą możliwość, a potem poruszała głową lub ciałem. Można powiedzieć, że reagowała fizycznie na przepływające przez nią myśli. Potrząsała głową, ogarniało ją przerażenie, zaciskała wargi.

— Nie mogę wrócić do domu — stwierdziła w końcu. — Dokąd pójde?

— Możesz zamieszkać u mnie — zaproponowała Lorraine.

— Nie, nie — zaprotestowała Clarissa. — On wie, gdzie jest twój hotel.

— Możecie przenocować tutaj — powiedziałem. — Wszyscy. — Moi goście spojrzeli na siebie i zorientowali się, że to dobry pomysł.

Minęło kilka godzin. Brian zaparkował samochód Clarissy za naszym blokiem na miejscu Philipów. Gdyby Mussolini przejeżdżał ulicą i zobaczył jej samochód, mógłby walić do każdych drzwi w okolicy, starając się ją odnaleźć. Lorraine i Clarissa miały spać w moim łóżku z leżącym pośrodku Teddym. Ja miałem spać na sofie. Philipa przyniosła w prezencie torbę pieczonych kurczaków. Tiger wyczuł je i spodziewając się upojnej uczyty, uśmiechał się do mnie głupawo. Zaoferowałem mu udko i w ostatniej chwili usiłowałem je zamienić na psi herbatnik, ale Tiger nie dał się nabrać, mimo że umoczyłem herbatnik w kurczęcym tłuszczu. Zrobiłem sobie posłanie na sofie, kładąc na niej koc, który pożyczyłem od Tigera i który był pokryty psią sierścią.

Kiedy nadszedł zmierzch, zacząłem się martwić. Wiedziałem, że idąc spać, Clarissa zgasi naturalnie światła w sypialni, a ja nie będę mógł ich wyłączyć w salonie, co oznaczało, że będę spał pod żarówkami o łącznej mocy 1125 watów. Nieco później spostrzegłem, że zostawiła zapaloną małą lampkę, w związku z czym mogłem zgasić jedną piętnastowatówkę. I na tym koniec. Usiłowałem zasnąć pod prażącym o północy słońcem. Położyłem się na brzuchu i schowałem głowę między poduszkami. Po męczących dwudziestu minutach udawania, usłyszałem skrzypienie drzwi, a następnie zmierzające w moją stronę kroki. Kiedy dłoń Clarissy dotknęła mojego ramienia, odwróciłem się.

— Chciałam ci podziękować — powiedziała.

— Och, to nic takiego — odparłem.

— Leżałam w łóżku, myśląc o tym wszystkim, i zdałam sobie sprawę, że nie będę mogła dłużej cię leczyć. Nie powinieneś tyle o mnie wiedzieć, Danielu. Będę musiała poprosić, żeby przydzielili ci kogoś innego.

— Czy te same zasady obowiązują, kiedy jest się stażystką? — zapytałem z nadzieją.

— W jeszcze większym stopniu. Muszę respektować to, jak załatwia się takie rzeczy — stwierdziła. — Gdybym ich o tym nie poinformowała, byłoby to poważne wykroczenie.

Clarissa była Matką Teresą na mój tryd. Pochyliła się nade mną. Patrzyłem, jak jej wargi rozchylają się i zamykają, słyszałem, jak oddycha między słowami. Z bliska jej głos brzmiał inaczej. Był niższy, bardziej dźwięczny, niczym wiatr hulający w szyjce butelki. Z bliska jej uroda się potroiła. Włosy opadły na czoło i rozproszyły padające na twarz światło. Ręka oparła się ospale o sofę, dłonią do góry, prawie jakby nie należała do niej, skóra na nadgarstku była blada, spragniona słońca.

— Dziękuję, że pozwoliłeś nam tu zostać. Jutro poszukamy sobie innego lokum.

— Możecie tu zostać tak długo, jak potrzebujecie — powiedziałem.

— Może będziemy musieli zostać jeszcze jutro. Zadzwoiłam do jego siostry. Powiedziała, że w sobotę wraca do Bostonu. Kiedy odjedzie, nic złego nam się nie stanie. — Clarissa ścisnęła mnie za łokieć i wstała. — Chcesz, żebym zgasła światło? — zapytała. — Nie. Chcę poczytać — odparłem. W pobliżu nie było żadnej książki, a ja nigdy nie mówiłem jej o swoich wymaganiach dotyczących ogólnej liczby watów, w związku z czym rozejrzała się, lekko skonsternowana. Ale pod koniec tego obfitującego w dramatyczne wypadki dnia był to drobiazg niezasługujący na uwagę. Wycofała się do sypialni, zostawiając uchylone drzwi.

Przed dwunastą z nocy wysnuły się dźwięki włączonych gdzie indziej telewizorów, przejeżdżających samochodów, kroków i dobiegających z daleka głosów. Zamknąłem oczy. Światło już mi nie przeszkadzało. Myślałem o dwóch kobietach w moim łóżku i o Teddym, który tkwił między nimi bezpiecznie niczym w środku sandwicza. Moje ciało zginało się i naprężało niczym pociągane za sznurki. Łapałem rozpaczliwie powietrze. Wyobraziłem sobie, że okrywam Teddy'ego niczym koc, ale widziałem to wszystko z góry, podobnie jak Clarissa widziała się z nieba. Kopniaki przeznaczone dla Ted-dy'ego trafiały w moje ciało. Fakt, że podjąłem interwencję w najbardziej dramatycznym momencie, budził we mnie coraz większą melancholię i zachłysnąłem się krótkim szlochem. A potem ujrzałem siebie jako chłopca, który słyszy i czuje padające ciosy, i nie wiem dlaczego, podciągając w górę nogi i ściskając w rękach poduszkę, powiedziałem na głos: „Przepraszam, przepraszam”.

W nocy usłyszałem kilka cichych stęknień i kroków i wydaje mi się, że wszyscy mieliśmy niespokojny sen. Jednak o piątej rano nie poruszało się już nic prócz moich oczu, zachwyconych tym, że mają do rozczłonkowania nowy sufit. W Santa Monica zapanowała w końcu cisza, co wprawiło mój umysł w stan będący przeciwieństwem zen. Zamiast wyzbyć się wszelkich myśli, moja głowa pękała wprost od faktów, liczb, rewelacji, asocjacji oraz produktów. Po wykoncypowaniu, bądź też raczej

wydedukowaniu, jak wpuszcza się do tubki trójkolorowa pastę Aquafresh, stworzyłem nowy magiczny kwadrat:

<b>Babcia</b>	<b>Philipa</b>	<b>Brian</b>
<b>Lorraine</b>	?	<b>Rite Aid</b>
<b>Teddy</b>	<b>Zanrjy</b>	<b>Clarissa</b>

Kiedy kontemplowałem ten diagram mego bieżącego życia, jeden z jego komponentów, Teddy, otworzył ze skrzypieniem drzwi sypialni, wszedł na czworaka do salonu i zatrzymał się. Komponent spojrzał na mnie i się uśmiechnął. Zrobił zwód w prawo, skreślił w lewo i wstał, przytrzymując się ściany i odrywając ode mnie wzrok tylko na kilka niezbędnych sekund. Następnie odwrócił się, oparł dłońmi o ścianę i obchodząc dookoła pokój, dotarł do sofy, na której tak usilnie starałem się zasnąć. Tam klapnął na tyłek i wyciągnął do mnie ręce, co, jak przypuszczałem, stanowiło sygnał, że mam go podnieść. Zrobiłem to i posadziłem go sobie na piersi, gdzie siedział ukontentowany przez mnie więcej minutę, podczas gdy ja gadałem do niego, używając słów, w których często



powtarzała się litera „b”, uważałem bowiem, że ta litera może być zabawna dla jednolatka. Zacząłem od realnych słów — baba, bąbel, bubek, potem zaś przeszedłem do niemających sensu dźwięków — bobo, buba, bimbo. Na jego twarzy ukazywały się kolejno skupienie, niezadowolenie, radość, konfuzja i stres, chociaż z tego, co wiedziałem, nie było żadnego powodu, aby odczuwać niezadowolenie, radość, kontuzję i stres. Z wyjątkiem litery „b”.

Kładąc mu rękę na brzuchu i łaskocząc, odkryłem, że moja dłoń obejmuje całą jego klatkę piersiową. Podniosłem go i przytrzymałem nad głową na sztywno wyciągniętej ręce, co wyraźnie mu się spodobało. Kiedy przechylałem go z boku na bok, rozkładał szeroko ręce i przez kilka chwil przypominał samolot na kiju. Ta symulacja lotu sprawiała mu chyba niebywałą przyjemność.

— Fruwasz, Teddy? Fruwasz w powietrzu? — usłyszałem z tyłu głos jego matki. Musiała wyczuć, że mały wyszedł z łóżka. Rano wymknęli się niczym opuszczająca oazę karawana, i cisza, która zapadła, wyprowadzała mnie z równowagi.

\*

Przez kilka następnych dni nic się nie działo. Z przykrością myślałem o tym, że regularne wizyty Clarissy dobiegły końca. Nie wiedziałem, czym wypełnić te dwie godziny, podwójne gwiazdy, wokół których obracał się mój tydzień. Martwiłem się również o Clarisę, która

przez kilka dni w ogóle się nie odzywała. Zastanawiałem się, czy nie zostałem wykluczony z grupy, ponieważ moja osoba przypominała o czymś strasznym. Jednak w dniu i prawie dokładnie w porze jej normalnych odwiedzin zobaczyłem Clarissę, przechodzącą przez ulicę z Teddym i trzymającą go pod pachą niczym worek z nawozem. W drugiej ręce niosła wypchaną torbę, z której wystawały rzeczy przeznaczone dla małego dziecka.

Otworzyłem drzwi i chciałem powiedzieć „cześć”, lecz ona nie dała mi dojść do słowa i zapytała, czy mogę coś dla niej zrobić. Była tak zirytowana, że obawiałem się, iż zużyje cały zapas irytacji, której mogła potrzebować przy innej okazji.

— Czy mógłbyś zaopiekować się przez kilka godzin Teddym? —

Nic nie mówiąc, zszedłem po schodach i wziąłem od niej chłopca. Gdy to robiłem, zrozumiałem, dlaczego niosła go niczym worek z nawozem. — Trzeba go przewinąć — oznajmiła. I to jak najszybciej, pomyślałem. — Zrobię to teraz — dodała, wchodząc do mieszkania. — To powinno mu wystarczyć.

Clarissa, która była najwyraźniej spóźniona, zmieniła mi błyskawicznie pieluszkę, wskazała kilka zabawek, które powinny go zająć, dała mi butelkę soku jabłkowego, zapisała numer swojej komórki, usiłowała wytłumaczyć, dlaczego tak się śpieszy, obiecała, że będzie z powrotem za dwie godziny, dodała, że Lorraine wróciła do Toronto, ucałowała Teddy'ego na pożegnanie, uściskała mnie na pożegnanie i wyszła.

W ten sposób przedzierzgałem się z pacjenta Clarissy w opiekuna jej syna.

Usiedliśmy z Teddym na podłodze i opróżniłem torbę, w której było dwanaście drewnianych klocków. Klocki te stały się dla nas idealną rozrywką, ponieważ Teddy'ego fascynował ich kształt, ciężar oraz odgłos, jaki wydawały, zderzając się ze sobą, mnie zaś wyryte na nich samogłoski i spółgłoski. Niełatwo było złożyć z nich konkretne słowa. Za dużo było „C”, „B”, „G”, „X” i „Y”, za mało „A”, „E” i „I”. W związku z czym, podczas gdy on starał się z nich coś wznieść, ja starałem się je sensownie ułożyć.

Cokolwiek zrobiłem, Teddy to burzył, cokolwiek rozrzucił, ja odbudowywałem, on układał klocki na chybił trafił, ja starałem się stworzyć coś logicznego. Kiedy Clarissa wróciła po dwóch godzinach, zastała nas urzeczonych pośrodku podłogi.

Dwa dni później zgodziłem się zajmować Teddym od czwartej do szóstej, odrzucając zarazem propozycję Clarissy, która chciała mi płacić pięć dolarów za godzinę.

\*

Wyobrażam sobie czasem dla zabawy nagłówki, które opisywałyby moje codzienne losy. „Daniel Pecan Cambridge kupuje najwyższej jakości kieszonkowy grzebień”. „Mieszkaniec Santa Monica zawiązuje późnym popołudniem sznurowadła”. Wyobrażam sobie te wysokie na pięć centymetrów tytuły i obywateli zatrzymujących się na skrzyżowaniach i czytających je ze zdumionymi mina-

mi. Nagłówek, który nie dawał mi obecnie spokoju, sprowokowany został przez list od Jabłeczników Teppertona, który trzymałem między osłupiałym kciukiem i skosternowanym palcem wskazującym. „Chory psychicznie mężczyzna uznany za najbardziej przeciętnego Amerykanina”. Ust, który zaczynał się od gratulacji, informował, że wygrałem konkurs Jabłeczników Teppertona, i wyłuszczał obowiązki szczęśliwego zwycięzcy. Wraz z innymi finalistami miałem przemaszerować biegnącą przez Kampus Wolności Aleją Wolności, a następnie wejść do Audytorium Wolności i wspiąć się na scenę, by przeczytać na głos esej. Po tym wszystkim mieli mi wręczyć czek na pięć tysięcy dolarów. Niepokoiło mnie nieco zbyt częste użycie w liście słowa „wolność”. Mogłem mieć tu do czynienia z pewną prawidłowością, którą odkryłem w ciągu niecałych trzydziestu pięciu lat mego życia: że mianowicie, im częściej dane słowo jest powtarzane, tym mniej odpowiada prawdzie. Sprawdza się to w przypadku takich określeń jak „okazyjny”, „wyłączny” oraz „uczciwy”. Teraz również słowo „wolność” zaczynało pachnieć niczym majtki Teddy'ego. Ale jakie to w końcu miało znaczenie? Nic znam się na polityce — na studiach głosowałem raz na prezydenta Stanów Zjednoczonych, który z miejsca przegrał, i od tego czasu nie chciałem pogrążyć mojego kandydata, oddając na niego głos. Bez względu na to, jakie było polityczne podbrzusze College'u Wolności, zamierzałem jednak zarobić pięć tysięcy, czytając na głos mój esej.

Przez cały tydzień ćwiczyłem na głos jego czytanie i zwerbowałem nawet Philipe, żeby mnie wysłuchała i poinstruowała. Jej wkład nie ograniczył się bynajmniej do kilku wskazówek. Philipa ujrzała w tym okazji, by dać komuś — komukolwiek — do zrozumienia, jak skomplikowany może być najprostszy występ. Opowiadała anegdoty, wściekała się, prawiała mi komplementy, dąsała się, krzyczała „Tak!” i w ogóle traktowała to zbyt poważnie. Jej celem było przekonanie kogoś — kogokolwiek, a przede wszystkim samej siebie — jak trudna jest jej praca, skoro takie zero jak ja potrzebuje profesjonalnej porady. Już mnie prawie przekonała, kiedy uświadomiłem sobie nagle, że idzie mi o wiele lepiej, kiedy nie ma jej w pokoju. Nadszedł piątek i Clarissa podrzuciła mi Teddy'ego razem z gorącymi podziękowaniami i paczką słodczy. Wyściskała mnie i nie bardzo wiedziałem, co o tym sądzić. W najlepszym razie mogło to świadczyć o jej coraz większej miłości do mojej osoby, w najgorszym zaś — co wcale nie było najgorsze — mogło być symbolem zaufania, jakim mnie darzyła, powierzając swoje dziecko. Kiedy wyszła, Teddy wybuchnął płaczem, stanąłem więc z nim w oknie, żeby mógł ją zobaczyć. Nie jestem pewien, czy był to dobry pomysł, ponieważ w którąkolwiek stronę bym się obrócił, Teddy wciąż widział swoją oddalającą się matkę. Kiedy zostaliśmy sami, zacząłem się z nim bawić w Odwracanie i Skupianie Uwagi. Celem gry było skupienie uwagi Teddy'ego na czymś, co lubił, i odciągnięcie jej od tego, czego nie lubił. Tego popołudnia odkryłem, że na każde Skupienie przypada tak samo długie Od-

wracanie o przeciwnym znaku. Pięć minut Skupiania oznaczało, że za jakiś czas czeka nas pięć minut Odwracania.

W ciągu pierwszej godziny wyczerpałem mój repertuar śmiesznych min oraz towarzyszących im nonsensownych dźwięków. Pokazałem mu wszelkie unikalne obiekty w mieszkaniu. Posadziwszy Teddy'ego na przedramieniu, zabrałem go do każdej szafy, sznura od zasłon i uchwyty szuflady.

Ułożyliśmy i rozłożyliśmy przekłete drewniane klocki. Ogarnięty desperacją, postanowiłem zabrać go do Rite Aid, gdzie, jak pamiętałem, był niewielki wybór dzieciennych zabawek. Miałem nadzieję, że Teddy, jako mężczyzna, wskaże te, które położą kres jego frustracji.

Została nam jeszcze jakaś godzina dziennego światła i trzymając się za ręce, podreptaliśmy ulicą do pierwszych przeciwległych podjazdów, którymi wiodła moja trasa. Trochę bałem się przechodzić z nim przez jezdnię, uznałem jednak, że dodatkowa ostrożność, z jaką się rozejrzę, powinna rozproszyć moje obawy. Tak oto Teddy stał się pierwszą istotą ludzką, która towarzyszyła mi w mojej wędrówce do Rite Aid. Nie zadawał oczywiście żadnych pytań, nie posyłał zdziwionych spojrzeń i nie cofał się, by dać mi do zrozumienia, że uważa mnie za świra, a ja miałem wrażenie, że go nabieram, wydawało mi się, że skoro ktoś jest szurnięty, nie w porządku jest wciągać w to osobę, której obca jest sama koncepcja. Jeśli, jak piszą w książkach, moje nawyki istniały po to, by utrzymać na wodzy demony, jaki był sens demonstrowania ich

komuś, kto z całą pewnością nie był demonem? Kto, w gruncie rzeczy, stanowił przeciwieństwo demona?

Zapadał zmierzch i wewnątrz Rite Aid skąpane było we wspaniałym sztucznym białym świetle, które wypełniało demokratycznie każdy zakamarek sklepu. Światło odbijało się od wyfroterowanych podłóg i opakowań tak równo, że nic nie rzucało cienia. Prowadziłem Teddy'ego sklepową alejką, trzymając go za rękę i kierując się w stronę działu zabawek. Po drodze minęliśmy piramidę krakersów, które wprawiły go w zachwyt. Trzeba było nie lada sztuki, aby odciągnąć go od tych słoniowatych czerwonych pudełek z niebieskimi brzegami i pomarańczowymi kólkami. Kusząc go skinieniami głowy i piskliwymi obietnicami rozkoszy, jakie czekały nas w sąsiedniej alejce, dostrzegłem Zandy, która przyglądała nam się ze swojego wysokiego stołka w aptece. Przyglądała nam się, nie robiąc nic poza tym. Jakiś klient zwrócił się do niej z pytaniem i zanim skupiła na nim uwagę, zerknęła jeszcze raz na mnie i z jej ust wydarł się cichy, radosny śmiech.

W tym momencie zacumowałem wraz z Teddym przy wiszącej ekspozycji gier i zabawek i nie tylko mu je pokazałem, lecz prezentowałem każdą, jakby to było berło na aksamitnej poduszce. A on, niczym oglądający kolejne niewolnice nabab, odrzucał wszystkie. Wciąż oglądał się za siebie, kwilił i nie mogąc dokładnie pokazać, o co mu chodzi, otwierał szeroko dłoń, wskazując pięcioma palcami pięć różnych kierunków. W końcu, nie wiem, czy nie przy udziale telepatii, zaprowadził mnie z powrotem do krakersów. Taki był jego wybór i zorientowałem się,

że jest to **wybór** trafny, ponieważ to, co znajdowało się w środku, było szorstkie, kruche i, co najważniejsze, jadalne.

Kiedy wyszliśmy, było już ciemno. Bawiąc się w motorówkę, odpłynęliśmy w mrok, a wesoło oświetlona Rite Aid została za nami niczym restauracja na brzegu jeziora. Podążaliśmy chodnikami i alejkami, mijając budynki i zaparkowane samochody i co jakiś czas słysząc przelatujący nad głowami helikopter. Na jednej ręce posadziłem sobie Teddy'ego, w drugiej trzymałem krakersy. Wzdłuż posesji rósł wysoki żywopłot z zielonymi woskowatymi liśćmi. Noc była wilgotna, lecz niezbyt chłodna, i towarzyszyła nam cisza. Teddy wyciągnął jedną rękę, żeby móc dotknąć żywopłotu. Liście muskały jego dłoń, a on patrzył i słuchał, a czasami łapał i przytrzymywał jedną z gałązek, żeby poczuć, jak wymyka mu się spomiędzy palców, kiedy szedłem dalej. Wkrótce ustanowił całą sekwencję muskania, chwytania i puszczenia liścia. Posadziłem go wyżej na przedramieniu, żeby mógł sięgać dalej, a potem zwolniłem kroku, żeby ułatwić mu zabawę i sprawić jeszcze więcej radości. Kiedy doszedłem do końca przecznicy, miałem wrażenie, że budzę się ze snu.

Clarissa, która przybyła punktualnie o szóstej, zastała mnie i Teddy'ego przy kuchennym stole nad dwoma tuzinami rozczłonkowanych krakersów. Pudełko było rozdarte i powyginane, papierki porozrzucone na stole i podłodze. Na szczęście nie mieliśmy do dyspozycji niczego mokrego; bałagan byłby wówczas niebotyczny. Dokonaliśmy transferu i Clarissa zaproponowała, że



pomoże mi posprzątać, ale wygoniłem ją, wiedząc, że ma na głowie ważniejsze sprawy.

— Swoją drogą, on wrócił do Bostonu i się uspokoił — powiedziała przy drzwiach. — Przysłał nawet alimenty.

Ten krótki komentarz sprawił, że przez całą noc rozmyślałem o pokucie, o tym, co można wynagrodzić i co można wybaczyć, i czy czek od Mussoliniego oznacza, że powinienem zapomnieć o laniu, jakie mi sprawił. Uznałem, że będę mógł odpowiedzieć na te pytania dopiero, gdy ponownie go spotkam i będę mógł przeanalizować moją reakcję na jego skrucę.

Dzień przemówień w Coilege'u Wolności zbliżał się wielkimi krokami. Philpa nadal prowadziła ze mną próby, mimo że starałem się, jak mogłem, aby dać jej do zrozumienia, że robi mi się niedobrze na dźwięk własnego głosu i mam serdecznie dosyć podejmowanych przez nią prób jego nastrojenia. Wystąpiłem raz przed Brianem — pierwszą postronną osobą, która miała okazję mnie wysłuchać — i komplementował mnie tak gorąco, że czułem się niczym trzyletnie dziecko, któremu przyklejono właśnie taśmą do lodówki jego pierwszy bohomaz. Brian zaproponował także, że odwiezie mnie do Anaheim w dniu przyznania nagród, a ja przyjąłem jego propozycję, ciesząc się, że będę miał znajomą twarz na widowni. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że w ogóle nie zaplanowałem, jak się tam dostanę, i Brian był moją

jedyną możliwością. Wyjedziemy o wpół do dziewiątej rano, powiedział. Dojazd do Anaheim zajmie nam półtorej godziny. Marsz Wolności zaczynał się o jedenastej, a mowy o dwunastej i miały trwać przez godzinę. Brian ściągnął te wszystkie informacje z Internetu i specjalnie dla mnie wydrukował, co, jak powtarzał z dumą, stanowiło dowód, że coraz lepiej radzi sobie z komputerem.

Wieczorem przed moją mową nastawiłem budzik dokładnie na godzinę siódmą i sprawdziłem jego działanie, przesuwając wskazówki o dwanaście godzin do przodu, aby upewnić się, czy zadzwoni. Następnie zastanawiałem się przez kilkanaście minut, czy prawidłowo je cofnąłem i musiałem powtórzyć całą operację, żeby sprawdzić, czy ciekłokrystaliczny wyświetlacz wskazuje siódmą przed południem, czy po południu. Starannie wybrałem ubranie, decydując się na brązowe buty, spodnie khaki, niebieską sportową marynarkę oraz świeżo wypraną białą koszulę, z której na wszelki wypadek nie zdjąłem ochronnej torby z folii, żeby w nocy nie przyczepił się do niej jakiś włos albo ciemne włókno. Zrobiłem kilkucentymetrową przerwę pomiędzy wybraną garderobą i innymi ubraniami, aby mieć do niej szybki dostęp. Wziąłem również wieczorem prysznic, mimo że miałem szczerzy zamiar wziąć go ponownie rano. Zrobiłem te na wypadek, gdyby coś poszło nie tak z budzikiem i trzeba było się pospieszyć, a także ponieważ chciałem być nieskazitelnie czysty w trakcie lektury eseju. Dwa prysznice w ciągu niecałych ośmiu godzin powinny sprawić, że będę błyszczał jak nowy. Mój sportowy czternastoletni niebieski blezer z poliestru, na którym nigdy nie pojawiło się ani jedno zagięcie, powinien

ostro kontrastować ze spodniami khaki. Na górze miałem być gładki, niebieski i syntetyczny, na dole pomarszczony, brązowy i naturalny. Wiedziałem, że w idealnym świecie mody, to, co na górze, i to, co na dole, powinno być takie samo: albo całe gładkie, niebieskie i syntetyczne, albo całe pomarszczone, brązowe i naturalne. Nie mogłem się nadziwić, że podobnie jak soja i talk te dwa przeciwieństwa zawisną na jednym ciecie.

W ciągu tych kilku godzin przeprowadziłem się z mego niedoskonałego świata, gdzie za każdym rogiem czaiła się niewiadoma, do miejsca, gdzie było się gotowym na wszystko i przewidywało każdą okoliczność. Ułożyłem szczotkę do włosów, pastę do zębów, skarpetki, mydło i myjkę. Wyczyściłem lustro w apteczce, żeby nie zobaczyć na nim czegoś, co wziąłbym za coś, co jest na mnie. Było to ważne, ponieważ nie chciałem, by cokolwiek stanęło na mojej prostej drodze do podium i by cokolwiek odwracało moją uwagę przez cztery i pół godziny pomiędzy obudzeniem się i przeczytaniem eseju.

Wiedząc, że będę prawdopodobnie zbyt zdenerwowany, by zasnąć na czas, poszedłem do łóżka o ósmej trzydzieści zamiast jak zwykle o dziesiątej trzydzieści, dając sobie dodatkowe dwie godziny, żeby się powiercić i uspokoić. Ułożyłem się pośrodku łóżka z zamiarem spania przez całą noc z twarzą zwróconą ku sufitowi, bez nieeleganckiego ciskania się, obracania z boku na bok, drapania i hałasowania.

Teraz, gdy leżałem pośrodku łóżka, uniwersalny wyłącznik na nocnej szafce znajdował się tuż poza moim zasięgiem i musiałem wygiąć całe ciało, żeby zgasić światło. Uczyniwszy to, wróciłem do swojej idealnie symetrycznej pozycji. Biała pościel była świeżo wyprana i wykrochmalona. Nie było na niej żadnych pozostałości po poprzedniej nocy brudów, które zanieczyściłyby mnie po wzięciu prysznic. Wygłosiłem w myśli całe swoje przemówienie i złożyłem sam sobie krótkie gratulacje. Jestem Najbardziej Przeciętym Amerykaninem, powiedziałem sobie. Najbardziej Przeciętym i Najbardziej Zwyczajnym. Dokonałem tego wyłącznie dzięki własnym wysiłkom i udało mi się to nie tylko raz, lecz dwa razy, z dwoma różnymi esejami. Nie mogłem się doczekać, żeby opowiedzieć o tyra babci, i zapytałem sam siebie, dlaczego nie podzieliłem się z nią jeszcze tą wspaniałą wiadomością. Nie zrobiłem tego, ponieważ wolałem oczywiście poczekać, aż poczuję w ręku nagrodę, i dopiero wtedy się nią chlubić. Jak prawdziwy Teksaszczyk.

Rano tylko lekko się przekrzywiłem. Górne prześcieradło i koc prawie się nie poruszyły. Musiałem spać w sztywnej koszarowej, horyzontalnej pozycji, z której dumny byłby sam generał Patton. Przez krótką chwilę nie mogłem sobie przypomnieć, co to za dzień, ale kiedy sobie przypominałem, skoczyło mi ciśnienie i fala adrenaliny oczyściła moje zatoki.

Zanim zabrałem się do czegokolwiek innego, usiadłem na łóżku i powtórzyłem mowę. Następnie wstałem i wygłosiłem ją ponownie, dodając kilka zaplanowanych ges-

tów. Usatysfakcjonowany, zdjąłem pizamę, złożyłem ją i schowałem do szuflady, po czym włożyłem szlafrok, aby udać się w drogę do odległej o metr i osiemdziesiąt centymetrów łazienki. Tam zdjąłem szlafrok i powiesiłem go na drzwiach. Odkręciłem prysznic, czekałem piętnaście sekund, aż woda nabrała właściwej temperatury, i wszedłem pod jej strumień, pozwalając, by mnie obmył, i doświadczając przy tym dużej przyjemności. Kiedy chwila upojenia minęła, namydliłem i wyszorowałem i tak już czyste ciało.

Każda czynność, którą wykonałem po wyjściu spod prysznica, była przemyślana niczym szachowy ruch. Wycieranie, składanie, wieszanie — wszystko szło gładko aż do włosów. Postanowiłem już wcześniej ich nie czesać, lecz musnąć raz szczotką, a potem po prostu potrząsnąć głową, żeby się swobodnie ułożyły.

Robiłem to tysiące razy, tego dnia nie chciały jednak przybrać niedbałego wyglądu, jaki przybierały prawie po każdym potrząśnięciu głową w moim życiu. Byłem jednak mentalnie przygotowany i na tę ewentualność. Skoro miałem ułożyć włosy, potrząsając głową, musiałem zaakceptować rezultat potrząśnięcia głową. I chociaż mogłem wziąć szczotkę i doprowadzić je do perfekcji, nie zrobiłem tego.

Brian stawiał się punktualnie o wpół do dziewiątej i dobrze zrobił, ponieważ przed jego przyjściem stałem przez dwadzieścia dwie minuty bez ruchu przy drzwiach w ramach strategii antyzmarszczkowej. Byliśmy prawie identycznie ubrani, tyle że on zawiązał krawat. Niebieska góra i brązowy dół — jedyna różnica wynikała z kaprysu

projektanta mody. Moja biała koszula miała stebnówkę wokół kołnierzyka, jego nie. Moja marynarka była z poliestru, jego z wełny, ale obie podobnie błyszczały.

— Nie zakładasz krawata? — zapytał.

— A powinienem?

— Chyba tak.

Podszedłem do szafy i wyjąłem z niej mój jedyny krawat. Był taki paskudny i stary, taki szeroki i niepasujący, taki gruby i poplamiony, że Brian kazał mi założyć swój.

— Chodźmy, stary — mruknął i ruszyliśmy do wyjścia. — Masz swój esej? — zapytał.

— Tak i dodatkową kopię z Kinko's na wszelki wypadek — odparłem.

Złożyłem moją mowę wzdłuż i wsadziłem ją do kieszeni na piersi. Wskutek tego nad klapą wystawał mi mały trójkącik białego papieru, który przez resztę dnia co trzy minuty wpychałem nerwowo z powrotem.

Brian zostawił samochód z zapalonym silnikiem na podjeździe, co ułatwiło mi wsiadanie, ponieważ nie musiałem przestępować przez krawężnik.

— Pojedziemy dziesiątką do piątki, skrećimy w zjazd do Disneylandu, a potem do Orangewood — oznajmił,

wręczając mi plan i czyniąc swoim pilotem. Następnie wycofał się z podjazdu i kazał zapiąć pasy, lecz ja naprawdę nie mogłem tego zrobić. Pas przeciąłby na ukos moją klatkę piersiową i zostawił szeroki ślad na wykrochmalonej białej koszuli. Kiedy skręciliśmy w Siódmą Ulicę, usztywniłem nogi, oparłem je o podłogę i uniosłem tyłek w powietrze. Wyprostowany jak struna, dotykałem teraz fotela wyłącznie ramionami. Nie wiedziałem, czy zrobiłem to dlatego, by nie dopuścić do pogniczenia ubrania, czy żeby nie zapaść w śpiączkę. Odpowiedź pojawiła się później, kiedy zmęczyły mi się nogi. Powoli przybrałem pozycję siedzącą i nic się nie wydarzyło: nie wyleciałem w powietrze, nie zemdlałem ani nie umarłem. Nadal jednak miałem dotkliwą świadomość, że na moich spodniach khaki w okolicach rozporka pojawią się wkrótce głębokie zagniecenia. Kiedy znaleźliśmy się na autostradzie, puściłem na nie nawiew w nadziei, że zadziała niczym parowe żelazko.

— Czy nic będzie ci przeszkadzać, jeśli spuszczę trochę spodnie?

— zapytałem w końcu Briana. — Mam nadzieję, że jeśli je spuszczę, mniej się pogniotą.

— Jasne — odparł, a ja zacząłem się zastanawiać, czy cokolwiek jest w stanie wytrącić go z równowagi.

Rozpiąłem pasek, spuściłem spodnie na uda i zjechałem trochę w dół na siedzeniu, w wyniku czego nogawki wypełniły się powietrzem i przestały się marszczyć. Skierowałem także nawiew na koszulę, która wydeła się niczym żagiel i również stała się mniej podatna na pogniczenie. Usatysfakcjonowany, obróciłem się do Briana.

— Naprawdę jestem ci wdzięczny, że mnie zabrałeś —  
powiedziałem.

Biorąc pod uwagę, że prowadził samochód, Brian przyglądał mi się niebezpiecznie długo, lecz na jego twarzy nie odbiły się żadne emocje. Nawet kiedy spuszczał manto Mussoliniemu, jego rysy miały w sobie nieruchome dostojeństwo Mount Rushmore.

Mknąc Santa Ana Freeway, pośmialiśmy się trochę. Przy drogach dojazdowych ciągnęły się tereny przemysłowe i Brian wskazał mi reklamę wyrobów pewnej fabryki, która zachwalała niewinnie RURY NA KAŻDĄ OKAZJĘ. Wydało mu się to zabawne, a ponieważ wydało się jemu, ja też się roześmiałem. W miarę zbliżania się do Disneylandu na autostradzie tworzyły się coraz większe korki, ale Brian powiedział, żebym się nie martwił, ponieważ zaraz pojedziemy w przeciwną stronę. Wszystkie samochody wokół nas były terenówkami i nisko zawieszony zielony lincoln Briana wyglądał przy nich niczym „Merrimac”<sup>\*</sup> na morzu pełnym liniowców.

Brian miał rację. Tam, gdzie my skręcaliśmy na wschód, wszyscy odbijali na zachód do Disneylandu, dzięki czemu uniknęliśmy horrendalnego korka przy zjeździe. W końcu znaleźliśmy się na szerokiej cztero pasmowej ulicy, która biegła ku kilku niskim wzgórzom, podczas gdy za nami wznosił się Matterhorn.

Zerknąłem na plan i wkrótce wjechaliśmy na parking, który mógłbym określić mianem dobrze sytuowanego. Prowadziły nań szerokie dojazdy i co trzecie miejsce oddzielone było od następnego wysep-



ką zieleni. Przy każdym rzędzie rosły drzewa i wyglądało to jak promenada dla zmotoryzowanych. W oddali na wzgórzu stał — albo przycupnął — College Wolności, anonsowany złotymi literami wyrytymi gustownie na wielkiej dębowej desce. FINANSOWANY Z FUNDUSZÓW PRYWATNYCH, głosił napis pod spodem.

Przy końcu parkingu stał otwarty namiot z transparentem promującym Jabłeczki Teppertona oraz Dzień Wolności. Kręciło się wokół niego około dwudziestu ludzi: siedzący przy stołach studenci wpisywali gości, stało tam również kilka oficjalnie wyglądających pań i panów, wśród nich mój łącznik z Teppertonem, Gunther Frisk. Gunther odziany był w garnitur w szkocką kratę, wystarczająco jednak stonowaną, by nie sprawiała absurdalnego wrażenia. Jego ciało było tak bardzo niedopasowane, że wyglądał, jakby stworzyli go trzej różni bogowie, każdy dysponujący innym projektem ludzkiej rasy. — Musimy tam chyba podejść — powiedział Brian i zgasił silnik. Wyglądziłem koszulę na kalesonkach, po czym podciągnąłem ostrożnie spodnie w górę i objąłem nimi jej poły. Następnie ponownie się wyprostowałem, otworzyłem drzwiczki samochodu i wystawiłem nogi na zewnątrz, starając się je jak najmniej zginać. Zdjąłem blezer z wieszaka, zarzuciłem go sobie na ramiona i wsunąłem esej do wewnętrznej kieszeni. Przyglądając się sobie, odkryłem z satysfakcją, że okolice rozporka są niemal zupełnie niepomarszczone. W gruncie rzeczy wyglądałem prawie

tak samo świeżo, jak wtedy kiedy wychodziłem z domu w Santa Monica. Gunther Frisk dostrzegł nas i wyskoczył z tłumu niczym wystrzelony z procy.

— Juhuuu! Tutaj, tutaj! — krzyknął, wymachując rękami.

Ruszyliśmy w stronę namiotu, ale ponieważ parking wznosił się lekko ku górze, zwolniłem do tempa nosorożca, aby nie spocić się w mojej bawełnianej koszuli. Brian, który poruszał się z normalną szybkością, musiał nieco przyhamować, żebym mógł go dogonić. Kiedy przedstawił się jako mój menedżer, Gunther skierował nas do namiotu, gdzie dostaliśmy pakiet materiałów powitalnych. Pstryknięto nam zdjęcia i po dwóch minutach wręczono opatrzone fotografiami laminowane identyfikatory na sznurkach, które mieliśmy zawiesić na szyjach niczym sędziowskie gwizdki. W rogu namiotu stała grupka od-mieńców, którymi okazali się pozostali finaliści. Sue Dowd z ciałem niczym kopuła Kapitolu, małą główką, pod którą znajdowała się szeroka rotunda; Kevin Chen, Azjata z, fryzurą afro; oraz Danny Pepelow, który sprawiał wrażenie matoła. Dołączyłem do nich. Brakowało tylko niedawno uśmierconego Lenny'ego Burnsa. Przedstawiono nas sobie .szczerze mówiąc, nie ulegało kwestii, że to ja jestem normalny. Przy całej naszej różnorodności podejrzewałem jednak, że łączy nas wspólna cecha — uboczny produkt impulsu, który kazał każdemu z nas pobrać kwestionariusz Teppertona i siedząc samotnie w domu, skrobać esej. Tą cechą była przyzwoitość, ale bynajmniej nie ciężko wypracowana. To była przyzwoitość, którą ofermę nabywają z braku innej

alternatywy, z racji naszej niezdolności do zmagania się ze światem. Stałem tam owego dnia jako zwycięzca, lecz widząc, kto dotrzymuje mi towarzystwa, czułem się jak przegrany. Nie byliśmy żadną elitą, nie byliśmy przystojniakami, których autoportrety wiszą nad kominkami, ani wyczesanymi młodziakami, nawijającymi slangiem w modnym hotelowym barze. Wszyscy byliśmy samotnikami, którzy uznali, że pisząc te eseje, zwrócimy na siebie odrobinę uwagi. Byliśmy zwycięzcami konkursu Jabłeczników Teppertona, a ja, przynajmniej tego dnia, byłem ich królem.

Moje przygnębienie nie trwało długo. Przypomniałem sobie, że wziąłem udział w konkursie dla jaj i tak naprawdę zrobiłem to, aby przedłużyć wizytę w Rite Aid i pogapić się jeszcze trochę na Zandy. To moi konkurenci potraktowali poważnie swoje starania. Wyobrażałem sobie, jak ślęczą nad kartką z wywalonymi z ust sinymi jęzorami i ściskają swoje ołówki niczym oszczepy. Te rozmyślenia przerwał Gunther Frisk, klaszcząc trzy razy.

— No dobrze, kochani! — krzyknął. — Pora rozpocząć Marsz Wolności!

Próbował sformować z nas mały batalion, ale wlokło się za nami tyłu docentów i oficjeli, że podążająca betonową alejką grupa rychło złamała szyk. Ponieważ musiałem iść powoli, aby nie oblać się potem, zająłem sprytnie miejsce w czołówce, z nadzieją, że kończąc marsz, nie zostanę zbyt daleko w tyle. Słońce świeciło mi prosto w twarz i martwiłem się, że przypiecze mi policzek

i pokryje czoło lepką warstwą potu, która w świetle reflektorów będzie lśniła niczym tłusta od smalcu patelnia.

Na szczycie wzniesienia czekała mnie straszliwa niespodzianka. Okazało się, że College Wolności jest właściwie małą wioską, wypucowaną i świeżą. Poszczególne sale lekcyjne mieściły się w osobnych budynkach, otoczonych trawnikami i ogrodzeniem z kutego żelaza. Przed każdym z tych bungalowów zwisały z drewnianych podpórek białe tablice z wykaligrafowaną nazwą wydziału i każdy z ogrodzonych terenów tworzył osobną enklawę z własną uliczką i chodnikiem. A co za tym idzie z krawężnikami. Krawężnikami, których się nic spodziewałem. W trakcie moich przygotowań ani razu nie przyszło mi do głowy, że będę miał problem z krawężnikami. Owszem, tu i tam zrobiono podjazdy dla wozów zaopatrzenia, lecz nigdzie nic wytyczono ich naprzeciwko ani nawet ukośnie względem siebie. Co gorsza, wzdłuż większości chodników stali odziani w blezery studenci płci obojga, tworząc ku mojemu przerażeniu prawdziwą widownię. Nasz oddział nabrał rozpędu i było jasne, że nie przegrupuje się ani nie skreśli, aby ulec moim niezrozumiałym impulsom. Alejka przeszła w chodnik, a mnie czekała konfrontacja z krawężnikiem.

Karmiłem się fałszywymi nadziejami. Być może, mówiłem sobie, inni finaliści również nie mogą przekraczać krawężników. Wiedziałem jednak, że prawdopodobieństwo znalezienia drugiej osoby, której neurozy przybrałyby taki kształt, jest równe zeru. Być może odkryjemy, że Danny Pepelow lubi usiąść na koszu na śmieci i zaszczekać. Być może Sue Dowd musi co godzina zakładać

na głowę srebrzystą torbę po popcornie. Nadal jednak nie widziałem żadnego ratunku, a krawężnik był coraz bliżej. Mogłem oczywiście zawrócić. Nie muszę wcale przemawiać w Auli Wolności, powiedziałem sobie. Mogłem stanąć przed krawężnikiem i runąć na ziemię w kałuży śmierdzącego potu, jęcząc „Nie, nie mogę go przekroczyć”, mogłem też po prostu zawrócić, czując, jak wszyscy gapią się na moją poszarzałą twarz i stawiane sztywno stopy. Te zrodzone z tchórzostwa rozwiązania komplikowała oddziałująca na mnie kolejna potężna siła: obawa przed publicznym upokorzeniem. Studenci zaczęli niemrawo klaskać, prawdopodobnie ponieważ im kazano. Mój lęk przed krawężnikiem oraz lęk przed zażenowaniem zderzyły się i moje członki objął chłód. Ręce trzęsły mi się z zimna. Poczułem, że tracę równowagę i zacząłem rozstawiać szeroko nogi, aby się nie wyrócić. Oddychałem głęboko, żeby się uspokoić, zamiast tego jednak puls skoczył mi niebezpiecznie wysoko.

Gdybym pozwolił memu ciału robić to, co chciało, padłoby na kolana, dotknęło głową ziemi i rozłożyło ramiona na chodniku. Zagotowałyby się w nim mózgi i zapłakało gardło. Tylko skrajne wyczerpanie mogło położyć temu kres i tylko powrót do domu sprawiłby, że wskazówki wróciłyby na swoje miejsce na skali. Zamiast tego maszerowałem jednak dalej, popychany siłą inercji oraz mętным wspomnieniem, że przekroczyłem ostatnio krawężnik i nie umarłem.

Moje stopy były niczym kowadła i wydawało się, że to raczej krawężnik zbliża się do mnie, a nie ja do niego. Mój lęk świadczył o awaryjności ludzkiego organizmu.

Taka jest smutna prawda o dziele stworzenia: czegoś zabrakło w projekcie, w naszej psychice są pewne niedo-pięte do końca sprawy, sprawy, o które nikt nie zadbał. Moje lęki były brudnymi sekretami ewolucji. Nie zostały przewidziane i musiałem budować przemysłne świątynie, aby je w nich ukryć.

Zbliżając się do krawężnika, zwolniłem kroku. Większość towarzystwa minęła mnie i była już w połowie jezdni, radosna i bezmyślna. Nawet Brian, który początkowo trzymał się z tyłu, teraz zrównał się ze mną i podchodząc do jezdni, szliśmy krok w krok, machając ramionami niczym dwa metronomy. Zanim Brian zszedł z krawężnika, wsunąłem palec wskazujący w mankiet jego rękiiwa i zacisnąłem na nim kciuk. Trzymałem go tak, jakby zależało od tego moje życie. Nie sędzę, by w ogóle poczuł, że coś zacisnęło się na rękawie jego marynarki. Unosząc stopę nad jezdnią, obsadziłem Briana w roli przewodnika, przypomniałem sobie, jak jego skok nad krawężnikiem przed kilkoma tygodniami przeniósł nad nim i mnie, jak jego silnik mocarza uruchomił w jakiś sposób moją katarynkę. Moja stopa wylądowała na jezdni i miałem wrażenie, że nurkuję w lodowatej wodzie. W miarę jak się zanurzałem, brawa studentów stawały się coraz bardziej odległe, a ja zaciskałem ukradkiem palce na mojej ratowniczej linie.

Kiedy pojawił się następny krawężnik, wynurzyłem się z głębiny, zaczerpnąłem powietrza i wstąpiłem na chodnik. Stłumione odgłosy stały się wyraźniejsze. Brian zdążył już poczuć, że coś ciągnie go za rękaw, i odwrócił się do

mnie. Ciśnienie krwi skoczyło mi wysoko w górę i porysowało nitkami czerwieni szeroko otwarte z przerażenia oczy, on jednak uznał chyba, że nie ma nic złego w tym, że trzymam się go, aby poczuć się bezpiecznie. A ja czułem się bezpiecznie, chociaż obszar naszego kontaktu nie był większy od odcisku palca. Pokonałem łącznie cztery krawężniki i każdy krok w dół był niczym pławienie czarownicy z Salem. Byłem zanurzany w piekielnych czeluściach, a potem unoszony w górę, żebym mógł zaczerpnąć oddechu. Moimi oprawcami były Jabłeczniki Teppertona, a zbawcami kciuk i palec wskazujący, zaciskające się na centymetrze kwadratowym wełny. Kiedy zobaczyłem wreszcie wznoszącą się kilka metrów przede mną Aulę Wolności, jej nazwa miała dla mnie podwójne znaczenie. Mój puls obniżył się do akceptowalnego poziomu, język odkleił od podniebienia. Lecz, Boże mój, byłem cały mokry. Starłem się iść tak, aby moje ciało nie stykało się z ubraniem, trzymając spocone nogi pośrodku nogawek i odchylając ramiona do tyłu, aby napowietrzyć i osuszyć pachy. Czułem, że zaczynają mi się kręcić mokre włosy na karku.

W końcu znaleźliśmy się w klimatyzowanym pomieszczeniu na tyłach sceny. Panujący tam chłód korespondował z temperaturą mojego ciała, która spadła poniżej zera. Parujący pot schłodził mnie do tego stopnia, że dostałem dreszczy. Byłem coraz bardziej zdenerwowany i bałem się, że jeśli ktoś mnie wystraszy, dam susa w górę i zasyczę niczym halloweenowy kot.

Po krótkim czasie zaprowadzono nas za kulisy, gdzie staliśmy, czekając, aż nas wywołają. Słyszeliśmy przez kurtynę, jak nas przedstawiają, ale słowa odbijały się głuchym echem i trudno je było zrozumieć. Kręciło się wokół nas kilku studentów i usłyszałem, jak jeden z nich pyta szeptem: „Jak udało się go oderwać od łopaty i grabi?”, wskazując drwiącym skinieniem głowy Kevina Chcna.

Oznajmiono nam, że eseje będą czytane w kolejności „od najgorszego do najlepszego”, co szybko zostało poprawione na „od najmniejszej do największej liczby uzyskanych głosów”. Oznaczało to, że będę ostatni. Inspicjent kazał podnieść kurtynę i kręcąc ręką niczym śmigłem, dał znak, że pora wejść na scenę. Weszliśmy niemal gęsiego i zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy od wyjazdu z Santa Monica nie ma przy mnie Briana. Obejrzałem się za siebie. Inspicjent nie pozwolił mu zostać za kulisami.

Nasza czwórka usiadła na składanych krzesłach na scenie, a dziekan po kolei nas przedstawił. Nie sądzę, by ktokolwiek z nas zrozumiał choć jedno słowo z tego, co mówił. Siedzieliśmy za głośnikami i słyszeliśmy tylko metaliczny pogłos. Co jakiś czas dziekan wyciągał jednak rękę ku jednemu z nas i w tym momencie wskazany wstawał i otrzymywał frenetyczne brawa. Zastanawiałem się, skąd brało się to entuzjastyczne przyjęcie. Na pewno nie płynęło z serc widzów, którzy nie mieli pojęcia, kim jesteśmy i czego dokonaliśmy. Doszedłem do wniosku, że to sztucznie wpojony zapal, którego źródłem była dyscyplina rodem z poprawczaka.



Pierwsza zabrała głos Sue Dowd i chociaż nie mogłem zrozumieć ani słowa z jej przemówienia, i tak się popłakałem. Moją uwagę przykuł z jakiegoś powodu język jej ciała. Podkreślała każde zdanie zaciśniętą pięścią bądź też zataczając powoli krąg otwartą dłonią. Jej owalne ciało kołysało się niczym galeon na pełnym morzu. Kończąc mowę, pochyliła skromnie czoło. Oklaski zabrzmiały dopiero po dłuższej chwili, co mogło wynikać z faktu, że widzowie byli tak wzruszeni, iż trudno im było się pozbierać, albo że nie zorientowali się, że występ dobiegł końca.

Następny był Danny Pepelow, który okazał się niebywale nudny. Pamiętając, ile zadałem sobie trudu, żeby się ładnie ubrać, zastanawiałem się, kto zasugerował Dan-ny'emu, że odpowiednim na tę okazję przyodziewkiem będzie flanelowa koszula, dzinsy i skórzana kurtka. Udało mi się zrozumieć kilka słów z jego eseju, ponieważ mówił tak wolno, że fale dźwiękowe nie nachodziły na siebie. Nie wiedziałem, jakim cudem dostał więcej głosów od Sue Dowd. Ona przynajmniej gestykulowała. Danny tkwił tam niczym głaz. Jego głos był tak monotony, że powitałem z radością kilkosekundowe sprzężenie akustyczne, które okrasiało jego mowę. Otrzymał o połowę krótsze brawa od Sue Dowd, lecz mimo to szczyrzył zęby, jakby był Lincolnem, który wygłosił mowę pod Gettysburgiem.

W tym momencie reflektor oświetlił moją osobę, lecz dziekan zapowiedział Kevina Chena. Słyszając azjatyckie nazwisko, oświetleniowiec natychmiast przeskoczył na Kevina, co spowodowało salwy śmiechu na widowni.

Kevin podszedł pewnym krokiem do mównicy, ale z kilku miejsc dobiegły mnie drwiące rasistowskie komentarze. Był wybitnie inteligentny, jego wzruszający esej opowiadał o sukcesie rodziny emigrantów i przepojony był prawdziwą i niewzruszoną miłością do Ameryki. Kiedy usiadł, nagrodzono go miłymi brawami; myślę, że Kevin Chen przedstawił im prawdę, która nie poruszyła tylko ludzi o najtwardszym sercu. Szczególnie gorące oklaski w pewnym miejscu na widowni mogły świadczyć o tym, że kibicowała mu rodzina.

Zostałem zatem tylko ja i dziekan wygłosił przesadnie napsuszony wstęp, z którego nie usłyszałem ani słowa. Zanim skończył, pojawił się jednak Gunther Frisk, który podszedł do niego i coś szepnął. Dziekan dodał kilka zdań do swojej mowy, a ja usłyszałem słowa, które zmroziły koniuszki moich palców: „zmarł”, „przyjaciel” oraz „Lenny Burns”. Co jest grane? — zapytałem sam siebie. Dziekan dał znak, abym podszedł do mikrofonu. Gunther Frisk spotkał mnie w pół drogi i wyściskał z miążdżącą siłą.

— Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko — powiedział.

— Przeciwko czemu? — zapytałem.

— Żeby powiedzieć kilka słów o Lennym Burnsie — odparł, wręczając mi esej Lenny'ego.

Podszedłem do mikrofonu i sam nie wiem czemu, postukałem weń i dmuchnąłem.

— Tak naprawdę to Lenny powinien wygrać ten konkurs — zacząłem, wiedząc, że Lenny to ja. — Zaprzyjaźniłem się z nim na studiach i nadal utrzymywaliśmy ze sobą stosunki... — Ups. Zabrzmiało to fatalnie, jakbyśmy byli gejami. Zanim jednak oślepił mnie reflektor, dostrzegłem kilka pierwszych rzędów i wciąż widziałem tam zastygłe w uśmiechu twarze. — Lenny kochał kobiety — dodałem, przecząc sam sobie. — Bo czymże jest Ameryka jeśli nie prawem do niekrępowanej niczym miłości? — zapytałem, wracając do punktu wyjścia. Mówiłem jeszcze przez chwilę, każdym zdaniem dementując poprzednie. — Będzie mi go brakowało — podsumowałem, dobywając z siebie krótki szloch przy słowie „brakowało”. Przeczytałem kilka linijek „jego” eseju i w głębi serca wiedziałem, że gdyby zwycięzca — to znaczy ja — nie został już wybrany, moja rozpacz z powodu śmierci Lenny’ego wzruszyłaby jurorów do tego stopnia, że to jemu przyznaliby nagrodę. Zakończyłem mowę, kradnąc Sue Dowd jej numer z pochyloną głową, co wywołało niesamowity efekt. Lenny Burns dostał brawa, na które zasłużył, i to nie tylko dlatego, że umarł tak bezsensownie — jak to wyjaśniłem widowni, po nieudanej operacji kolana. W tym momencie sięgnąłem po esej, który, jak się okazało, nie tylko wystawał mi z kieszeni, lecz o mały włos nie wypadł na podłogę. Zapinając marynarkę, zauważyłem, że spodnie w okolicach rozporka są pomarszczone jak akordeon, a poza tym zbyt nisko mi opadły. Chwyciłem je więc za pasek i podciągnąłem, następnie zaś pochyliłem się i szarpnąłem za mankiety, żeby wyprostować nogawki. Wyeliminowało to część zagięć

i uznałem, że jestem gotów. Zacząłem mowę od „yhy”\ lekkiego chrząknięcia, które miało moim zdaniem pokazać, iż panuję nad widownią. Wypowiedziałem ze swadą kilka pierwszych zdań, lecz mój głos zbliżył się dziwnie do sopranu. Po chwili zauważyłem urzeczenie na twarzach widzów i poczułem w sobie więcej żaru. Byłem w końcu zwycięzcą. Wkładałem coraz więcej uczucia w każde słowo i okazało się to błędem, ponieważ zacząłem sobie uświadamiać, że moja mowa jest niedorzeczna. „Jestem przeciętny, ponieważ w moich żyłach płynie pewnym nurtem tradycja indywidualizmu”? Jestem przeciętny, bo jestem unikalny? W takim razie, pomyślałem, któż nie jest przeciętny, każda przeciętna osoba? Moje ekwilibrystyczne frazy, które miały zabrzmieć prowokacyjnie, pozbawione były w gruncie rzeczy sensu. Tkwiący we mnie semantyk próbował przez całe życie tropić te pokrętne konstrukcje i oczyszczać z nich umysł, i oto stałem teraz na scenie z jedną z nich, zwisającą mi z ust niczym niedojedzona kluska. Pochyliłem się więc ponownie i pociągnąłem za mankiety. Ze zwieszoną głową łatwiej było mi myśleć. Przypomniałem sobie, że mój esej miał być bardziej poematem aniżeli traktatem. I jako romantyk miałem prawo do większej lingwistycznej swobody niż, dajmy na to, matematyk przy szkolnej tablicy. Nadal zgięty wpół, uświadomiłem sobie, że stoję przed widownią, która chce być urzeczona, a nie uraczona wykładem. Postanowiłem zatem sięgnąć głębiej do źródeł mojej charyzmy, która zbyt długo pozostawała niezmacona, zanurzyć w niej palce i skropić nimi liturgicznie publiczność. Wyprostowałem się. Moje jądra obniżyły się i pogrubiał się mój głos.

— Jestem przeciętny — oznajmiłem tonem rzymskiego senatora — ponieważ w moich żyłach płynie tradycja indywidualizmu... płynie spokojnie niczym stara rzeka... jak stygnący w otwartym oknie jabłecznik.

Złożyłem kartki i usiadłem. Rozległy się miłe oklaski, które trudno było zmierzyć, ponieważ nigdy w życiu nie zostałem nagrodzony brawami. Gunther Frisk zaklaskał szybciej i nachylił się do mikrofonu.

— Miejmy nadzieję, że ma na myśli Jabłecznik Teppertona! — krzyknął.

Brawa trwały nawet po tym jego wtręcie i musiałem ponownie wstać. Gunther przywołał mnie do siebie, wręczył z wielką pompą czek, a potem przywołał innych finalistów i wręczył im mniejsze czek. Na widowni zapaliły się światła i kilka osób weszło na scenę, żeby poprosić o autografy, co wprawiło mnie w konsternację. Po mniej więcej czterech sekundach moja kariera gwiazdy rocka dobiegła końca i zostałem chłodno odprowadzony do wózka golfowego, który podstawił Brian, i odwieziony do jego samochodu.

W drodze do domu Brian wygłosił pod moim adresem kilka komplementów, które zdyskontowałem i odrzuciłem. Skłoniło go to do ich powtórzenia i kiedy stały się w wystarczającym stopniu entuzjastyczne, zdecydowałem się je przyjąć. Następnie zaczął mówić o sporcie, wymieniając nazwy drużyn takich jak Lakers, Pacers i Angels, nazwy do tego stopnia mi obce, że nie potrafiłem ich

powiązać z żadną dyscypliną. Ale Brian tak gorąco mi sprzyjał, że czułem się zobligowany kiwać skwapliwie głową i mrużyć „no jasne”, chociaż sądząc po jego zdumionych spojrzeniach, parę razy zrobiłem to w nieodpowiedniej chwili.

Brian zabrał mnie do mojego banku, do którego zdążyliśmy tuż przed zamknięciem. Zdeponowałem tam czek na pięć tysięcy dolarów, po czym pobrałem czterdzieści gotówką i dałem Brianowi pięć za benzynę. Nie prowadząc samochodu od dziesięciu lat, nie wiedziałem, jak stratosferycznie wzrosła jej cena. Teraz wiem, że wręczona mu suma była zbyt niska w stosunku do tego, co wydał, i chciałbym mu to któregoś dnia wynagrodzić.

\*

Dowiedziałem się o samobójstwie babci, właściwie zanim do niego doszło. Musiały ją nękać jakieś wątpliwości, bądź też nie zdołała zgromadzić na czas wszystkich akcesoriów, ponieważ umarła dopiero kilka godzin po tym, jak przeczytałem jej list. Przeleżał kilka godzin na kuchennym stole, zanim siadłem do jego lektury z sokiem żurawinowym i kanapką z dżemem.

„Najdroższy Danielu”, zaczynał się, i w tym momencie niczego jeszcze nie podejrzewałem. Jej litery były jak zawsze duże i wesołe, pełne zawijasów i ozdobnych szeryfów. Dopiero w ciągu kilku ostatnich lat zauważyłem, że tu i ówdzie zadrzała jej ręka.

„Nie będę zawracała ci głowy stanem mojego zdrowia, powiem tylko, że dobiegam do mety. Nie mogę pozwolić, by moje ciało ściągało mnie w dół, nie mogę się

poddać bez walki. Moje serce smuci się na myśl, że już cię nie zobaczę, ale tu, na tej stronie, w tym atramencie, jest cała moja miłość, zawarta w piórze, którym dotykam papieru...". I w następnym akapicie: „Nie mogę oddychać, Danielu, kurczowo łapię powietrze. Moje płuca zatykają się i tonę". W następnych kilku linijkach wyjaśniła, że pora już uwolnić siebie i tych, którzy o nią dbają, od tego brzemienia. Babcia miała dwie Meksykanki, które się nią opiekowały. Jedna z nich, Estrella, tak ją kochała, że mówiła do niej „matko". I ostatnia linijka: „Na koniec mądrzejemy, ale wtedy jest już za późno". Babcia, w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat, zadała sobie śmierć za pomocą wódki, tabletek oraz przezroczystej plastikowej torby.

Wiadomość o jej śmierci nie wywarła na mnie, co niepokojące, wielkiego wrażenia. Przynajmniej w pierwszej chwili.

Zastanawiałem się, czy nie jestem naprawdę szurnięty, skoro nie wpadłem w czarną rozpacz i mogę normalnie funkcjonować. Ale żal był po prostu spóźniony i przychodził nieregularnie. Nie ogarnął mnie wtedy, gdy powinien, lecz pojawiał się w dyskretnych pakietach w ciągu kilku miesięcy. Raz, kiedy podrzuciłem Teddy'ego w górę, pakiet pojawił się w przestrzeni między nami i zniknął, gdy złapałem malca. Innym razem zasłoniłem dłonią oczy przed słońcem i poczułem, że ma to coś wspólnego z babcią, ponieważ to ona chroniła mnie przed tym, co mogło mnie sparzyć. Nie chodziło o to, że za nią tęskniłem.

Kiedy to się dokonało, była ode mnie tak daleko, że nasze kontakty stały się rzadkie. Żyła we mnie również po śmierci.

Nawet brak jej listów nie różnił się wiele od ich otrzymywania, ponieważ, kiedy wydawało mi

się, że list powinien nadejść, odczuwałem tę samą znajomą otuchę, jaka ogarniała mnie, gdy trzymałem go w dłoni. Nazajutrz po nadejściu listu była Wielkanoc. Przypomniałem sobie, że jako nastolatek byłem w tym dniu szorowany i czesany, następnie zaś wbijano mnie w wełniany garnitur, który miał fakturę drucianego zmywaka, i wleczono do kościoła, gdzie przez kilka godzin musiałem siedzieć na twardej klonowej ławce w dławiącym teksas-kim upale. Te doznania wybiły mi z głowy pogląd, że Jezus jest miłosierny. Nosilem jednak z dumą emaliowany znaczek zaświadcający, że nauczyłem się na pamięć ksiąg Biblii. Fakt, że babcia umarła tuż przed tym nostalgicznym dniem, był bardzo niefortunny i przeleżałem tę Wielkanoc w łóżku, w szponach refleksji. Minęła już dziesiąta i chociaż myśli o przeszłości były lepkie i nieustępliwe, panująca w pokoju ciemność wyostrzyła mi słuch: przynajmniej jeden z moich zmysłów znajdował się w czasie teraźniejszym. Koncentrując się głęboko na sałatce ziemniaczanej sprzed trzydziestu lat, usłyszałem trzaśnięcie samochodowych drzwi, po którym zabrzmiały szybkie kroki oraz ciche, lecz uporczywe pukanie do frontowych drzwi. Włożyłem spodnie i podkoszulek i nie pytając, kto tam, otworzyłem. Stała przede mną roztrzęsiona Clarissa z Teddym, który obejmował ją niczym miś koala. Nie widziałem ich oboje przez cały wielkanocny tydzień.

— Nie śpisz jeszcze? — zapytała.



— Nie—odparłem, a Teddy wyciągnął ramiona i wdrapał się na mnie. Clarissa zerknęła na ulicę i weszła do środka.

— Wrócił? — zapytałem.

— Jest tutaj od tygodnia i z początku można to było wytrzymać. Ale dzisiaj znowu go poniosło. Tak jakby miał w sobie stoper. Zaczął wydzwaniać co pięć minut, co mnie zdenerwowało, a potem nagle przestał i wiedziałam, co zaraz będzie. Usłyszałam pisk opon przed moim blokiem i wiedziałam, że to on, więc złapałam Teddy'ego i uderzyłam go w głowę, próbując zapiąć szybko w foteliku. — Zaczął jej się łamać głos i pogładziła Teddy'ego po włosach. — Czy mogłabym posiedzieć tu przez minutkę albo przez noc, dopóki nie wymyślę, co robić dalej?—zapytała, wiedząc, że nie musi wcale pytać. Teddy złapał moje dwa palce wskazujące w swoje piąstki, a ja zacząłem nimi poruszać w prawo i w lewo. — Masz jakieś chusteczki pielęgnacyjne albo pampersy? — zapytała. Miałem wszystko. Noc spędziliśmy tak jak poprzednio. Clarissa i Teddy spali w mojej sypialni, a ja na sofie, w tak jaskrawym świetle, że się opaliłem. Koło trzeciej w nocy usłyszałem głos dziecka i ciche kroki Clarissy, która chodziła z Teddym po sypialni.

— Wszystko w porządku? — zapytałem, a ona wsunęła otwartą dłoń między framugę i drzwi, otwierając je kilka centymetrów szerzej.

— Nie śpisz? — zapytała. — Chodź, pogadamy.

Po wejściu do sypialni kilka razy przekazaliśmy sobie Teddy'ego. Wiedziałem, że zapraszając mnie, nie miała na myśli niczego zdrożnego. Chodziło jej po prostu o to, żeby się wygadać. Dostosowała się do moich wymagań w kwestii oświetlenia, przymykając drzwi tak, że w sypialni panował miękki półmrok. Po chwili ułożyliśmy Teddy'ego pośrodku łóżka i chociaż nadal nie był senny, uspokoił się i zaczął gruchać jak gołębek. Leżeliśmy po jego obu stronach, a ja położyłem dłoń na jego grejpfrutowym brzuszku, obróciłem go na plecy i zacząłem kołysać w tę i z powrotem.

— Co się z tobą ostatnio działo? — zapytała Clarissa.

Opowiedziałem jej o samobójstwie babci. — Pogrzeb jest pojutrze — dodałem. — Ale nie mogę jechać.

— A chciałbyś? — zapytała.

— Co bym tam robił? Jaki byłby ze mnie pożytek? — odparłem.

— Powinnam chyba na jakiś czas wyjechać — stwierdziła. —

Chciałbyś się ze mną gdzieś wybrać? Moglibyśmy pojechać do Teksasu, ty, ja i Teddy.

— Za późno, żeby zdążyć na pogrzeb — zauważyłem.

— Tak, ale przynajmniej byś się tam zjawił, odwiedziłbyś ją.

Słyszając propozycję Clarissy, mój umysł dokonał heroicznego obliczeń, w rezultacie których powstało niezbilansowane równanie. Po jednej jego stronie były niezliczone przeszkody, na które natrafiłbym podczas takiej wyprawy. Mogłem wyliczyć tysiące niemożności. Nie mogłem wsiąść do windy. Nie mogłem zamieszkać wyżej niż na trzecim piętrze hotelu. Nie mogłem korzystać z publicznych toalet. Co się stanie, jeśli po drodze nie znajdziemy Rite Aid? Jeśli minimy przydrożne centrum handlowe, gdzie jeden sklep jest otwarty, a inne zamknięte? Jeśli zobaczę słowa „jabłkowy sad”? Jeśli w trakcie podróży znajdziemy się niebezpiecznie blisko nęcącej paszczy Wielkiego Kanionu? Jeśli droga na przełęcz będzie prowadziła serpentynami, albo jeśli w trakcie całej wędrówki nie znajdę ani jednego billboardu z palindromem? Jeśli nasze walizki okażą się różnych rozmiarów? Jak zdołam oddychać na dużych wysokościach? Czy nie zabije mnie rozrzedzone powietrze? Skąd będziemy wiedzieli, gdzie dokładnie przebiegają granice stanów? I co się stanie, jeśli pracownik stacji benzynowej w Phoenix będzie miał niebieski kapelusz?

Po drugiej stronie równania był Teddy. Wyobrażałem go sobie gruchającego z tyłu i walącego nierytmicznie w swój dziecienny fotelik. Wyobrażałem sobie pomysły, jak go zabawić, mknące przez moją głowę od Needles do El Paso i wypierające wszelkie neurotyczne myśli, jakie mogłyby się w niej zrodzić.

Wyobrażałem sobie, jak próbuję wydestylować porządek z jego chaosu i jak biorę odpowiedzialność za jego bezpieczeństwo. I była również Clarissa, która siedziałaby obok mnie i której teraz, kiedy nie byłem już jej pacjentem, mogłem zadawać bezpo-

średnie pytania zamiast wypróbować na niej moją metodę zawołanego śledztwa. Poza tym, że ją kochani, nadal bardzo mało o niej wiedziałem. Te dwa czynniki przechylały szalę na lak. Ostatecznie rozstrzygnąłem jednak sprawę za pomocą błyskotliwej dawki autoiluzji. Kusiłem swój rygorystyczny umysł nowym konceptem: co by było, gdybym zdołał zamienić jeden z nękających mnie aktualnie lęków na inny, bardziej odległy? Gdyby udało mi się zastąpić lęk przed Wielkim Kanionem obawą przed Mount Rushmore? Gdybym zamienił moje pragnienie dotknięcia wszystkich czterech rogów każdej kopiarki w Kinko's na obsesję na punkcie Big Bena? Ostatnia propozycja, jaką sobie złożyłem, była następująca: co by było, gdybym podczas całej podróży nie wymówił żadnego słowa, w którym znajdowałaby się samogłoska „e”? Tego rodzaju gigantyczne zobowiązanie mogło zastąpić i zdominować inne narzucone sobie zadania. Sprawdziłem szybko zasób użytecznych słów — to, tamto, był, miał, dla, pod, czyżby — i znalazłem ich dosyć, by zostać zrozumianym. W tej sytuacji „Zjedźmy coś!” musiało się zmienić w „Mam głód, kotku. Mniam mniam”. Nie mogłem powiedzieć „szaleję za tobą”, ale mogłem wyznać „kocham cię”, co i tak było chyba lepszym rozwiązaniem. Do Clarissy mogłem zwracać się po imieniu, ale Teddy musiał zostać określony pieszczotliwym mianem malucha, brzdąca albo juniora. Jedynym minusem było to, że nie mogłem wymówić własnego imienia. Pomysł skondensowania moich nawyków w jeden wszechabsorbujący zakaz wydawał się tak genialny, że upojony szczęściem powiedziałem Clarissie: — W po-

rzędu, ruszajmy. — Chociaż nasza wyprawa jeszcze się oficjalnie nie zaczęła, moja odpowiedź była pierwszą próbą komunikowania się bez litery „e”.

Zapadła decyzja, że wyjedziemy rano. Clarissa bała się wracać do domu po rzeczy, w jej jaskraworóżowym samochodzie nie można się tam było zakraść nawet nocą. Musiała kupić ubrania po drodze. Miała kartę kredytową, której zasoby były według niej na wykończeniu, zostało tylko kilkaset dolarów debetu. Miała również komórkę, niestety bez ładowarki, w związku z czym musieliśmy jej bardzo oszczędnie używać. Zaczekaliśmy do dziesiątej rano, bo o tej porze mogłem podjąć trzy tysiące osiemset dolarów.

— To dla nas długa podróż. Chcę, aby naszymi drogami szło mało ruchu—powiedziałem, wsiadając do samochodu.

— Ze jak? — zapytała.

— Aby uczcić naszą podróż w stronę południa, próbuję mówić w języku Navajo — oznajmiłem. Clarissa, dzięki Bogu, roześmiała się i ruszyła z miejsca.

Wiedzieliśmy, że nie zdążymy dotrzeć do Teksasu na pogrzeb babci, ale pragnęliśmy odnaleźć innego Graala: chciałem po raz ostatni obejrzeć farmę babci, zanim zostanie sprzedana z powodu braku zainteresowanego krewnego, który mógłby ją prowadzić.

\*

Kwiecień w Kalifornii jest jak czerwiec wszędzie indziej. O dziesiątej temperatura wynosiła dwadzieścia trzy stopnie i zmierzała ku trzydziestu. Mimo że powód naszej ucieczki z Los Angeles był niewesoły, spontaniczność, z jaką ją podjęliśmy, wprawiła nas w pogodny nastrój. Clarissa śmiała się, kiedy podjechaliśmy pod market odzieżowy i pobiegła kupić podkoszulki, bieliznę oraz skarpetki. Teddy przyglądał mi się ze swojego fotelika i gulgotał, manipulując łyżeczką. Ja, w jednej osobie pasażer, pilot, czujka oraz niepotrafiący prowadzić samochodu zwiadowca, zastanawiałem się, co zrobię, jeśli zostanę poproszony o zajęcie miejsca za kierownicą. Pewnie się uśmiechnę. Po wizycie w supermarkecie wstąpiłem do Rite Aid i dzięki znajomości jego półek przebiegłem rażno przez dział higieny jamy ustnej, szczotek do włosów oraz wszystkich kobiecych utensyliów, których Clarissa mogła potrzebować podczas podróży.

— Mam dla pani nożyki i kilka innych artykułów — powiedziałem. To było łatwe, czułem, że jeszcze zatęsknię za literą „e”.

Wsiadłem do samochodu i przejrzałem mapy w schowku. Było kilka niepotrzebnych, lecz mapa Kalifornii powinna nas zaprowadzić przynajmniej do Arizony. Zlokalizowanie na mapie całego stanu miejsca, w którym aktualnie parkowaliśmy, było niemożliwe, miałem jednak nadzieję, że Clarissa wie, jak wydostać się z miasta. Odwróciła się przez ramię, pobawiła chwilę z Teddym, a potem, w ogóle nie pytając, jak jechać, ruszyła na południe.

Na bulwarze Santa Monica samochody stawały i ruszały, ale wkrótce, zmagając się z siłą odśrodkową, wjechaliśmy ślimakiem na autostradę, Clarissa wdepnęła gaz do dechy i pomknęliśmy z rozkoszną szybkością. Można było pomyśleć, że samochodowi wyrosły skrzydła, pozwalając nam szybować nad czerwonymi światłami, krawężnikami i przejściami dla pieszych. Dumałem, czy nie dlatego właśnie jestem szurnięty i nie mam pracy oraz żadnych przyjaciół— abym w tym konkretnym momencie mojego życia mógł, wiedziony kaprysem, wyjechać z miasta z pewną kobietą i jej dzieckiem, i nie żegnając się z nikim, bez żadnych zobowiązań na ziemi i w niebie, popędzić prosto przed siebie. Ów moment nadszedł i byłem do niego przygotowany. Opuściliśmy szyby i owionął nas podmuch powietrza, z tyłu dobiegał śmiech Teddy'ego. Aby uczcić psa Philipa, Tigera, wystawiłem głowę przez okno i zakłaskałem językiem na wietrze. Clarissa zmieniła piosenkę i zaśpiewała *California, Here I Went*, wybijając dłonią rytm na kierownicy. Po przebrnięciu przez kilka nieprzewidzianych i niedających się wytłumaczyć korków minęliśmy centra handlowe w Palm Springs i nagle droga stała się szersza i bardziej płaska, jakby przepuszczono ją przez wyżymaczkę. Podjechaliśmy do jakiegoś fast foodu i prawie nie zatrzymując samochodu, zjedliśmy lunch. Po czterech godzinach jazdy nie straciliśmy wcale animuszu, tyle że teraz przejawiał się w spokojnych uśmiechach i wewnętrznym blasku. Clarissa sprawdziła raz pocztę głosową. Wysłuchała wiadomości z wyraźnym rozczarowaniem, po czym wyłączyła swoją nokię. Wziąłem od niej telefon

i umieściłem w drzwiczkach, w których była wygodna przegródka na różne graty.

Jechaliśmy dalej na południe, słońce stało wysoko. Co jakiś czas zerkałem na Clarissę i widziałem, że jest odprężona. Każda jej rześa rysowała się wyraźnie na jasnym tle pustyni i nieba. Cała w pastelach, miała różo-wawą skórę, która odcinała się od białego piasku i turkusowego błękitu jej bluzki. Patrząc na nią i przywołując jej wizerunki z przeszłości, uświadomiłem sobie, jaka jest jej najbardziej poruszająca cecha: była nią niezgoda na smutek. Tylko wyjątkowo tragiczne okoliczności mogły przegnać z jej twarzy uśmiech i pozbawić sprężystości jej krok. Nawet teraz, uciekając przed domowym horrorem, patrzyła niewinnie przed siebie, ku szczęściu, które czekało ją być może za parę kilometrów.

Tkwiąc w twardej skorupie dodge'a Clarissy, poczułem się w tajemniczy sposób uwolniony od rygorów i zasad, które rządziły moim życiem w Santa Monica. Postanowiłem więc nawiązać z Clarissą rozmowę. Clarissa musiała postanowić to samo, ponieważ nim zdążyłem się odezwać, rozpoczęła solilokwium, w którym moja rola ograniczona została co najwyżej do uprzejmego potakiwania.

— Wydaje mi się, że Chris widział we mnie swoją lalkę — powiedziała. Domyśliłem się z lodowatego tonu, którym wypowiedziała słowo „Chris”, że ma na myśli swojego inseminatora. — Ale mogłam się o tym przekonać dopiero po ślubie — podjęła. — To przypadek graniczny, do takiego doszłam wniosku. Wojowniczy



narcyz. Potrzebuje pomocy, ale oczywiście po co miałby jej szukać, skoro jednym z symptomów jest przekonanie, że inni ludzie nie mają racji. Ja też chyba jestem narcystyczna. Mam dużo symptomów. Cztery z sześciu wyszczególnionych w ***Podręczniku diagnostyki i statystyki***.

Nie wiedziałem, o czym ona mówi. Wydawało mi się, że „Chris” jest zwykłym agresywnym sukinsynem. Nie musiałem jednak z nim żyć. Gdybym musiał usprawiedliwiać kogoś przed samym sobą, również używałbym wielu słów. Im więcej potrafiłbym ich przywołać, tym wszechstronniej mógłbym wszystko zrozumieć. Wkrótce każde niedające się tolerować zachowanie odnalazłoby syntaktyczną drogę do mojego przebaczenia. „Och, to tylko symptomy abstrakcyjnych połączeń neosynaptycznych”, powiedziałbym, po czym poszukałbym metod, jak je leczyć. Różnica między mną i Clarissą polegała na tym, że ona paplała, a ja rozmyślałem. Miałem wrażenie, że z nią rozmawiam, lecz moje kwestie nie były w ogóle wypowiedane. W związku z czym wszystkie genialne komentarze, riposty oraz rekapitulacje pozostały w mojej głowie, gdzie tylko ja mogłem docenić ich subtelne implikacje i podteksty.

Droga z Kalifornii do Nowego Meksyku składa się w zasadzie z jednego zakrętu w lewo. Jej monotonia stanowiła miłą odmianę po emocjonalnej huśtawce naszego banalnego życia w Santa Monica. Pod koniec dnia byliśmy już praktycznie w Arizonie i tuż przed granicą zameldowaliśmy się w motelu Wampum, spelunie z pokojami w kształcie wigwamów i stęchłym zapaszkiem

pozostawionym przez zagląających tu od sześćdziesięciu lat wędrowców. Cena najzupełniej nam odpowiadała, ponieważ nie chciał się tam zatrzymywać nikt oprócz najniżej uposażonych, a także szukających kempingowego dreszczyku studentów. Na starym szyldzie widniał obrazek Indianina, do tego stopnia karykaturalny, że mógł wywołać rewoltę.

Nie jestem pewien, dlaczego Clarissa umieściła nas wszystkich w jednym pokoju. Może, ponieważ to ja płaciłem, nie chciała narażać mnie na koszty, a może brała nas za trzech muszkieterów, których nie wolno rozdzielać. Wynajęła pokój z dwoma łózkami i jedną łazienką. Żarówka była tam tak słaba, że nie miałem problemów z watami. Musiałem tylko zostawić zapalone światło w łazience, uchylić jej drzwi na dwa centymetry i pokój doskonale nadawał się do spania.

Właśnie temu wspólnemu pokojowi zawdzięczam jedno z czterech lub pięciu najbardziej niezatartych życiowych wspomnień. Po wypadku do restauracji Wampum poszliśmy wcześniej spać, aby mieć siły na czekającą nas nazajutrz jazdę. Podczas gdy Clarissa brała prysznic, Teddy usnął na jednym z łóżek, zabezpieczony z obu stron poduszkami. Ja położyłem się na drugim, zgasilem światło i zwinięty w kłębek próbowałem się rozgrzać pod przezroczystym muślinem, który motel Wampum określał mianem prześcieradła. Pokój rozjaśniało tylko światło księżycy, sączące się przez zasłony i żaluzje. Usłyszałem, jak z prysznicza przestaje lecieć woda. Chwilę później Clarissa weszła cichutko do pokoju, zostawiając na moją prośbę zapalone światło w łazience, zamykając jednak

drzwi. Mogło jej się zdawać, że w pokoju panuje zupełna ciemność, lecz moje przywykłe do mroku oczy widziały grę światła i cieni. Clarissa owinęła się ręcznikiem i naga pod spodem przeszła przez pokój, macając przed sobą rękami. Ja oficjalnie spałem, lecz nie mogłem oderwać od niej oczu. Stojąc profilem na tle lnianej zasłony, obrysowana księżycową poświatą, zrzuciła ręcznik i włożyła przez głowę podkoszulek. Miała bardziej bujne kształty, niż to sobie wyobrażałem. Następnie ukucnęła, grzebała przez chwilę w plastikowej torbie, po czym wstała i włożyła jakąś bieliznę. Zastanawiałem się, czy to, co zrobiłem, było grzechem — nie przeciwko Bogu, lecz przeciw Clarissie. Rozgrzeszyłem się, mówiąc sobie, że jestem mężczyzną, a ona kobietą i że oglądanie jej leży w mojej naturze, mimo że łatwość, z jaką się przede mną rozebrała, mogła świadczyć o tym, iż nie widziała we mnie istoty seksualnej. Mimo że całe wydarzenie było fascynujące, nie doprawiłem go namacalnym żarem pożądania ani też chłodnym dystansem uwagi. Wiedziałem, że bez względu na to, co bym uczynił, moje uczucia pozostaną nieodwzajemnione, w związku z czym przez resztę nocy doznawałem przede wszystkim poczucia izolacji. Ranek upłynął pod znakiem potrzeb Teddy'ego. Brzęczały łyżeczki, dzwoniły otwierane słoiki i Clarissa odwróciła się, żeby nakarmić go piersią. Chociaż dobrze spaliśmy, byliśmy oboje zmęczeni wczorajszą podróżą. Mimo to ruszyliśmy w drogę już o siódmej rano i niebawem znaleźliśmy się w Nowym Meksyku.

Nowy Meksyk wzbudził we mnie nostalgie, chociaż nigdy tam nie byłem. Dopiero po sześciu godzinach jazdy, tuż przed przybyciem do El Paso, zdałem sobie sprawę, jaka jest jej przyczyna. Rzecz w tym, że południowa część tego stanu zaczęła wyglądać, pachnieć i smakować jak Teksas. W porównaniu z nią północny Nowy Meksyk przypominał tropikalny las. Można było odnieść wrażenie, że pod ziemią płynie wyjątkowo grymaśna substancja odżywcza. Skały kipiały kolorami. Tęczowe żyłki biegły przez skalne ściany ostańców i zaraz potem znikwały w ziemi. Na brązowych wzgórzach rosły ciemnozielone sukulentki, a stojące w oddali kaktusy saguaro wyglądały niczym podnoszący dłonie w pokojowym geście przybysze z kosmosu. Południowy Nowy Meksyk był za to jałowy, zerodowany i piaski. Clarissa lubiła w czasie jazdy wyłączać klimatyzację, opuszczać szyby i wystawiać się na podmuchy kurzu. Zaczęłam opalać sobie prawą część twarzy i rozmawiając, przekrzykiwaliśmy wiatr, który hulał we wnętrzu samochodu. Powiedziała mi, że jej konto w banku jest już prawie puste, że martwi się, iż będzie musiała rzucić szkołę, grzebiąc w ten sposób szansę na powiększenie dochodów w przyszłości. Dodała, że być może będzie musiała ulec żądaniom eksmęża i wrócić do Bostonu i że nie rozumie, dlaczego jej byłemu zależy na tym, żeby tam mieszkali, skoro prawie w ogóle nie interesował się Teddym. Wszystkie te złe wieści przekazywane były bez uzalania się nad sobą, jakby były neutralnymi faktami, i widząc, jak jej życie wali się w gruzy, chciałem za wszelką

cenę zamortyzować upadek. Z wyjątkiem głośnego dopingu nie miałem jednak żadnych pomysłów, jak to zrobić. Mógłbym ewentualnie przydać jej się jako moralny autorytet, ale zaczynałem wątpić, czy nadaję się do czegoś również w tej dziedzinie.

Nasza rozmowa przypomniała mi, że ja także jestem w finansowych tarapatach. Wcześniej ocalił mnie wielokrotnie instynkt babci, lecz ta forma ratunku już się skończyła. Okazałem się chyba dziecinny, udając przed sobą i babcią, że nie potrzebuję pieniędzy. Wypłacane przez rząd marne grosze nie wystarczały, bym mógł kontynuować mój wystawny — w porównaniu z innymi — styl życia. Wiedziałem, że bez deszczu pieniędzy, który od czasu do czasu spływał na mnie dzięki babci, po powrocie do Santa Monica czeka mnie mieszkaniowy, ubraniowy oraz żywnościowy kryzys.

W El Paso znaleźliśmy motel Jimmy Crack Corn, którego ceny mieściły się w ramach moich nowych ograniczeń budżetowych. — Nasza maksyma to brak komfortu — zażartowałem, a Clarissa roześmiała się i zaakceptowała mój wybór, co dobrze o niej świadczyło. Wyczuwając niezręczną łazienkową sytuację, wynajęliśmy oddzielne pokoje i dobrze zrobiliśmy. Miejsca było w nich akurat tyle, żeby zmieścić kolana.

Jedynym ukłonem motelu na rzecz architektury krajobrazu był rozchwierutany drewniany mostek nad wybetonowaną sadzawką. Choć ja i Clarissa z odrazą patrzyliśmy

w jej mętne wody, Teddy uznał ją za Jezioro Genewskie: chciał pływać, figlować, śmigać na nartach wodnych i żeglować w jej zielonym szlamie. Nie mogliśmy mu pozwolić na kontakt z zieloną zupą, tak gęstą, że zostawiała osad na betonie, ale zrobiłem za to papierowe łódeczki, które mógł zatapiać, bombardując je kamieniami.

Rano obudził mnie prysznic Clarissy. Cienkie jak papier ściany sprawiły, że mogłem dostosować do niej własne ablucje. Jednocześnie wyczyściliśmy zęby, umyliśmy się i wysikali, dzięki czemu mogłem pojawić się w drzwiach mojego pokoju w tej samej chwili, w której ona pojawiła się w swoich i o siódmej rano, z Teddym, uśpionym kołysaniem samochodu, byliśmy już w drodze do Helmut w Teksasie, stanowiącego ostateczny cel naszej wędrówki.

\*

To, co się stało pod pekanowym drzewem, zalicza się do tych życiowych zdarzeń, które choć nie większe od atomu, pociągają jednak za sobą nuklearne konsekwencje.

Clarissa i ja zatrzymaliśmy się w miejscowym motelu, niedaleko farmy babci. Położony był po obu stronach rzeki Liano, pośród sękatych jałowców, których splecione w baldachim gałęzie tworzyły szeroką siatkę cienia. Mieliśmy szczęście, że znaleźliśmy ten niskobudżetowy raj, który oferował Teddy'emu szereg naturalnych rozrywek, takich jak szukanie orzechów, kucanie w wodzie oraz jedzenie liści. Bez trudu zmitrężyliśmy tam kilka porannych godzin, pracowicie trawiąc solidne teksaskie śniadanie.

Przed lunchem Clarissa zawiozła mnie do babci. Nie miałem pojęcia, jak się tam dostać, w pamięci utkwiło mi tylko parę szczegółów: biała ściana stodoły, opuszczona stacja benzynowa, rów z kratownicą niepozwalający przechodzić bydłu. Ale kiedy skręciliśmy z szosy i jechaliśmy między pekanowymi drzewami, których gałęzie zwisały nad drogą, nagle wszystko stało się znajome. W miarę jak się zbliżaliśmy, drzewa były coraz gęstsze i wyższe. Dwanaście, wysokich na czterdzieści metrów, rosło wokół samej farmy, chroniąc ją przed nadchodzącymi letnimi upałami. Jednopiętrowa hacjenda wzniesiona była wokół masywnego pekanowego drzewa, które rosło pośrodku podwórka. Nad zewnętrznymi ścianami z niewypalanej cegły sterczały wysunięte krokwie dachu. Z trzech stron dom otaczała wsparta na drewnianych słupach, uginająca się ze starości długa weranda. Przy korycie z wodą stały uwiązane koń i kozioł. Drzewa rosły tak gęsto, że nawet w samo południe dom pokrywały co najwyżej cętki słonecznego światła. Między pniami ustawiono kilka ławek z nieheblowanych desek. Do domu przylegała opleciona pnącymi roślinami altanka, przy której końcu tryskała, dopełniając sielankowego widoku, wyłożona meksykańskimi kafelkami fontanna.

Przed domem stały trzy pojazdy: dwie zniszczone pół-ciężarówki i jeden zakurzony czarny mercedes. Zatrzymaliśmy się przy nich i wysiedliśmy z samochodu. Drzwi z siatki otworzył mężczyzna w brązowym garniturze. W ręku trzymał wąską skórzaną teczkę, co wskazywało, że przyjechał tu oficjalnie. Swobodnie się z nami przywitał i po raz pierwszy podczas całej podróży usłyszeliśmy

południowy akcent. Przedstawiliśmy się, a kiedy oświadczyłem, że jestem „Dan, wnuk babci”, facet zastygł na chwilę bez ruchu, po czym stwierdził: „A tak, szukaliśmy pana”.

Clarissa oddaliła się w stronę fontanny, żeby pokazać Teddy'emu jej uroki, a ja wszedłem do domu wraz z Mortonem Deanem Argusem, który, jak się okazało, był prawnikiem zajmującym się sprawami posiadłości. Wyjaśnił, że przyjechał z San Antonio i siedział na farmie przez ostatnie trzy dni, aby rozwiązać problemy pomiędzy krewnymi, którzy przybyli półciężarówkami, kiedy tylko rozeszła się wiadomość.

— Gdyby przyjechał pan pół godziny później, już by mnie nie było — oświadczył.

Wszystko, co było w domu użyteczne, zostało złupione.

Wszystko, co osobiste, pozostało. Na ścianach wciąż wisiały stare rodzinne fotografie, ale zniknęła mikrofalówka. Kuchnia, model Magie Chef Rangę z 1930 roku, była zbyt stara, by ją zabrać; szabrownicy nie wiedzieli chyba, jaką wartość może posiadać dla obdarzonego zmysłem estetycznym kucharza.

Jakimś cudem przeoczono również cedrowy kufer z indiańskimi dywanikami. Zostało kilka cacek — w tym zdobiąca ścianę stylowa konna uprząż z epoki i niewielka kolekcja ciężkich glinianych figurek śpiących Meksykanek, których pierwotne jaskrawe kolory patyna zmieniała w miękkie pastele.

Morton Argus poinformował mnie, że babcia została skremowana i pochowana na terenie posiadłości pod



wybrany przez nią drzewem. Powiedział, że odczytany został jednostronicowy testament i że pewne przedmioty zostały rozdane nielicznym robotnikom rolnym i krewnym. Dodał, że była tutaj moja siostra Ida, i żałowałem, że mój samotniczy tryb życia nie pozwolił jej skontaktować się ze mną szybciej i spotkać na farmie. To Ida, wyjaśnił, koordynowała rozdział mebli dla skromnej garstki będących w potrzebie krewnych.

Ida była ode mnie trzy lata młodsza. Przeniosła się do Dallas, wyszła młodo za mąż, urodziła dzieci i była najwyraźniej niepodatna na impulsy, które spętały mnie w sobie.

— Czy pojawił się mój tato? — chciałem wiedzieć. Morton zapytał, jak się nazywa. — Jack — odparłem. Nie, nie pojawił się.

Myszkując w towarzystwie Mortona po domu, trafiłem do pokoju, w którym piętrzyły się kartonowe pudła i puste ramy po obrazach. O podłogę opierało się chybotliwie owalne lustro. Obok stały cztery drewniane kuchenne krzesła, poustawiane jedno na drugich.

— Coś pan stąd chce? — zapytał Morton.

— Zobaczę — odpowiedziałem.

Morton przeprosił mnie, mówiąc, że musi uporządkować jakieś papiery. Ukląłem i przetrząsałem kilka pudeł. Na dnie jednego z nich znalazłem metalowy pojem-

nik wielkości pudelka do butów. Miał wbudowany zamek, ale klucz dawno gdzieś przepadł. Myślałem, że będę potrzebował śrubokrętu, żeby go otworzyć, lecz pociągając za wieczko, zorientowałem się, że zablokowało się wyłącznie z powodu rdzy. Wystarczyło je lekko podważyć. W środku był plik listów, wszystkie zaadresowane do babci i wszystkie ostemplowane w końcu lat siedemdziesiątych. Na dwóch kopertach był adres nadawcy z napisanymi odręcznie drukowanymi literami J.C. Były od mojego ojca. Wziąłem pojemnik, wiedząc, że będzie to jedyna rzecz, którą zabiorę z tego domu.

Znalazłem Mortona w salonie, który z powodu niewielkich okien i ocieniających dom drzew był wyjątkowo mroczny. Prawnik siedział w fotelu obitym spłowiałym od słońca indiańskim kocem. Trzymał w ręku plik papierów, które tasował i przekładał niczym brydżowe karty.

— Czy kontaktowała się z panem siostra? — zapytał.

— Wiadomo mi o tym nic a nic. — Byłem zachwycony swoją repliką, zbudowaną na bajecznym paradoksie i pozbawioną jakiegokolwiek „e”.

— Więc pan nie wie?

— O czym?

— Pan i pańska siostra — odparł — odziedziczyliście wspólnie około sześciuset dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Zostałem w domu jeszcze przez godzinę, łażąc z pokoju do pokoju i ścigając ulotne wspomnienia. Nie dotyczyły jakichś konkretnych wydarzeń i stale mi się wymykały, niczym duchy, które suną przez pokój, dają się spostrzec jasnowidzowi i potem znikają.

Clarissa i Teddy wałęsali się daleko od domu *i* teraz przywałęsali się z powrotem. Clarissa stanęła w drzwiach z siatki i zapytała, jak leci. Jej ton wskazywał, że chce już jechać. Powiedziałem „do widzenia” Mortonowi i posadziłem w samochodowym foteliku Teddy'ego, który zaczął płakać. Położyłem metalowe pudełko na tylnym siedzeniu i odjechaliśmy do motelu.

Kiedy usiedliśmy w restauracji, spostrzegłem, że cała ta wyprawa zaczyna nużyć Clarissę. Nasza zwariowana rejterada nie rozwiązała żadnego z jej domowych problemów. Wcześniej widziałem, jak rozmawiała przez telefon ze swoją siostrą, aż wyczerpały się baterie. Przebywała teraz w świecie, do którego nie miałem dostępu. Nagle złapała się za nadgarstek i podskoczyła.

— Zgubiłam zegarek — powiedziała. Rozejrzała się, a potem zostawiła ze mną Teddy'ego i przeszukała pokój i samochód. Po powrocie — zegarka nadal nie było — wyjaśniła, że był prezentem, który sama sobie sprawiła. Zgadywałem, że wiąże się z nim więcej, aniżeli chciała powiedzieć. Być może był nagrodą za jakieś osobiste dokonania, których'znaczenie tylko ona mogła doce-

nić. — Jak sądzisz? — zapytała. — Możemy już wracać do domu?

— Już zaraz?

— Jutro rano.

— Chcę wybrać się do babci na jakąś godzinę — odparłem. To ją zdenerwowało. Chciała wyjechać przed świtem i zaczęła nalegać.

— Muszę wracać — powiedziała. — Nie wiem w ogóle, co ja tutaj robię.

Po raz pierwszy zaczęła zachowywać się opryskliwie, lecz wynagrodziła mi to w nocy. Zajmowaliśmy jeden pokój. Motel należał do tych, które pozostają na długo w pamięci: jego architektura i wyposażenie odzwierciedlały idealnie konkretny rok konkretnej dekady oraz konkretne miejsce, którego nie sposób zobaczyć gdzie indziej. Zbudowane w latach trzydziestych łazienki miały porcelanowe umywalki oraz wanny, które ważyły tonę. Pokoje były drugie i wąskie, sufity i ściany obite ciemną sosnową boazerią. Wejścia ozdobiono kutym żelazem, a wykonane przez rzemieślników kinkiety miały skórzane abażury z wyciętymi z blachy figurkami kowbojów. Clarissa i Teddy zajęli jeden koniec pokoju, ja spałem w drugim, na sofie, która miała w środku wgłębienie w kształcie ludzkiego ciała. Położyliśmy się na podłodze i graliśmy w karty,

które w swoim czasie tak nasiąkły wodą, że były trzy razy grubsze niż normalnie. Clarissa i ja próbowaliśmy grać w remika, z trudem przypominając sobie reguły, lecz Teddy skutecznie nam to uniemożliwił, kradnąc i przekładając karty. Clarissa zaczęła nazywać go Hoyle, a ja pytałem, „Jak myślisz, Billy Bob, mogę zagrać tą kartą?”. A on albo ją brał i ślinił się na nią, albo oddawał któremuś z nas, a my wybuchaliśmy śmiechem.

Clarissa i ja przyzwyczailiśmy się już do siebie w bieliź-nie. Oboje spaliśmy w podkoszulkach i majtkach. Clarissa zgasła światło i wślizgnęliśmy się każde do swojego łóżka.

— Jak dzisiaj było? — zapytała cicho z drugiego końca pokoju.

— Dziękuję — odparłem.

— Za co?

— Za to, iż zapytałaś.

— Daniel — szepnęła, by dać mi, jak sądzę, do zrozumienia, że to przecież oczywiste.

Nie odzywaliśmy się do siebie przez kilka minut. Nie chciałem mówić Clarissie o spadku, ponieważ wolałem przetrwać to wpierw sam, aby zewnętrzne sprawy nie miały wpływu na nasze małe trio. A potem zaszleściło prześcieradło i rozległy się kroki. Clarissa przeszła przez pokój, uklękła przy moim łóżku, włożyła rękę pod koc,

znalazła moje ramię i położyła na nim dłoń. Jej palce wsunęły się pod mój rękaw i zaczęły się posuwicie poruszać. Clarissa oparła głowę o łóżko i jej włosy opadły na moje ramię. Nie poruszyłem się.

— Och, Danielu — powiedziała. — Och, Danielu — szepnęła. Nie wiedziałem, co robić.

— Tak się cieszę, że kochasz Teddy'ego. — Górna jedna ósma jej ciała pieściła górną jedną ósmą mojego ciała. Po chwili zabrała dłoń z mojego ramienia i położyła ją na karku, lekko go ściskając.

— Powinniśmy pojechać *jutro* na farmę, jeśli tego chcesz.

Przepraszam za moje dzisiejsze zachowanie. Jestem po prostu niecierpliwa. Niecierpliwa bez żadnego powodu.

Clarissa zamknęła oczy. Moja ręka, odchylona w łokciu i wystająca z łóżka, wisiała głupio nad podłogą. To było coś, co malarz powinien usunąć z obrazu, jeśli chciał, by cała scena wyglądała elegancko. Dokonałem analizy czułego dotyku Clarissy i uznałem, że mogę położyć wolną dłoń na jej ramieniu i nie będzie to poczytane za coś niewłaściwego. Zgiąłem rękę w łokciu i dotknąłem jej pleców. Clarissa nie cofnęła się ani nie pochyliła niżej.

Nie wiedziałem, czy jej gesty w stosunku do mnie są platońskie, arystotelesowskie, heglowskie czy erotyczne. Leżałem więc, stykając się z nią w trzech miejscach: tam, gdzie jej ręka dotykała mojego karku, tam, gdzie moja

ręka dotykała jej pleców i tam, gdzie jej włosy muskały mój bok. Gapiąc się w sufit, dziwiłem się, jak mogę kochać osobę, której imię nie tworzy anagramu.

Po jakimś czasie przesunęła sennym ruchem palce po mojej piersi i wróciła do swojego łóżka, zostawiając na mnie upiorny ślad, niczym odcisk dłoni w fosforze.

\*

Teddy obudził się później niż zwykle i Clarissa i ja przespaliśmy naszą normalną pobudkę o siódmej. Mimo to o dziewiątej byliśmy już po śniadaniu, spakowani i w samochodzie.

— Wracajmy do domu — powiedziałem, kiedy przyhamowaliśmy przy końcu motelowej alei.

— Ale mówiłeś, że chcesz odwiedzić babcię — zaprotestowała Clarissa.

— Jadąc tam, zbaczamy z drogi — odparłem.

— Nie szkodzi — stwierdziła. — Moim zdaniem powinieneś pojechać.

Z uprzejmości zmieniliśmy front i przez chwilę spieraliśmy się, żeby pokazać, iż rozumiemy i szanujemy stanowisko drugiej strony. Clarissa skrzyła w końcu w prawo i po jakimś czasie znaleźliśmy się ponownie między drzewami pekanowyrni.

Dom był zamknięty i nie stały przed nim żadne samochody. Wiedziałem, co chcę zrobić: odnaleźć grób babci.

— Zostawię cię teraz — powiedziała Clarissa i pobiegła za Teddym, który natychmiast pogalopował ku rzece. Stałem przed domem i przez chwilę słuchałem szumu wiatru w gałęziach. W końcu postanowiłem również podejść do rzeki, w jej górnym odcinku, aby uniknąć zgiełku, jaki czynili niżej Clarissa i Teddy. Po przejściu kilku kroków mój wzrok przyciągnął różowy dodge. Wróciłem do niego, sięgnąłem pod papierowe torby z rzeczami do prania i wymacałem metalowy pojemnik, który wybrałem jako jedyną pamiątkę mojego życia z babcią.

Przeszedłem przez las i zatrzymałem się przy zrobionej z połówki pnia drewnianej ławce, którą ustawiono przy brzegu płytkiej, krystalicznie czystej rzeki. Był tam kamień z ręcznie namalowanymi datami i nazwiskiem babci oraz świeżo rozkopany spłachetek ziemi. Niewielki grób znajdował się pod najwyższym i najbardziej majestatycznym drzewem i domyśliłem się, że babcia właśnie dlatego wybrała to miejsce. Usiadłem na ławce i spojrzałem na rzekę, pragnąc zadumać się nad tym domem i nad tym miejscem, lecz nic z tego nie wyszło. Mój umysł nigdy nie przejmował się planami, jakie wobec niego miałem. Sięgnąłem do pudełka i wyjąłem niewielki plik listów. Przejrzałem je i wyjąłem dwa, które były od mojego ojca. Wcześniejszy, z roku 1979, dotyczył babci i zawierał drwiące i krytyczne uwagi o tym, jak prowadzi farmę, oraz pozbawione taktu rady, jak powinna sobie radzić z różnymi rzeczami.



Drugi list był o mnie: 8 stycznia 1980 Droga B.,  
Tak się cieszę, że mogłaś zobaczyć Idę przed podróżą. Jest naszym małym słoneczkiem, prawda? Mam jej zdjęcie z wata cukrową, zrobione na jarmarku w San Antonio. Wygląda jak aniołek. Dobrze wie, kim jesteś. Pokazaliśmy jej twoje zdjęcie i powiedziała „babcia”. Ma tylko cztery latka, ale wydaje się bystrzejsza od wszystkich, którzy ją otaczają. Słowa piosenki mówią, że nie majak prawdziwa dama, i to święta prawda. Nie miałem pojęcia, jak bardzo pragnę dziewczynki, ale kiedy urodziła się Ida, to było zadośćuczynienie za Daniela.

List miał dalszy ciąg, lecz go nie przeczytałem. Siedząc przy grobie, wiedziałem, że tych kilka słów oznacza dla mnie śmierć lub zmartwychwstanie. W cichą kalifornijską noc, dwa miesiące później, miałem się przekonać, czy jedno, czy drugie. Tam właśnie wydałem ostatnie tchnienie w świecie, który sam stworzyłem.

Clarissa szła z Teddym brzegiem rzeki. Widząc mnie, zawołała „hej”, wzięła małego na ręce i podeszła bliżej.

— Zgadnij, co się stało — powiedziała, unosząc dłoń. —

Znalazłam mój zegarek. Uwielbiam, kiedy dopisuje mi szczęście.

Clarissa odpaliła swojego neona i dojechała do autostrady, gdzie wkrótce ukołysały nas niewygody i dolegliwości długiej drogi powrotnej. Przez dłuższy czas nic nie mówiliśmy, choć ja szeroko się uśmiechałem, pragnąc ukryć targające mną dreszcze. Wszyscy, łącznie z Teddym pragnęliśmy jak najszybciej wrócić do domu, i podróż, która w tamtą stronę miała trzy przystanki, w-drodze powrotnej zmieniła się dzięki prowadzącej bez wytchnienia Clarissie w dwuprzystankową. Jechaliśmy długo po zapadnięciu zmroku i za każdym razem bałem się, że nie znajdziemy wolnych miejsc w motelu.

W trakcie jazdy czułem się skrepowany jej obecnością. Czekałem, aż się odezwie, zanim odważyłem się coś powiedzieć. Godziłem się ze wszystkim, co mówiła, i w ogóle nie zachowywałem się jak autentyczna osoba. Chwilami wpadaliśmy w zadumę, zupełnie tracąc poczucie czasu. Raz zaintonowaliśmy *California, Here I Come*, a ja włączałem głośny brzęczyk, kiedy trzeba było wymówić słowa z literą „e”. Clarissa odwróciła się do mnie ze śmiechem.

— Wiesz, kim jesteśmy? Porankiem muzycznym na kółkach — powiedziała, a ja zarżałem, słysząc słowa „poranek muzyczny”. Potem ponownie zamilkliśmy. W Albuquerque zjedliśmy najlepsze w życiu *tacos*, a ja zmusiłem Clarissę, żeby zatrzymała się na dziesięć minut przed miejską biblioteką, gdzie skopiowałem dwadzieścia stron z różnych książek na temat inwestowania, podczas gdy ona umyła i wysuszyła Teddy'ego.

Niekończąca się droga rodziła niekończące się myśli. Lokalna architektura budziła we mnie nostalgie, której nie miałem prawa odczuwać. Nocami widoki po obu stronach drogi rozplywały się w nicość. Na tylnym siedzeniu leżały listy, które nie dawały mi spokoju. Wspomnienie skąpanego w księżycowym świetle ciała Clarissy powracało w formie przelotnych obrazów. Listy mojego ojca trafiły w końcu do najważniejszego czytelnika. W ciągu kilku następnych godzin doświadczyłem emocji, które nie miały nazwy. Czuję się niczym specyficzny pionier, odkrywca nowych uczuć i nowych melanży starych sentymentów, które przepływały przeze mnie i których nie potrafiłem zidentyfikować. Postanowiłem nadać im nazwy gatunków herbaty: Blue Malva, Orange Pekoe Delight, Gardenia Ochre Assam. Następnie wynajdywałem miny, które pasowałyby do moich świeżo nazwanych emocji. Podniesione czoło, wydęta górna warga, wystający podbródek. Chmurny wzrok, rozchylone usta, wyszczerzone dolne zęby.

Kiedy Teddy wiercił się w swoim foteliku, przesiadałem się do tyłu i brałem go na kolana. Ale kiedy zasypiał, siadałem z przodu i przeliczałem w myślach trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Chociaż całą wiedzę na temat finansów nabyłem drogą osmozy, oceniałem, że mogę bez większego ryzyka uzyskać z mojego spadku sześć procent rocznie. To oznaczało, że zanim wyczerpie się cały kapitał, mogłem przez dwanaście lat pobierać rocznie 41 747 dolarów. Czterdzieści jeden tysięcy dolarów to było dwa razy więcej, niż wydawałem obecnie, i w gruncie rzeczy nie potrzebowalbym takiej sumy, gdyby nie pewna

rzecz, o którą chciałem zapytać Clarissę. Minęła dziewiąta wieczorem i byliśmy zmęczeni.

— Czy mogłabyś zwolnić i zatrzymać się? — zapytałem.

— Tutaj? — zdziwiła się, ponieważ jechaliśmy naj-mroczniejszą i najbardziej pustą drogą i wieczór był bezksiężycowy.

— To noc jak z baśni i musimy przystanąć i pooglądać gwiazdy

— oznajmiłem, lekko zaciągając, aby moje pozbawione „e” zdania wydawały się bardziej sensowne.

Clarissa zwolniła i zatrzymała się. Warkot silnika niewiele różnił się od ciszy, ale kiedy wysiedliśmy z samochodu, wstrząsnęła nami rozleglejsza, bardziej głęboka cisza pustyni. Trzymając na rękach Teddy'ego, oparłem się o samochód i pokazałem mu Wielki Wóz, a następnie Gwiazdę Polarną i Jowisza. Przeleciał meteor, ale Clarissa odwróciła się zbyt późno. W ogóle się nie odzywaliśmy, lecz to milczenie różniło się od milczenia w samochodzie. Powietrze było chłodne i rześkie, co jakiś czas czuliśmy jednak zaskakująco ciepłe podmuchy wiatru.

Musiałem posłużyć się moim aktorskim talentem, aby nie domyśliła się, iż otwieram usta po trzysekundowym mentalnym poślizgu, potrzebnym na wyeliminowanie litery „e” ze wszystkiego, co miałem zamiar powiedzieć.

„»W Różanej Tiarze« jest do wynajęcia apartament z trzema sypialniami. Czy chciałabyś zamieszkać tam

razem ze mną i z Teddym?", chciałem zapytać, lecz niestety zdania te najeżone były literami „e”. Dlatego oparłem się o błątnik i oznajmiłem: — Pokazano mi duży pusty lokal. Zastanawiam się, czy go wynająć. Gdybyś miała ochotę, mogłabyś się tam zatrzymać. Ja zajmowałbym się małym, a ty byś się uczyła. — Zapadła długa cisza. — Byłby tam twój własny duży pokój. A ja mógłbym zatroszczyć się o juniora, gdybyś chciała pospać w nocy. — Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym dodać, ale nie chciałem przestać mówić, żeby odwlec w nieskończoność moment, kiedy będę musiał usłyszeć jej odpowiedź.

— Ile wynosi czynsz? — zapytała.

— Pokrywałbym całość opłat i wydatki na żywność. A ty skończyłabyś szkołę.

— Dlaczego miałbyś to robić?

Bo jestem chory psychicznie. Bo jestem samotny. Bo cię kocham. Bo kocham Teddy'ego.

— To byłoby z korzyścią dla nas obojga — powiedziałem. — Ja bym go pilnował, a ty mogłabyś chodzić do szkoły.

— Mogę się chwilę zastanowić?

— Jasna sprawa.

— To znaczy, że mieszkalibyśmy razem?

Miała na myśli, „mieszkali” i nic więcej. Pokiwałem głową i wróciliśmy do samochodu.

— Myślę, że to mogłoby zdać egzamin — stwierdziła po dwunastu godzinach. — Jesteś pewien, że tego chcesz?

— Tak.

Podróż od babci była zanurzaniem się w coraz bardziej soczystą zieleń, która skończyła się widokiem domu. Busz południowego Teksasu ustąpił najpierw miejsca kaktusom, które ustąpiły miejsca oazom Arizony, a potem kalifornijskim sosnom i dębom. Te ostatnie zmieniły się po jakimś czasie w ulice i krawężniki. Kiedy podjechaliśmy w końcu pod mój blok, wysunąłem stopę z samochodu, postawiłem ją na trawie i zawołałem: — Ele mele dudki. Dzieje, knieje, wicrzeje. — Clarissa spojrzała na mnie, jakbym był nienormalny.

W ciągu następnych kilku dni wszystkie moje nawyki powróciły ze zdwojoną intensywnością, tak jakbym zaciągnął wobec nich dług.

Po powrocie czekały na mnie dwa listy. Jeden, uprzejmy, lecz zwięzły, był od mojej siostry i informował mnie o babci i o naszym spadku, drugi, z kancelarii prawniczej z San Antonio, informował mnie o tym samym. List od Idy, chociaż mniej emocjonalny niż od babci, promienio-

wał dobrocią i odpisałem nań, przepraszając za długie lata milczenia i wyliczając kilka moich dziwactw, aby mogła mnie trochę lepiej zrozumieć. Mój list był tak zgrabny, że skserowałem go i wysłałem również do kancelarii, dopiero ponieważ uświadamiając sobie, że mogliby posłużyć się nim w sądzie i próbować zatrzymać pieniądze dla siebie. AJe nie zrobili tego. Przy „Różanej Tiarze” nadal stała tablica z napisem DO WYNAJĘCIA, nie chciałem jednak wykonywać żadnych ruchów, dopóki nie będę miał w ręku gotówki, a pieniądze trafiły do mnie dopiero po kilku tygodniach. Najpierw musiałem udowodnić, kim jestem, co nie było wcale łatwe. Myślałem, że argument, którym się posłużyłem — że jestem sobą, ponieważ nikt inny nie jest mną — jest przekonujący, oni jednak potrzebowali czegoś innego. Musiałem udowodnić swoje pochodzenie. Moje dokumenty były niejasne. Nie miałem prawa jazdy i nie mogłem znaleźć aktu urodzenia. Kancelaria podjęła w końcu decyzję: nie mieli nikogo innego, komu mogliby przekazać pieniądze, a poza tym poręczyła za mnie siostra, dali więc za wygraną i przesłali mi szmal.

Miałem teraz autentyczny powód, by zadzwonić do Elizabeth Agentki. Ponieważ nie posiadałem telefonu, zdobyłem adres jej firmy i udałem się tam pieszo, mimo że trasa była niebywale kręta. Zastanawiałem się, czy oglądana z samolotu nie przypominała mojego nazwiska. Miałem już zamiar zrezygnować, ale w ostatniej chwili trafiłem na przejście dla niepełnosprawnych, z dwoma obniżonymi krawężnikami, i użyłem go jako kładki, która

doprowadziła mnie do Elizabeth. Zostawiłem jej wiadomość, że jestem zainteresowany apartamentem.

Przyjechała parę godzin później, a ja zbiegłem po schodach, zanim zdążyła podejść do drzwi. Musiała wykształcić w sobie niezwykle wysublimowany wykrywacz zamożności, ponieważ mimo że zachowywałem się tak samo jak zawsze, zaczęła traktować mnie nagle jak opływającego w pieniądze, poważnego klienta. Nawet kiedy poprosiłem, żeby przewiozła mnie na drugą stronę ulicy, w miejsce oddalone nie więcej niż o dwadzieścia kroków, zachowała się jak prawdziwa profesjonalistka, nie okazując cienia zniecierpliwienia. A może zauważyła, że chłodno ją traktuję, i próbowała odzyskać moje względy?

W ciągu godziny wynająłem apartament z trzema sypialniami i udało mi się nawet zbić cenę o pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. W starym mieszkaniu miałem opłacone jeszcze osiem dni i powiedziałem jej, że wprowadzę się pod koniec tygodnia. W tym czasie opiekowałem się kilka razy Teddym i Clarissa nie dawała mi do zrozumienia, że chce się wycofać.

Kupowałem teraz codziennie gazetę i studiowałem w niej dział finansowy. Pilnie śledziłem obligacje, fundusze inwestycyjne oraz akcje i odnotowywałem ruchy ich cen. Ruch był czymś, czego nienawidziłem. Nie podobało mi się, że jednego dnia można mieć dolara, a drugiego tylko osiemdziesiąt centów, mimo że nic się nie zrobiło.



Z drugiej strony możliwość, że jednego dnia ma się dolara, a nazajutrz dolara i dwadzieścia centów, bezgranicznie mnie podniecała. Bałem się, że w dniu, w którym mój dolar będzie wart osiemdziesiąt centów, będę smutny, a w dniu, w którym będzie wart sto dwadzieścia, będę uradowany i generalnie podobało mi się, że będę dokładnie wiedział, dlaczego jestem w określonym nastroju. Dostrzegłem jednak inną możliwość. Gdybym kupił obligacje i trzymał je aż do wykupu, wówczas nie oddziaływałyby na mnie fluktuacje cen i podobałoby mi się to, że regularnie napływają dywidendy. To oznaczało, że mój nastrój również regularnie by się poprawiał, a przy wykupie wpadłbym w ekstazę.

Rozmawiając z szeregiem maklerów inwestycyjnych, wypatrywałem kogoś, kto byłby wyjątkowo nudny. Uważałem, że im szczęśliwszy jest makler, tym mniej można na nim polegać. Skoro jest szczęśliwy, to znaczy, że myśli o innych rzeczach, nie o obligacjach. Malujące się na jego twarzy szczęście mogło oznaczać, że jest frywolny i wyjeżdża na przykład na wakacje. Potrzebny był mi ktoś w rodzaju Scrooge'a McDucka, kto myślałby wyłącznie o punktach procentowych. Ponieważ jestem osobą, której stan psychiczny zależy od fluidów psychicznych rozmówcy, spotkania z tymi maklerami były dla mnie wprost zabójcze. Im większym był smutasem, tym bardziej posepny się stawałem

i często ześlizgiwaliśmy się wspólnie w otchłań ponuractwa.

Odbyłem rozmowy z czterema maklerami z kilku firm działających w rejonie Santa Monica. Drugi z nich zrobił na mnie wrażenie ogłupiająco nudnego i nabrałem do niego przekonania, zwłaszcza gdy poznałem jego rywali. Nazywał

się Brandem Brady i byi tak ponury, że o mdłości musiały go przyprawiać rytmiczne aliteracje we własnym nazwisku.

Tym, co ostatecznie skłoniło mnie do wyboru Brando-na, nie była jego bezbarwność, iecz głębia wąskiej, a przez to skrupulatnej i numerycznej umysłowości. Siedziałem z innym maklerem, którego smętna osobowość mogła śmiało konkurować z Brandonem. Gdybym miał opierać się wyłącznie na tym kryterium, wybór byłby trudny. Wyłuszczając jednak swoje plany odnośnie do mojej osoby, makler ów zaczął od propozycji kupna dziesięcioletnich obligacji, które emitowano w następną środę.

— Jest pewien problem z kupnem dziesięcioletnich obligacji w przyszłą środę — oznajmiłem.

— Jaki mianowicie?

— Jeśli kupię obligacje w przyszłą środę, termin ich wykupu po dziesięciu latach przypadnie w sobotę i nie będę mógł ich zamienić na gotówkę aż do poniedziałku. Stracę dwa dni odsetek. Facet zerknął do komputera, a potem spojrział na mnie, jakbym był woskowym modelem samego siebie: wyglądałem wprawdzie jak istota ludzka, ale coś było ze mną nie w porządku.

I to przeważało szalę. Wróciłem do pierwszego maklera, który popełnił tę samą gafę. Tylko Brandon, kiedy zaproponowałem kupno obligacji w przyszłą środę, wyjął

kalkulator, zabębnił palcami po klawiszach i głęboko się zamyślił.

— No cóż — mruknął. — Robią nas tu na szaro. Może poczekamy kilka dni i zobaczymy, czy nie pojawi się jakaś inna emisja?

Wiedziałem, że znalazłem odpowiedniego człowieka.

\*

Wejście Clarissy i Teddy'ego do nowego apartamentu miało wymiar biblijny, zupełnie jakbym wprowadził ich do ziemi obiecanej. Po podłogach sypialni pełzało słoneczne światło, a w każdym rogu ustawiłem tanie roślinki, zainspirowany katalogiem usług wnętrzarskich, który znalazłem w skrzynce na listy. Oprowadziłem Clarissę po całym mieszkaniu i w każdym kolejnym pokoju zapierało jej dech z wrażenia, co sprawiało mi przyjemność. Kupując meble, miałem na uwadze przede wszystkim funkcjonalność, lokal sprawiał więc wrażenie trochę pustego, ale jeśli miał się powieść mój dwunastoletni plan, gotówka powinna sączyć się niczym piasek w klepsydrze. Clarissa miała trochę własnych mebli, które przywiózł jej znajomy, posiadacz pikapa, i wkrótce we wszystkich pomieszczeniach porozrzucane były kolorowe zabawki Teddy'ego. Zainstalowała poza tym telefon, któremu z początku nieufnie się przyglądałem i o którym rychło zapomniałem. Mieszkanie wyraźnie się wypełniło, pojawiło się w nim kilka fotografii w ramach i pod koniec miesiąca wyglądało, jakby mieszkała tu rodzina. Z jednym małym wyjątkiem.

Z wyjątkiem tego, że przestrzeń między mną i Ciarissą nadal była nieprzekraczalna. Czasami wyczuwałem z jej strony intensywną miłość, nie wiedziałem jednak, czy to nie z powodu Teddy'ego. Dałem jej czas, żeby dojrzała, i było to łatwe, ponieważ błazeństwa Teddy'ego uniemożliwiały wszelką poważniejszą rozmowę. Jeśli moja dłoń dotykała dłoni Clarissy, już po chwili musiałem ją cofnąć, żeby pogłaskać Teddy'ego. Kiedy malec przechadzał się po mieszkaniu, Clarissa pochylała się nad nim niczym płacząca wierzba. Ani przez chwilę nie byliśmy we dwoje. Zacząłem pozwalać sobie w myślach na określenie, na które nigdy nie odważyłbym się po drugiej stronie ulicy. Niekonały ideał. Moje życie w „Różanej Tiarze” było tak samo luzackie, jak pedantyczne było życie naprzeciwno. Chaos generowany przez Teddy'ego wywierał na mnie druzgoczący wpływ i mogłem go tolerować chyba tylko dlatego, że źródło chaosu było jednolite. Teddy był osobą, do której nie miały zastosowania prawa logiki, był osobliwością. To przykre, kiedy odkrywamy, że osoba, którą kochamy, kocha kogoś innego. Przydarzyło mi się to dwukrotnie. Pierwszy raz pewnego wieczoru, gdy zasiedliśmy we troje do naszego tradycyjnego posiłku. Te kolacje były szczytem anarchii wieńczącym rygorystycznie uporządkowane dni, które spędzałem z nosem zagłębionym w finansowych gazetach i sprawozdaniach. Czekałem na nic z niecierpliwością i brałem w nich udział ze świeżo nabytą beztróską. Clarissa i ja robiliśmy zrzutkę, zamawialiśmy

jakieś jedzenie do domu i gadając o wszystkim i o niczym, otwieraliśmy białe torby zawierające serwetki, sztucce, sandwicze z tuńczykiem oraz torebki z musztardą. Szelest papieru i trzaskanie plastikowych pokrywek pojemników z majonezem dopingowały nas do składania fascynujących relacji z najbardziej banalnych wydarzeń dnia. Po upływie kilku miesięcy zdałem sobie sprawę, że te kwadransy miały w sobie coś świętego.

Kiedy Clarissa posadziła Teddy'ego w wysokim krześle i położyła przed nim trochę tuńczyka, malec wziął do ręki kawałek, wsadził go sobie do buzi, a potem odwrócił się do niej i uśmiechnął. Twarz Clarissy zaokrągliła się i rozjaśniła, widziała tylko jego. W tym momencie nie było mieszkania, *pracy*, szkoły, żadnych życiowych spraw poza tą radosną, przepływającą między nimi energią. I nie było mnie. Musiałem przeczekać to wzajemne zauroczenie, które przyszło, gdy Clarissa sięgnęła ponownie po jedzenie i oboje z powrotem wylądowali na ziemi. Clarissa przykładła się pilnie do nauki i szybko opanowywała język psychologii. Z łatwością przyswajała sobie odpowiednie słownictwo oraz koncepcje i przyznawała, że pasjonuje ją tematyka, która nie wzbudzała aż takiego zainteresowania innych studentów. W nocy zapoznawała mnie z tym, czego nauczyła się w ciągu dnia, prezentowała skrócone analizy syndromów i zaburzeń, a potem przytaczała uwagi, jakie wygłaszała na forum klasy, żeby poznać moją opinię na ich temat.

Traktowała mnie zawsze bardzo życzliwie i nie kryła wdzięczności za to, że ją wspieram, ja zaś dziękowałem jej w odpowiedzi, co za każdym razem wprawiało ją w zdumienie. Wpływ, jaki wywarła na mnie razem z Teddym, uwidocznił się pewnego popołudnia, kiedy otrzymałem pocztę odesłaną mi ze starego mieszkania. Jeden z listów był z Mensy. Otworzyłem kopertę i tak, jak się tego spodziewałem, okazało się, że moje wyniki zostały zniekształcone w wyniku ludzkiego błędu. Pytali, czy nie chciałbym jeszcze raz przystąpić do testu. W pierwszej chwili doznałem szoku: ludzki błąd w Mensie? Jakie szanse ma w takim razie McDonald, Rite Aid i CompUSA? Po namyśle dokonałem semantycznego rozbioru określenia „ludzki błąd”. Czy istnieje jakiś inny? Po kolejnym namyśle uznałem, że nie, nie chcę ponownie przystępować do testu, ponieważ mam teraz swoje życie, nawet jeśli stanowiło ono pastisz złożony z elementów cudzego.

\*

Clarissa zatelefonowała do mnie któregoś wieczoru, pytając, czy może wrócić do domu później niż zwykle.

— Nie będzie ci to przeszkadzać? — zapytała. — Wybierasz się gdzieś? Możesz przypilnować Teddy'ego? Teddy dobrze się czuje? — Jasne, odparłem.

Teddy i ja spędziliśmy upojny wieczór. Był wzorowym dzieckiem, a ja wzorowym przybranym rodzicem/wujkiem/przyjacielem. Kokosiliśmy się w łóżku, graliśmy w koszykówkę, wrzucając piłkę do kosza na śmieci i bawi-

liśmy się w „gdzie jest Teddy?” na profesjonalnych poziomach. W końcu zaczęły mu się kleić oczy i przysnął na moim łóżku, a ja położyłem się obok. W mieszkaniu nadal obowiązywały reguły dotyczące oświetlenia i światło trzydziestowatowej lampki na komodzie równoważone było w miły sposób poprzez słoneczny blask w salonie. Drzwi sypialni były uchylone i leżąc we względnej ciemności, widziałem frontowe drzwi i okno. Wykorzystałem ten podniosły moment, by nie zajmować się kompletnie niczym, i opróżniłem umysł z wszelkich myśli.

Jak Tonto.

Tak właśnie się czułem, słysząc dobiegające z korytarza pierwszego piętra kroki. „Jest ich dwoje, Kemosabe, i idą w tę stronę”, pomyślałem. Usłyszałem głos Clarissy, a potem mężczyzny. Mówili powoli, wygłaszając każdą kwestię przyciszonym głosem. Jej odpowiedzi były niepewne, jego pytania śmiałe i nieskrępowane. Minęli okno i zobaczyłem, że mężczyzna przygląda się jej, kiedy szukała kluczy. Drzwi się otworzyły. Clarissa weszła do środka, odłożyła torebkę i odwróciła się do mężczyzny. Ten powiedział coś i także wszedł do mieszkania. Jej dłoń dotknęła wyłącznika, gasząc ostre światło i wprawiając moje ciało w stężenie pośmiertne. Mimo to patrzyłem dalej. Znowu rozmawiali. Mężczyzna położył jej dłoń na ramieniu i przyciągnął do siebie. Kiedy się zbliżyła, wsunął jej rękę pod włosy, przyciągnął jeszcze bliżej i oparł czoło o jej czoło. Patrzyłem, jak zamyka oczy i głęboko oddycha, by się nią nasycić. Jego wargi musnęły jej policzek i zobaczyłem, że Clarissa się poddaje, opuszcza ręce, nie stawia

żadnego oporu. Jego dłoń powędrowała na jej plecy i przycisnęła je. Jej ręka dotknęła jego biodra i objęła plecy, a on odwrócił ku niej usta i pocałował. Ręka, którą trzymała na jego plecach, zeszywniała i zacisnęła się, a druga ujęła go w łokciu. Jej głowa odchyliła się do tyłu, a on nadal nad nią stał i ją całował, a potem dał krok do tyłu i nic nie mówiąc, spojrzał jej w oczy.

Trudno jest uświadomić sobie, że osoba, którą kochamy, kocha kogoś innego. Wiedziałem, że moje wspólne życie z Clarissą i Teddym dobiegnie końca.

\*

Był początek czerwca. W dalszym ciągu zajmowałem się Teddym i w dalszym ciągu starałem się osłabić więź, jaka łączyła mnie z Clarissą. Były i inne noce, noce, które zaczynały się cichym otwieraniem drzwi i kończyły wymykaniem o poranku. Te odgłosy sprawiały, że łatwiej było mi się wycofać, mimo że nie doszło do oficjalnego wyznania miłości i z tego, co wiedziałem, nowy mężczyzna nie został przedstawiony Teddy'emu, co jak sądzę, było ze strony Clarissy przejawem rozsądku i troski o syna.

W pewne wyjątkowo fatalne popołudnie, kiedy opiekowałem się Teddym, doszło między nami do wojny mózgów. Mój umysł był koherentny, racjonalny i przekonujący. Jego nie. Bez względu na to, jak nieodparte były moje argumenty, jego niewerbalny umysł stawiał opór. Nie mieliśmy wspólnego języka ani wiary.

Potrzebny był jakiś mediator, który tłumaczyłby nasze stanowiska, zna-



laż płaszczyznę porozumienia, zasady, co do których się zgadzamy, a następnie skłonił nas do akceptowalnych wzajemnie zachowań. Powodem zwady było szmaciane kółko osadzone na szmacianej tyczce. Teddy płakał, chciał dostać to kółko, nie chciał go, przeklinał—jestem pewien, że klął jak szewc — i nie można go było absolutnie w żaden sposób uspokoić. Zdarzały się jednak momenty przejściowe. Momenty, w trakcie których przechodził od jednej nieprzyjemnej akcji do drugiej. Zaglądał mi wtedy w oczy, jakby chciał wyczytać w nich, czego od niego oczekuję, i zrobić coś dokładnie przeciwnego. Te momenty przejściowe były jednak także momentami bezruchu, a bezruch jest stanem, w którym mój umysł pracuje najszybciej. Patrzyłem wówczas w studnie jego źrenic, w te mroczne kręgi soczewek, które rozszerzały się i zwężały.

Spędziłem z nim sporo czasu, to moja twarz była twarzą, którą oglądał nieraz po przebudzeniu. Byłem w nim utrwalony, mój obraz tkwił w jego świadomości i zastanawiałem się, czy to, co zapamięta na mój temat, zanurzy się poniżej linii wodnej i trafi do tego, co senne i pierwotne. Zastanawiałem się, czy widzi we mnie swojego ojca. Jeżeli tak, to wszystko miało sens. Byłem kimś bezpiecznym, kimś, na kogo mógł się wściekać. Kimś, od kogo mógł się uczyć natury, ograniczeń oraz kontekstu szmacianego kółka na szmacianej tyczce.

Nakreśliłem w myślach trójkąt. U jego podstawy było postrzeganie mnie przez Teddy'ego jako bohatera, a na wznoszących się bokach mój udział w jego życiu, bez względu na to, jak krótki miał się okazać. Na samym

szczytzie było słowo „triumf i jego znaczenie iskrzyło z trójkąta niczym rzymskie ognie. Jeśli pewnego dnia Teddy, chłopiec i dziecko, obdarzy mnie zaufaniem, jeśli pewnego ranka przybiegnie do mojej sypialni, żeby mnie obudzić, jeśli pewnego popołudnia ucieszy się na mój widok i będzie wierzył, że go nie skrzywdzę, wówczas odniosę zwycięstwo nad swoją przeszłością.

Moje rozmyślenia nie udobruchały jednak Teddy'ego; chciał, żeby coś się działo. Zmierzchało, a on nadal wygłaszał płaczliwym sopranem swoje oracje. Uznałem, że dobrze nam zrobi wycieczka do Rite Aid, i kiedy wziąłem go na ręce i pokazałem, że wychodzimy, ściszył nieco fonię.

Niebo nad oceanem rozświetlały rdzawoczerwone smugi. Na drzewach nie poruszał się ani jeden listek, co wskazywało, że wieczór będzie ciepły. Teddy, który był teraz wytrawnym piechurzem, podał mi rękę, a ja zgarbiłem się i ruszyłem do przodu z szybkością starca. Idąc chodnikiem, co jakiś czas przenosiłem go dla żartu nad popękanymi płytami. Po kilku chwilach doszedłem do krawężnika, gdzie normalnie powinienem był skrócić w lewo i po minięciu ośmiu podjazdów przejść na drugą stronę ulicy. Tym razem jednak zatrzymałem się.

Moja dłoń obejmowała dłoń Teddy'ego. Spojrzałem na niego i zdałem sobie sprawę, że kiedy mój związek z Clarissą dobiegnie końca, jej syn może mnie w ogóle nie zapamiętać. Mimo to wiedziałem, że wywieram na niego wpływ. Rejestrowany był każdy uśmiech i każde

ściągnięcie brwi, które posyłałem w jego stronę. W jego chłonnym jak gąbka umyśle zapisywana była każda łagodna pochwała albo wypowiedziane podniesionym głosem słowo. Zastanawiałem się, czy tym, co chcę mu przekazać, jest moja zrodzona z lęku i nonsensu pokrętna trasa do Rite Aid, czy tym, co chcę mu po sobie zostawić, jest niemożność przemieszczania się i panika na widok wysokiego na dwadzieścia centymetrów krawężnika. Czy może raczej zrobię dla niego to, co Brian zrobił dla mnie? Przeprowadzę go, podobnie jak Brian przeprowadził mnie, przez budzące trwogę rejony i pozwolę mu trzymać się mnie, tak jak sam trzymałem się Briana? Skręt w lewo, w stronę mojego labiryntu podjazdów, stał się nagle tak samo niewykonalny jak zejście z krawężnika. Nie mogłem zostawić mu w spadku lęku przed niezapamiętanym miejscem. Pociągnąłem go do krawężnika, żeby nie był podobny do mnie. Przypomniałem sobie ów dzień, gdy przefrunąłem nad krawężnikiem długim susem i postawiłem stopę na ulicy — żeby nie był podobny do mnie. Teddy bez większego wysiłku zszedł na dół, kołysząc się na sztywnych kolanach. Sprawdziłem, czy nic nie jedzie, i ruszyliśmy do przodu. Przeprowadziłem go przez ulicę, żeby nie był podobny do mnie. Pomogłem mu wspiąć się na krawężnik i ruszyłem prosto do Rite Aid, trasą, która istniała wcześniej tylko w mojej wyobraźni. W poprzek ulicy, chodnikami i przez przejścia dla pieszych, wszystko po to, żeby Teddy nie był podobny do mnie. Byłem jego „Santa Marią”, a on był moją „Niną” i „Pintą”. Ja prowadziłem, on podążał za mną. Pokonałem wszystkie krawężniki, wyznaczyłem nową trasę na południe i dotarłem do Rite Aid w piętnaście minut.

Wchodząc do sklepu, nie bytem w stanie euforii, nie wydawało mi się wcale, żebym odniósł jakiś triumf. Czułem, że to w gruncie rzeczy coś normalnego, że mój lęk przed krawężnikami był słabością, dzięki której mogłem czuć się kimś wyjątkowym. Puściłem Teddy'ego, który zaczął krążyć po sklepie. Ja szedłem w ślad za nim, co jakiś czas popychając go do przodu, a raz powstrzymując przed zburzeniem całej ekspozycji mydeł kąpielowych. Nie udało mi się jednak powstrzymać go przed straceniem na podłogę całego rzędu męskich szamponów koloryzujących.

Posadziłem Teddy'ego i próbowałem poustawiać szampony w takim samym porządku, w jakim stały wcześniej. Męski średniobrazowy, męski ciemnobrazowy, męski popielatoblond. Brązowy żel do męskich wąsów. Pośród bałaganu pojawiła się nagle kobieca ręka i podniosła jedną z buteleczek. Jej nadgarstek był odsłonięty, ponieważ kiedy ją wyciągnęła, zsunął się z niej rękaw. Na przegubie miała mały chromowany zegarek oraz filigranową srebrną bransoletkę, tak lekką, że poruszając się, w ogóle nie pobrzękiwała.

— To twój dzieciak? — zapytała, kiedy jej ręka znalazła się w polu mojego widzenia.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem Zandy, która zeszła ze swojego aptekarskiego posterunku. Zastanawiałem się, czy podeszła do nas specjalnie, czy tylko tędy przechodziła.

— Nie, to syn znajomej.

— Jak ma na imię? — zapytała.

— Teddy.

— Cześć, mały — powiedziała. — Realizuję czasami twoje recepty — zwróciła się do mnie — więc wiem, na co chorujesz. Mam na imię Zandy.

Znałem jej imię, a ona moje, ale i tak się przedstawiłem, łącznie ze środkowym imieniem, a Zandy zadarła głowę do góry. Kiedy ustawiliśmy na półce wszystkie szampony, wstała, a ja ukucnąłem i zająłem się Teddym. Miała na nogach przezroczyste, lekko białawe rajstopy oraz adidas, które, jak przypuszczałem, miały chronić jej stopy przed betonowymi podłogami Rite Aid. — Macie ochotę na pizzę? — zapytała, kiedy gapiłem się na jej nogi.

Teddy i ja, prowadzeni przez Zandy, udaliśmy się do Cafe Delores za rogiem i zamówiliśmy potrójne coś tam na cienkim cieście. Przyjrzałem się Zandy i uznałem, że sprawia dość miłe wrażenie. Pomyślałem o swoim życiu miłosnym, które było cienie jak zamówiona pizza. Wiedziałem, że nadeszła odpowiednia pora. Postanowiłem użyć całej swojej charyzmy i zogniskować ją na farmaceutce. Nic jednak z tego nie wyszło. Okazało się to zbędne, ponieważ Zandy w pełni nad sobą panowała i nie potrzebowała dodatkowego bodźca, by wyrobić sobie zdanie na mój temat.

— Jak długo pracujesz w aptece? — zapytałem, lecz ona uśmiechnęła się tylko i położyła dłoń na mojej dłoni.

— Och, nie musisz nic mówić. I tak cię lubię — powiedziała.

\*

Zandy Alice Allen okazała się miłością mojego życia. Zapytałem ją, dlaczego zagadnęła mnie tamtego dnia, a ona wyjaśniła, że urzekło ją to, jak traktowałem chłopca. Po kilkutygodniowej znajomości przypomniałem sobie pocałunek Clarissy przy frontowych drzwiach i pewnego wieczoru, naśladowując jej uwodziciela, przyciągnąłem do siebie Zandy na jej progu. Kiedy odchyliła głowę do tyłu, pocałowałem ją. Ręce opadły jej bezradnie na boki, a potem, po krótkiej chwili podniosła je i ujęła moje dłonie. Kiedy nasze wargi się zetknęły, zaczerpnęła powietrza i szepnęła chyba słowo „kocham”, lecz stłumiły je moje usta.

Jedząc ze mną raz lunch, zapytała, ile mam lat, i odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że trzydzieści jeden. Po kilku miesiącach całkowicie mnie rozgryzła. Z wrodzonym taktem i humorem podzieliła moje obsesje na trzy kategorie: dopuszczalne, niedopuszczalne oraz śmieszne. Niedopuszczalne były te, które uniemożliwiały normalne życie, na przykład lęk przed krawężnikami. Teddy zdołał mnie już jednak z niego wyleczyć. Za każdym razem, gdy zbliżałem się do skrzyżowania, wyobrażałem sobie siebie w roli przewodnika i z czasem lęk przeminął. Innym niedopuszczalnym obsesjom po prostu postawiła weto,

a mnie udało się je zawiesić bądź też zmienić w nieufność wobec gór lodowych. Wśród dopuszczalnych obsesji było liczenie i układanie wszystkiego w porządku alfabetycznym, ale po urodzeniu Angeli niewiele zostało mi na to czasu. Zawarliśmy kompromis w kwestii żarówek, lecz wygłupy Zandy — która gasiła nagle lub zapalała lampy i wybiegała z pokoju — sprawiły, że obsesja ta stała się zbyt irytująca, bym mógł jej nadal ulegać. Potrzebowałem sześciu miesięcy i wiele uporu, by powstrzymać rząd przed dalszym przysyłaniem mi czeków. Zdołałem wrócić do pracy w Hewlett-Packardzie i nawet awansowałem po wymyśleniu szyfru do tego stopnia ludzkiego, że nie potrafił go złamać żaden komputer. Po odejściu Clarissy Zandy i ja zamieszkaliśmy w „Różanej Tiarze”, lecz Teddy i jego matka pozostali w naszym życiu aż do dnia, kiedy po prostu z niego zniknęli. Wiedziałem, że Teddy dowie się kiedyś, co między nami zaszło. Którejś nocy, kiedy Zandy i ja leżeliśmy w łóżku, pochyliła się nade mną i szepnęła, że jest w ciąży, i wówczas opletliśmy się ramionami i nie odrywając od siebie wzroku, powoli i cicho się pokochaliśmy.

Angela urodziła się piątego kwietnia 2003 roku, co bardzo mnie ucieszyło, ponieważ jej dwudzieste pierwsze urodziny przypadną w piątek, dzięki czemu będzie mogła się porządnie wyspać po nocnej balandze.

Kiedy Angela skończyła roczek, Zandy zabrała ją na skromne urodzinowe przyjęcie wyłącznie dla małych panienek, a ja zostałem sam w „Różanej Tiarze”. Przez

okno widziałem moje stare mieszkanie i moją starą lampę stojącą za zasłoną. To była ta sama lampa, którą ubrałem kiedyś w koszulę i użyłem jako manekina, żeby ustalić, czy Elizabeth mogła dostrzec, że jej się przyglądam. Stojąc teraz w oknie, czułem, że od tamtej chwili dzieli mnie olbrzymi dystans, i oddałem się pewnej starej rozrywce. Patrząc na dom naprzeciwko, ułożyłem w myślach mój ostatni magiczny kwadrat:

<b>Ja</b>	<b>Mama Zandy, Sandy</b>	<b>Nasza sąsiadka, pani Thompson, która kocha Angełę</b>
<b>Philipa</b>	<b>Zandy i Angela</b>	<b>Brian</b>
<b>Pamięć o babci</b>	<b>Clarissa i Teddy</b>	<b>Moja siostra, Ida</b>

Przychodziły mi na myśl inne nazwiska, lecz kwadrat pękał w szwach i cieszył mnie mętnik w głowie. Odsunąłem się od okna i odwróciłem plecami do mieszkania po drugiej stronie ulicy. Siadając w salonie, dziękowałem



w duchu tym, którzy przywiedli mnie w to miejsce i wywarli wpływ na moją świadomość oraz podświadomość. Myślałem o nazwiskach wewnątrz i wokół magicznego kwadratu, nazwiskach, których było zadziwiająco dużo i które wywodziły się zarówno z przeszłości, jak i teraźniejszości, o Zandy i Angeli, o Brianie i babci, nawet o moim ojcu, którego dezaprobata doprowadziła mnie tu, gdzie teraz jestem, i zrozumiałem, że choćbym nie wiem jak chował się przed zewnętrznym światem, nie wiem jak ograniczał swoje życie i zamykał, i zawęzał prowadzące ku mnie ścieżki, spokojne serce zawsze znajdzie wielu amatorów.